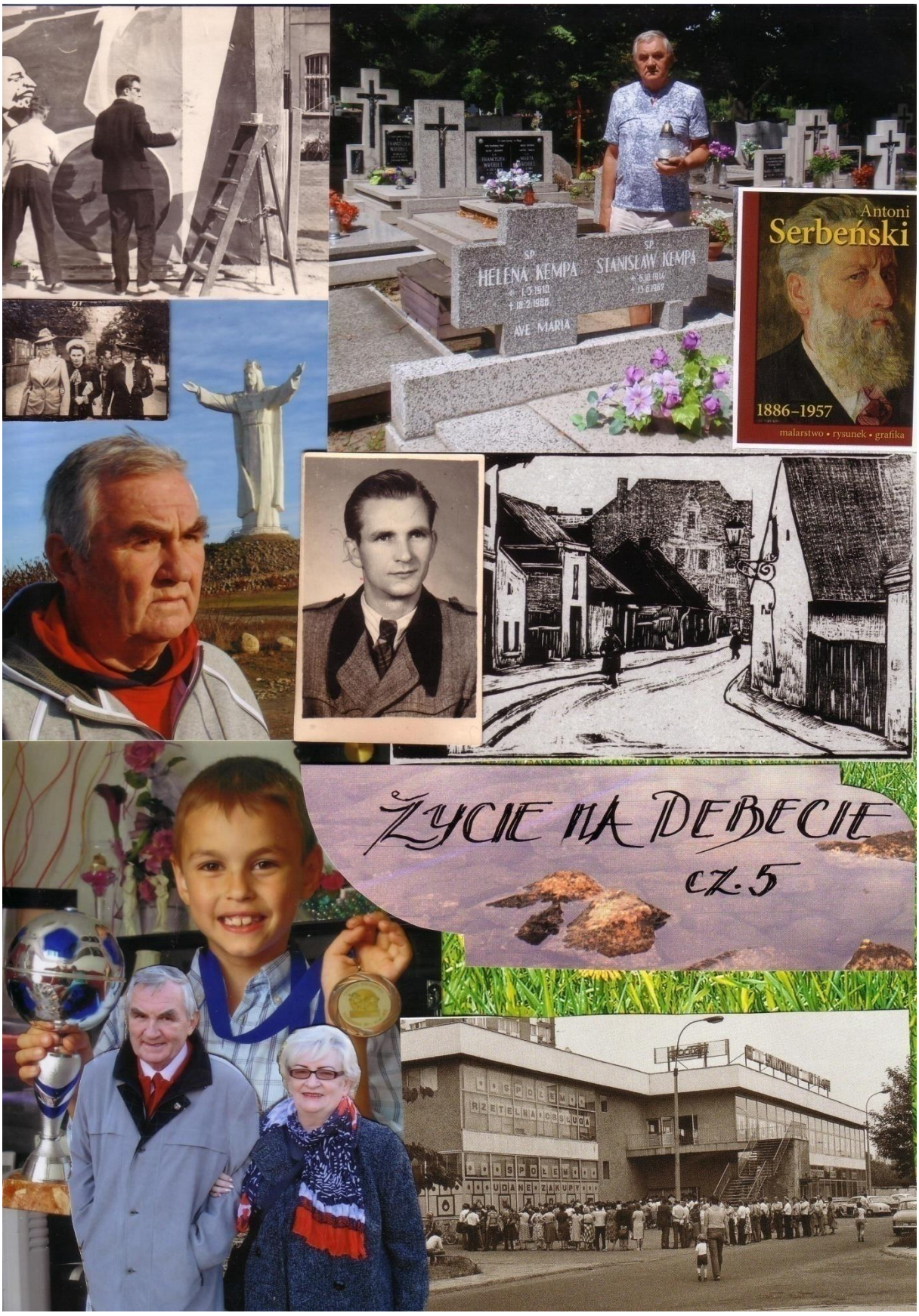
SP.
HELENA KEMPA
SP.
STANISŁAW KEMPA
AVE MARIA
Antoni
Serbeński
1886–1957
malarstwo • rysunek • grafika
ŻYCIE NA DEBECIE
cz. 5
SPOŁEM
RZETELNA OBSŁUGA
SPOŁEM
UDANE ZAKUPY

Spis treści

1. **Byliśmy świadkami okupacji i Powstania Warszawskiego…… 4**
2. **Moje miasto urodzenia……17**
3. **Ostrzeszowska gwara, powiedzenia, zwyczaje……26**
4. **Tajemniczy człowiek ze sztalugą……37**
5. **Moje szczęśliwe dzieciństwo i młodość w Ostrzeszowie……43**
6. **Kędzierzyn Koźle-Moje miasto nie z wyboru…… 123**
7. **Moi dziadkowie…… 143**
8. **Moje fascynacje i zainteresowania…….. 147**

- malarstwo i grafika
-instrumenty muzyczne
-religia i kościół
-sport samochodowy- nawigacja samochodowa
-pisarstwo- wiersze zapisane na pięciolinii
-genealogia rodzinna.

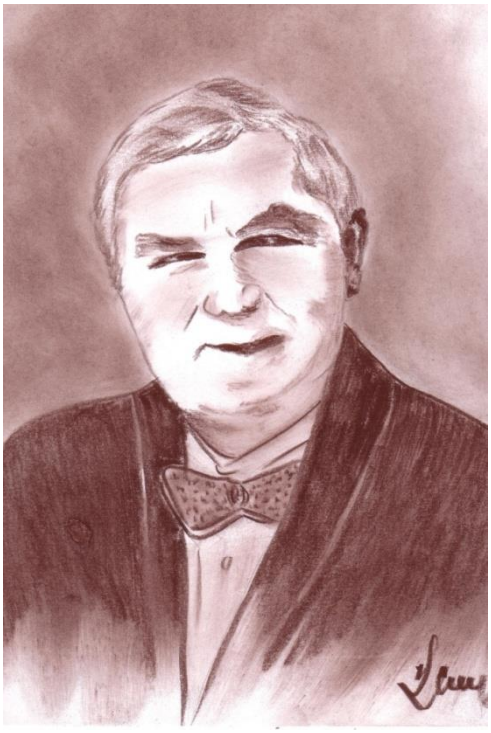

Kemkon.prv.pl

Byliśmy świadkami okupacji hitlerowskiej i Powstania Warszawskiego

Bracia Jan i Stanisław w Warszawie /lata trzydzieste/

Stanisław Kempa i Helena Malinowska –moi Rodzice na kilka lat przed wybuchem II wojny Światowej przybyli do Warszawy z południa Wielkopolski.
Cały okres wojny i okupacji szczęśliwie przeżyli w tym mieście, dzieląc tragiczny i wyniszczający los Warszawiaków.
W ten sposób cała nasza ostrzeszowska rodzina ,oraz wielu z jej członków, a więc rodzeństwo mojego ojca Stanisława, jego bracia Jan i Franciszek oraz siostra Maria była świadkiem okupacji i Powstania Warszawskiego.

Ojciec Stanisław Kempa w wojsku polskim na kresach wschodnich w KOP Kowno/lata trzydzieste/ a niżej Korpus Ochrony Pogranicza w Kownie. /ojciec zaznaczony/ a wyżej stoi z kolegami jako pierwszy z lewej.

Korpus Ochrony Pogranicza w Kownie. Ojciec Stanisław zaznaczony

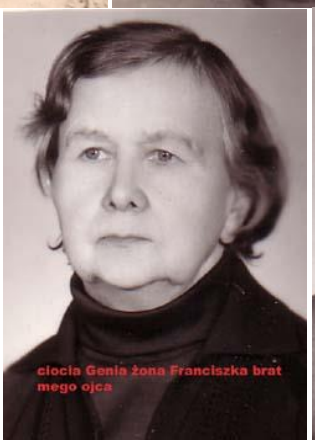

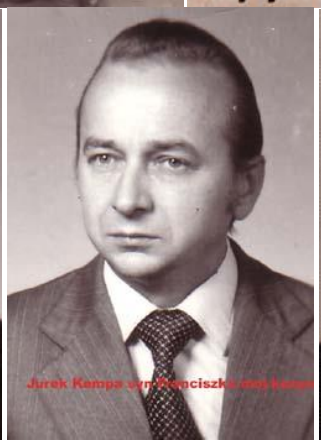

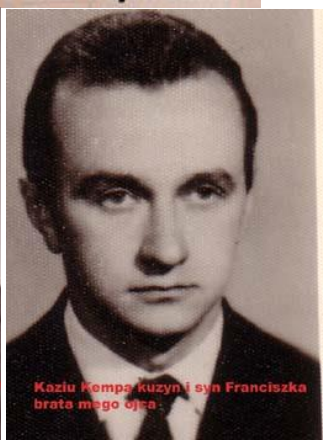

Ojciec Stanisław z bratem w Warszawie a niżej brat ojca Franciszek zamordowany przez Niemców na Pawiaku w maju 1942 roku. a obok jego żona Genowefa Ignor i synowie: Jerzy i Kazimierz. Trzeci Zygmunt zmarł w pierwszych dniach roku 1939.

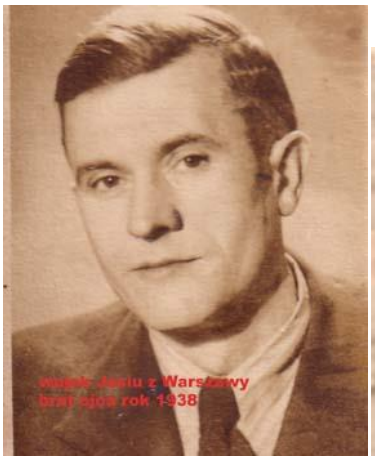

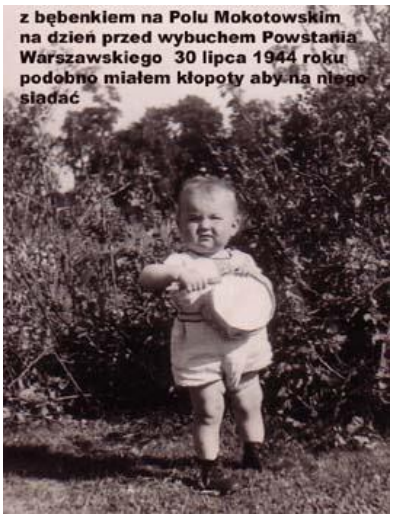

Siostra ojca Maria obok jego brat Jan, Ojciec wraz z siostrą Marią na ulicachWarszawy/1939/ Moi rodzice :Helena Malinowska ,mój ojciec Stanisław Kempa, Na Polu Mokotowskim Konrad i w wózku moja siostra Danuta Mamys /w przeddzień Powstania Warszawskiego 31. 07. 1944, Konrad z bębenkiem na Polu Mokotowskim ,Konrad na roczek stojący i siedzący /marzec 1944/

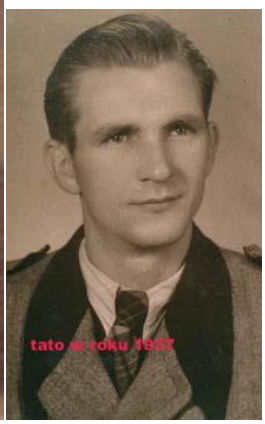

Ślubne zdjęcie moich Rodziców /czerwiec 1942 roku Warszawa/
Matka Helena Malinowska/ w środku/ z koleżankami: z lewej Pelagia Tomczak a z prawej Bronisława Mogulewska na spacerze na ulicach Warszawy w czasie okupacji. Zdjęcie wykonane w ukryciu. Z tyłu widać idących hitlerowców w mundurach.
Niżej ojciec Stanisław w obozie jenieckim w Neubranndenburgu/Niemcy/ wraz ze współwięźniami/./lata 1939-1940/. Z mamą na spacerze na ulicach Warszawy/rok 1943/
Ojciec Stanisław w latach 30 tych i w okresie okupacji.

Jan Kempa Franciszek Kempa

Warszawa dnia 29 września 1927r.

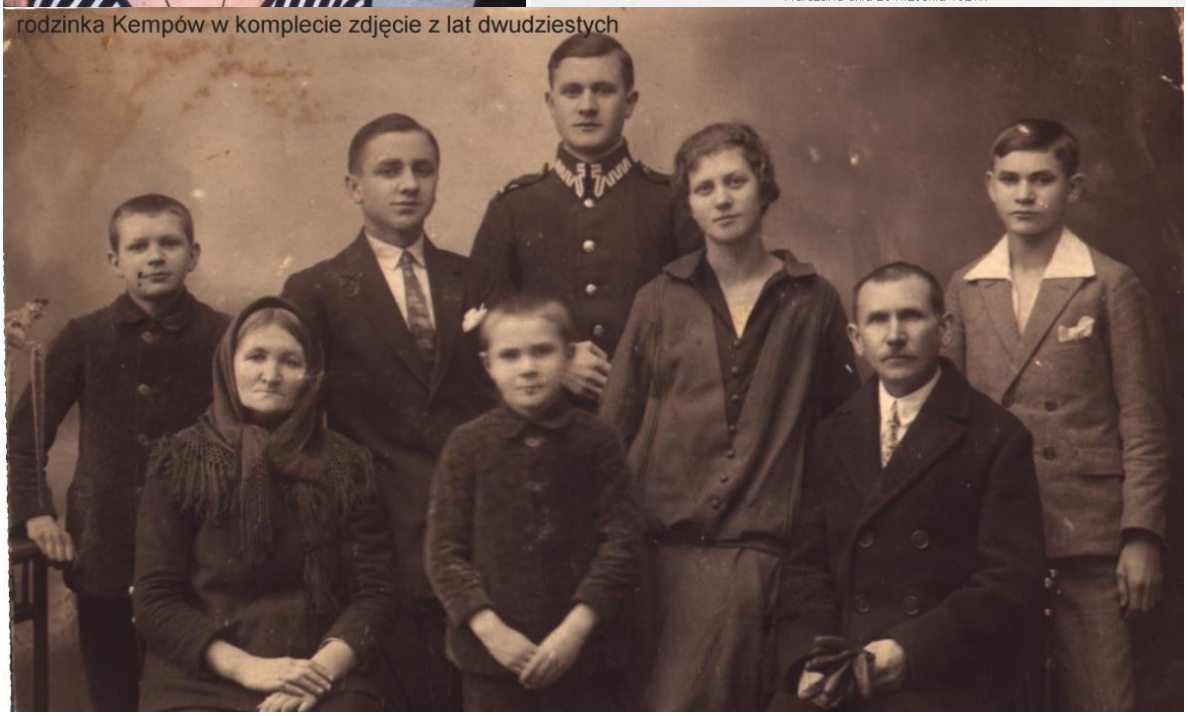

U góry Konrad Kempa oraz siostra Danuta Mamys/ zdjęcie z roku 2000.
Obok bracia ojca: z lewej Jan a z prawej Franciszek a w środku ich kolega z Seminarium Antoni Baraniak przyszły Arcybiskup Poznański
Rodzina mojego ojca w komplecie: od lewej: Stanisław mój ojciec, Franciszek, Jan w mundurze polskiego oficera, Maria i Ludwik, a niżej: Rozalia Rospęk, Edmund najmłodszy i ojciec rodziny Franciszek/ lata dwudzieste/
Zdjęcia ze zbiorów prywatnych/

Jan jako pierwszy z rodziny udał się do Warszawy. Niedługo potem jego brat **Franciszek i** siostra **Maria .**
Oboje bracia zapukali pewnego razu na furtę klasztorną OO. Salezjanów w Warszawie i tam rozpoczęli naukę formacyjną z zamiarem życia zakonnego. Terminowali wraz z przyszłym kardynałem Stefanem Wyszyńskim oraz między innymi z przyszłym Arcybiskupem Poznańskim Antonim Baraniakiem. We Włoszech też się uczyli a Franciszek w zawodzie drukarza introligatora w Torino.
Stanisław po odbyciu zasadniczej służby wojskowej na kresach wschodnich jako telegrafista łącznościowiec w Korpusie Ochrony Pogranicza w Kownie nie wrócił w rodzinne strony, ale zatrzymał się u swych braci w Warszawie. Do Warszawy przybyła też wkrótce przyjaciółka ojca Helena Malinowska, która potem została jego żoną a moją matką. Zamieszkała na ulicy Glogera 1 budynku sąsiadującym z Instytutem Radowym Marii Curie Skłodowskiej a w czasie okupacji na ulicy Korzeniowskiego 5/6 i na ulicy Kieleckiej . Niemal przez cały okres przedwojenny i okupacyjny sąsiadem moich Rodziców była znana rodzina państwa Dygatów: Antoni senior jego żona Karpińska, syn Stanisław/ 1914/ znany pisarz i córka Danuta Lutosławska żona znanego kompozytora Witolda Lutosławskiego. W domu tym były zatrudnione przyszłe serdeczne przyjaciółki mojej matki: Bronisława Mogulewska a w kuchni Pelagia Tomczak z Dolska koło Śremu.
Niemal natychmiast po wybuchu II wojny Światowej ojca zmobilizowano i zobowiązano do stawienia się do swojej jednostki macierzystej do Kowna.
Po przybyciu na miejsce nie zastał nikogo z dowódców i wraz z kolegami z rezerwy dostał się w ręce żołnierzy rosyjskich i zamiast do Katynia wywieziony został do Równego. Rosjanie potem przekazali rezerwistów Niemcom, którzy wysłali jeńców do obozu jenieckiego do Neubranndenburga /Niemcy/ Półtora roku przebywał w tym obozie, ale jednak zdołał uciec, ukrywając się pod cysternami kolejowymi, zdążającymi w kierunku południowo – wschodnim i trafił do Blechhamer/Blachownia Śl/. Następnie tym samym sposobem i metodą czyli transportem kolejowym wrócił nie bez przygód do swojej Warszawy. Jednak do Warszawy było jeszcze dość kawałek, więc resztę drogi przebył pieszo.
Krótko trwała swoboda i „ okupacyjna wolność" w tym mieście, bo schwytany w „łapance" na ulicy przez żandarmów, kiedy to przystanąwszy ,rozmawiał chwilę ze swoim bratem Janem. Wywieziono obu do budującego się obozu dla jeńców rosyjskich do Lammsdorf /dzisiejsze Łambinowice na Opolszczyźnie/.
Jana po przesłuchaniu wypuszczono po kilku dniach ,ponieważ miał na imię Johan i urodził się w Aplerbeck koło Dortmundu w Westfalii w Niemczech, natomiast mój ojciec urodził się w Polsce i miał na imię Stanisław .Niemcy nie dali wiary że są to bracia z jednej matki.
Ojciec pracował tam przy urządzaniu obozu , budowie baraków, bram ,zasieków i ogrodzenia. Dzięki pomocy wartownika ze Śląska o imieniu Konrad zdołał przez dziurę w ogrodzeniu uciec z tego obozu. W dowód wdzięczności i pamięci przyrzekł sobie że skoro urodzi mu się syn to nada mu właśnie imię Konrad. Trafiło na mnie i jestem dumny, że właśnie takie imię noszę.

Znanym i wypróbowanym sposobem, a więc transportem kolejowym, dostał się ponownie do rogatek Warszawy. Wpierw przemieszczał się pieszo poprzez pola, lasy i zarośla.
Ze względu na godzinę policyjną nie został wpuszczony do swego domu i udał się do brata Franciszka, gdzie zastał mieszkanie zaplombowane i wysiedlone. Okazało się potem że w maju 1942 roku brata Franciszka Niemcy zamordowali na Pawiaku, ujętego wcześniej na dworcu kolejowym na handlu ubraniem roboczym, aby ratować swoją liczną rodzinę w trudnych czasach okupacji. Osierocił bowiem żonę Genowefę oraz dwóch synów: Jerzego i Kazimierza. Pierwszy syn Zygmunt zmarł w pierwszych dniach wojny w 1939 roku.
Przespał się w piwnicach jakiegoś domu i rankiem następnego dnia wrócił do swego domu i do narzeczonej, z którą w czerwcu 1942 potajemnie wziął z nią ślub. Ślub odbył się w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie i w mieszkaniu państwa Dygatów przy zasłoniętych oknach, a patefon obsługiwał sam Stanisław Dygat późniejszy pisarz.
Po raz trzeci trafił w ręce żandarmów i po raz trzeci zdołał im się wyrwać. „Łapanką" stojąc ze swoim bratem Janem na ulicy został siłą wrzucony do „budy" i wywieziony na przesłuchania do Kwatery Głównej Gestapo na ulicę Rakowiecką. Jana jak zwykle uwolniono, bo legitymował się Ausweisem. Uciekł żandarmom niemal w wejściu do tego gmachu, zostawiając niestety w ich rękach marynarkę wraz z dokumentami na nazwisko Kempa. Nazwisko to zresztą było przez Niemców zaznaczone na indeksie, więc był zmuszony wyrobić sobie nowe papiery. Dzięki pośrednictwu seniora Antoniego Dygata mającego obywatelstwo francuskie, w Ambasadzie Francuskiej przy pomocy pułkownika Testara otrzymał nowy paszport na nazwisko Witold Jankowski i z tym dokumentem mógł się swobodniej poruszać.
W warszawskim epizodzie ojciec mój pracował w firmie Hartmann Braun oraz w firmie Pstrusińskiego. Po wojnie chwalił się że odnawiał domek Piłsudskiego w Sulejówku.
Urodziłem się dnia 31 marca 1943 roku na ulicy Glogera 1, natomiast moja siostra Danuta 24 kwietnia 1944 roku w Szpitalu na Czerniakowie.
W chwili urodzenia mojej siostry Danuty rodzice mieszkali na ulicy Korzeniowskiego 5/6, a gdy dom zburzono przenieśli się wraz z rodziną Dygatów na ulicę Kielecką do niewykończonego jeszcze domu kuzyna pani Karpińskiej Dygat dra Kowalskiego. Tam żyło się bez wygód, bo w stanie surowym życie jest prymitywne, ale dach był nad głową.
W piwnicach tego domu brat pani Dygatowej jako przedwojenny architekt Warszawy z rozpaczą patrzał na swoje dzieła i na Warszawę i w amoku szkicował wizje architektoniczne przyszłej Warszawy. Drugi z braci Karpińskich był prezesem Narodowego Banku Polskiego i w swej zarozumiałości chwalił się ,że jest najbardziej popularnym Polakiem i że każdy Polak go dobrze zna, bo codziennie dotyka jego podpis widniejący na polskich banknotach.
Ze względu na bliskość Pola Mokotowskiego od naszego domu na Kieleckiej, matka często spacerowała z nami niemowlakami po tym parku.
Ja stawiałem swoje pierwsze kroki, natomiast moja siostra wożona była w głębokim wózku o trzech kółkach.

Moim jedynym ulubionym przedmiotem- zabawką w tym trudnym czasie był bębenek, którego nie używałem zgodnie z przeznaczeniem do grania, a jedynie jako krzesełko do siadania, z ta tylko różnicą że zamiast „pupą" trafiać na niego siadałem zwykle na ziemię , ku wielkiej uciesze przechodzących i mamy.
Beztroskie życie zostało nagle zakłócone bo **1 sierpnia 1944 roku** właśnie na Mokotowie wybuchło **Powstanie Warszawskie**
Jeszcze w przeddzień tego doniosłego wydarzenia spacerowaliśmy sobie na naszym Polu Mokotowskim w parku. Nic i nikt nie zakłócał naszego spaceru i nic nam nie było wiadomo o zamiarach powstańców, harcerzy i dowództwa Armii Krajowej. Coś tam między sobą ludzie mówili, ale nikt nie wierzył ,że taki zryw zdeterminowanej i nieuzbrojonej ludności może mieć miejsce w Warszawie.
Ze względu na panujący głód i niewygody byłem ciągle głodny, a pokarmem z piersi musiałem się teraz podzielić z moja siostrą. Pierwsze moje słowa to „kibi solą" i „bomba". Kibi to po prostu skibka chleba po poznańsku a solą to cukier czyli skibka chleba posypana cukrem z buraków cukrowych. Mój ulubiony i jedyny przysmak w tym okresie. Więc ciągle wołałem to swoje „kibi solą". „Bomba" zaś, bo z przerażeniem i emocjami słyszałem na co dzień naloty bombowe i wybuchy i wołałem „bomba" bomba".
Spotkawszy wtedy w parku dwóch spacerujących oficerów Wermachtu ,podbiegłem nagle do nich wołając „kibi solą" a oni ze zdziwieniem spojrzeli po sobie , rozbawieni ,poklepali mnie po główce ,a jeden z nich dał mi nawet cukierka, którym natychmiast pochwaliłem się mamie. Matka przez cały czas stała w osłupieniu i nie wiedziała co począć i jak ma ratować swoje dziecko, bo z Niemcami nigdy nie było wiadomo co się może wydarzyć.
Kiedy wróciliśmy do domu ludzie ożywczo i ze zdumieniem już głośno mówili o jutrzejszej godzinie „W" i radzili , aby się do niej odpowiednio przygotować i bezpiecznie schronić.
Kiedy urodziła się moja siostra Danuta- imię otrzymała w dowód pamięci po siostrze pisarza Stanisława Dygata Danucie Lutosławskiej, z którą wspólnie zamieszkiwaliśmy, rodzice postanowili wyprowadzić się z domu państwa Dygatów, aby nie być „kulą u nogi" z dwojgiem maleńkich dzieci. Wprowadziliśmy się do sutereny domu przy ulicy Korzeniowskiego1 do mieszkania państwa Marzęckich, dzięki dobremu sercu pani Marzęckiej matki mojej przyszłej matki chrzestnej Reginie Marzęckiej- Drzewieckiej. Dom ten sąsiadował z poprzednim naszym domem przy ulicy Glogera 1 i z Instytutem Radowym Marii Curie Skłodowskiej.
W piwnicach matka wraz ze swoimi przyjaciółkami a szczególnie z Bogulińską żoną jednego z dowódców AK szyły powstańcze biało czerwone opaski, a chroniącym się powstańcom, harcerzom z Szarych Szeregów ojciec mój z innymi udzielali pomocy, przygotowując im posiłki o ile były na to odpowiednie warunki i środki do jedzenia. Pewnego dnia padł koń zabity na ulicy i ojciec wraz z sąsiadami rozszarpał go na części i do piwnic przywlókł sporo mięsa, które przygotowywano przez jakiś czas zgłodniałym i potrzebującym.
W domu państwa Dygat jako osesek byłem prawdziwą maskotką i podawany z rąk do rak, bawiłem się czymkolwiek, a moim ulubionym zajęciem było głaskanie i pociąganie lisich ogonów zwisających z narzut na łóżka. Często zabawiał mnie Stasiu- Stanisław Dygat późniejszy znany pisarz.

Pani Pelagia Tomczak z Dolska koło Śremu pomoc domowa w kuchni u państwa Dygat, była niezwykle serdeczną i miłosierną kobietą szczególnie dla Żydów i Polaków w tym ciężkim okupacyjnym okresie. Często pod ukradkiem zapraszała do sieni lub na podwórko zgłodniałych i karmiła ich pozostałościami ze stołu gospodarzy. Naturalnie każdorazowo z narażeniem swego życia.
Sceny okresu Powstania Warszawskiego przenikały do szpiku emocjami i strachem.
Przez szpary w okien zasłoniętych gazetami szczególnie nocami można było widać przemieszczających się powstańców, harcerzy i sanitariuszki. Naloty bombowe ataki „latających krów", a potem miotacze ognia, strzały, pociski ,wybuchy wpisane były w codzienne życie mieszkańców Warszawy.
Najbardziej bulwersowało mieszkańców że nie tylko Niemcy niszczyli i bombardowali Warszawę, ale nasi „przyjaciele ze wschodu" Rosjanie stojąc na Pradze burzyli dodatkowo naszą Stolice, w odwecie ,że bez uzgodnienia powstańcy i AK wywołali to heroiczne powstanie. Zdeterminowani całą tą beznadzieją i brakiem poparcia i pomocy na własną rękę wywołali Powstanie Warszawskie.
Niemcy w rewanżu natomiast postanowili zrównać z ziemią to „Miasto Niezwyciężone" Zaplanowali wpierw wyludnić Warszawę, wywożąc ludność gdziekolwiek, do obozów zagłady, na roboty do Niemiec do budowy fortyfikacji i umocnień oraz kobiety i dzieci do Obozu Przejściowego Dulag 121 do Pruszkowa.
Nocą siłą wtargnęli do mieszkań i wszystkich zaspanych wyrzucili na bruk. Po mowie matka zorientowała się że byli to Ukraińcy, pomagający Niemcom.
Matka w nocnej koszuli , ojciec też w długiej białej , bo w takiej był w zwyczaju spać przez całe życie, w papciach a dzieci niemowlaki w śpiochach bez poduszek czy kocyków.
Jedynym przedmiotem-„ talizmanem bożym" którego matka zdołała zabrać ze sobą był różaniec- którego do dziś jak relikwie przechowuję w swoich zbiorach. Na szyi ojca wisiał drugi „talizman boży" czyli medalik z Matką Boską podarowany kiedyś przez jego matkę, jak udawał się do wojska na pełnienie swej zasadniczej służby.
W takim stanie wypędzono nas na Zieleniak przy zbiegu ulic Banacha i Grójeckiej obok Gazowni.

<u>Morderstwo na ulicy Wawelskiej</u>

Mieszkaliśmy wpierw na ulicy Glogera 1 na Ochocie a potem na ulicy Korzeniowskiego 5 /6 będąc sąsiadami z rodziną państwa Dygatów i Stanisława Dygata znanego potem pisarza.
W piwnicach tego domu, kiedy były naloty i „latające krowy" spadały na domy i podwórka.
Pewnego razu na początku sierpnia 1944 roku na oczach mojej matki podjechała „buda" czyli obity blachą pojazd i zatrzymała się raptem na ulicy Wawelskiej, na którą to ulicę było dodatkowe wejście do budynku przy ulicy Korzeniowskiego 5. Tam dosłownie na rogu tej ulicy przy wylocie na ulicę Grójecką z budy tej wywleczono kilkunastu Polaków, najprawdopodobniej powstańców i ustawiwszy ich pod murem dokonano rozstrzelania. Natychmiast zabicie padli na bruk, a krew ciurkiem spływała do rynsztoku i na ulicę. Po odczekaniu wrzucono zwłoki ponownie do „budy" i odjechano.

Nagle w tym miejscu pojawiło się wielu ochotników- warszawiaków i piaskiem zasypywano kałuże zakrzepłej krwi, a inni zapalili znicze i położyli kilka bukietów kwiatów polnych . W tym miejscu powinna być obecnie ustawiona jakakolwiek tablica pamiątkowa- epitafium, bo był to mord na Polakach na oczach ludzi w biały dzień.

„Cud „na Zieleniaku

W pierwszym tygodniu sierpnia Niemcy a głównie Ukraińcy siłą wyrzucili nas nocą z domów i zapędzili na Zieleniak. Bez środków do życia i wody do picia trzymali nas przez kilka dni, aż do wywózki z Dworca Zachodniego do obozu w Pruszkowie . Maleńkie dzieci- niemowlaki w tej liczbie i my /autor tych wspomnień Konrad mający wtedy rok i 4 miesiące i siostra Danuta mająca zaledwie 4 miesiące / o głodzie i bez pokarmu z piersi matczynej, bez wody płakały. Ja natomiast ciągle wołałem to swoje „kibi solą" a moja siostra nie miała siły płakać.
Pewnego dnia jakby z niebios zjawiła się na tym Zieleniaku krowa i swoim życiodajnym mlekiem obdarowała spragnione niemowlaki. Ukraińcy w sposób nieludzki traktowali nas.
W pewnej chwili nagle jeden z pilnujących Ukraińców zawołał na dzieci, aby nabrały sobie wody ze studni, która od lat stała właśnie w pośrodku tego placu targowego. Była tam woda niezdatna do picia i kiedy ktoś zamierzał jej nabrać dostawał kulę w głowę i został rozstrzelany. Był to sposób aby uniknąć tyfusu , lub innej choroby.
Dzieci z niezwykła radością podbiegły do tej „oazy", trzymając w rękach przeróżne naczynia i puszki po konserwach. Ukrainiec wymachiwał jedną ręką na dzieci , natomiast w drugiej ręce trzymał naładowany pistolet, chcąc rozstrzelać te biedne i spragnione wody dzieci. Nagle strzelając , przestrzelił sobie tę wymachującą rękę, i w bólu pobiegł, aby ranę opatrzyć i zatamować cieknącą krew. W ten sposób dzieci zostały uratowane i stał się prawdziwy „cud". Długo potem „cud „ten był komentowany przez więźniów i przez moich Rodziców.
Matka ,trzymając swoje niemowlę na rękach próbowała użalić się na całą tę sytuację, a Ukrainiec powiedział:" masz szczęście, że żyjesz i to twoje dziecko i uderzył mamę kolba w ramię. Dobrze że nie w dziecko.
Pobieranie wody było surowo karane, a i tak co odważniejsi ukradkiem nabierali tej cuchnącej wody.
Na Zieleniaku w piekącym sierpniowym słońcu bez picia i jedzenia przetrwaliśmy aż do wywózki koleją z Dworca Zachodniego do Obozu Przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie.
Pędzeni ulicami na Dworzec Zachodni widzieliśmy pokotem dogorywających rannych i wielu zabitych , leżących w rynsztokach, płonącą Warszawę i rozwścieczonych Ukraińców, którzy pod bronią eskortowali nas niewinnych i bezbronnych. Niemców było zaledwie kilku i drwili sobie z nas wygnańców Warszawy mówiąc „Dobrze Wam wy sk….. za to że wywołaliście to Powstanie"
Przechodząc w pewnej chwili pod wiaduktem kolejowym, nagle pod nasze nogi spadła poduszka zrzucona z parowozu przez maszynistę. Był to gest litości ze strony tego miłosiernego człowieka. Ta poduszka ratowała moją siostrę od zimna i niewygód w tym obozie, gdzie posłaniem była jedynie betonowa zaoliwiona posadzka hali fabrycznej.
Stłoczeni wygnańcy- warszawiacy spali jedynie na siedząco, Moja siostra w tej hali spała na kolanach swej matki, ja natomiast na kolanach ojca a pieluchy suszone były na jego plecach.

Ojciec jako jeden z niewielu przedostał się na stronę kobiet, kiedy jeszcze na Zieleniaku Niemcy rozdzielali mężczyzn od kobiet. Mężczyzn wysyłano do KL Auschwitz lub na roboty do Niemiec, a kobiet z dziećmi do tego obozu. Ojciec trzymając mnie na rękach w tej długiej białej nocnej koszuli wydawał się Niemcom że jest kobietą z dzieckiem i w ten sposób po raz czwarty uniknął śmierci. Do czterech razy sztuka w walce o życie i przetrwanie w tej ciężkiej sytuacji w okupowanej Warszawie.
W Pruszkowie życie było nie do zniesienia i w walce o przetrwanie zdeterminowani więźniowie dokonywali cudów w swej przebiegłości i sprycie.
Żywność i wodę często z kałuży wydawano jedynie kobietom z małymi dziećmi na ręku, więc rozrywano nas ,przekazując kolejnym, którzy ustawiali się w kolejce po posiłek. W tej sytuacji siostra trzymana na ręku cioci Marii stojąc całkiem blisko pieca stalowego oparzyła sobie rączkę, dotykając ją do rozgrzanego pieca.
Przypadkowo wraz z nami w tym obozie znaleźli się oprócz wspomnianych wcześniej koleżanek matki: Pelagii Tomczak oraz Bronisławy Mogulewkiej, także inni członkowie rodziny ojca: jego siostra Maria, bratowa Genowefa Ignor- wdowa po zamordowanym bracie Franciszku, jej synowie: Kazimierz i Jerzy oraz znajoma sąsiadka Bogulińska.
Dziesięć dni sierpnia wystarczyło, aby przeżyć gehennę czasu Powstania Warszawskiego . Dziesięć dni to tak niewiele , a jednak za dużo aby wytrzymać.
Byliśmy więc świadkami tej straszliwej hekatomby i zagłady naszej ukochanej Warszawy. Ilekroć nasz ukochany Fogg śpiewał potem „ Warszawo ty moja Warszawo…" matka nie mogła powstrzymać łez ze wzruszenia.
Zaraz po wyzwoleniu z obozu Dulag 121 przewieziono nas do sołtysa Maciaszczyka do Małszyc koło Niespuszy w rejonie Łowicza, a stamtąd zimową porą przy grubo sypiącym śniegu i odkrytymi wagonami przedostaliśmy się poprzez Zduńską Wolę i Ostrów Wlkp w swe rodzinne strony do Ostrzeszowa .
Nie tylko podczas naszego pobytu w obozie Dulag 121 w Pruszkowie, ale także w czasie tego transportu ciągle wołałem swoje „kibi solą" i tutaj też nie było mojego przysmaku. Siostra Danuta transportowana była w kartonie wyścielanym sianem, chroniącym od zimna.

Byliśmy „cichymi" świadkami okupacji i Powstania Warszawskiego, bo mieliśmy /ja i moja siostra/wtedy zaledwie kilkanaście miesięcy, ale opowiadanie naszej matki i ojca a także spisane kroniki przez moja matkę i zdjęcia z tego okresu, załączone do niniejszego opowiadania, noszą w sobie emocje i wrażenia jakie były udziałem wymienionych członków rodziny mojego ojca Stanisława .
Autor Konrad Kempa syn Stanisława

Moje miasto urodzenia po 70 latach

Urodziłem się w czasie okupacji hitlerowskiej w Warszawie na Ochocie na ulicy Glogera 1 dnia 31 marca 1943, jako pierworodny syn Stanisława Kempa i Heleny Malinowskiej. Ukochana , wymarzona i wyśniona przez moich Rodziców Stolica Polski Warszawa, do której wyjechali jeszcze przed wojną jawiła się jako wspaniała, przepiękna, bogata i atrakcyjna. Stolica – wzorowe, pokazowe miasto- wizytówka współczesnej Polski.

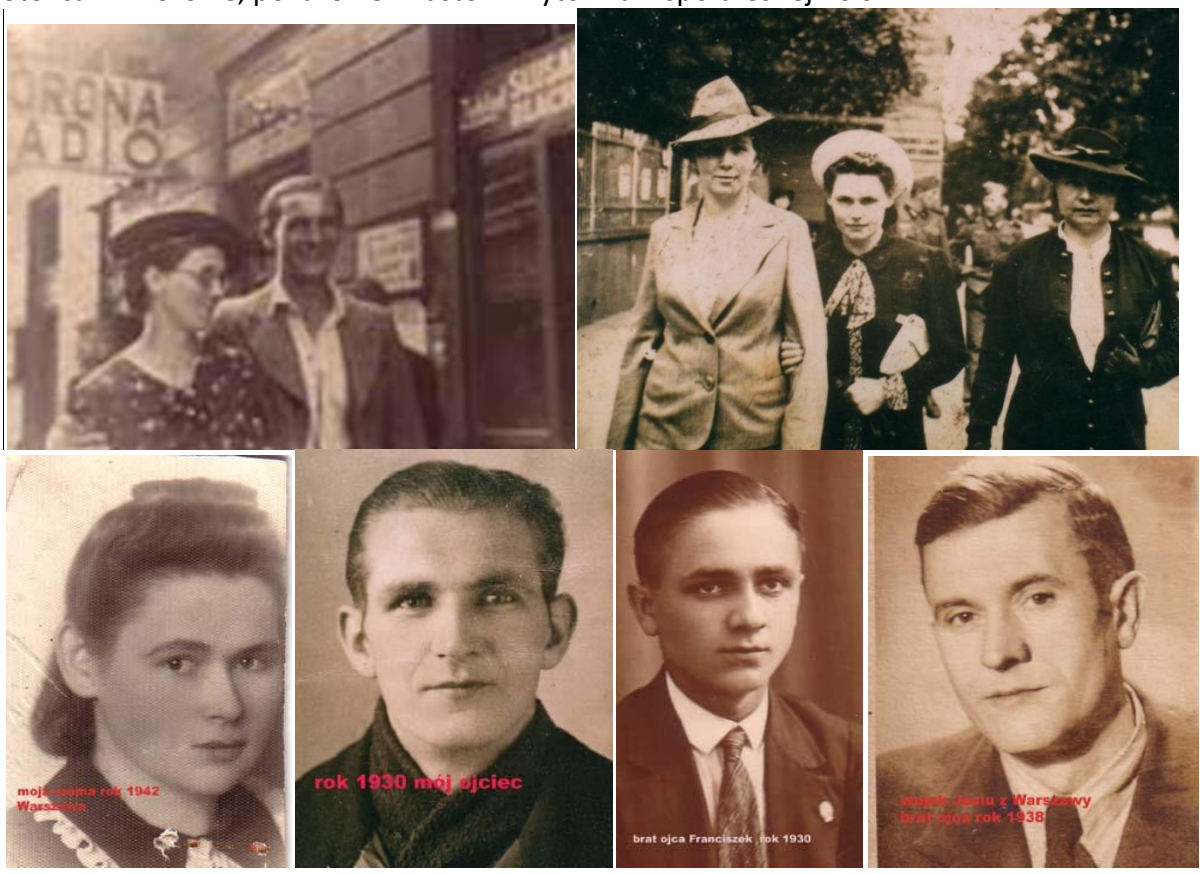

U góry brat Stanisław/mój ojciec/ z siostrą Marią na spacerze przed wojną a obok matka Helena w środku ze swoimi koleżankami z lewej Pelagią Tomczak a z prawej Bronisławą Mogulewską pomoce domowe u państwa Dygat/zdjęcie z czasów okupacji w tyle idą żołnierze Wehrmachtu-/ zrobiono w ukryciu/. Niżej od lewej moja matka Helena Malinowska Kempa, obok mój ojciec Stanisław dalej jego brat Franciszek i brat Jan.

Pierwszy z rodziny mojego ojca do Warszawy wyjechał jego brat Jan, potem, siostra Maria, brat Franciszek, a mój ojciec natychmiast po odbyciu zasadniczej służby wojskowej na kresach wschodnich w Korpusie Ochrony Pogranicza KOP w Kownie, zatrzymał się „na stałe" u swojego brata Jana na Chmielnej i tam zaprosił też swoją przyjaciółkę z poznańskiego a moja matkę Helenę Malinowską, która chętnie skorzystała z tej propozycji, ponieważ jako sierota" nie miała nic do stracenia" jak mawiała.

Ojciec Stanisław w polskim wojsku, obok dwaj bracia w Warszawie a obok dwaj bracia- ojciec w mundurze wojskowym na przepustce w Warszawie.

Dwaj bracia przy fontannie w ogrodzie Saskim oraz na spacerze na ulicach Warszawy

Pełni zachwytu i uwielbienia Polacy" z krwi i kości" z Południowej Wielkopolski zamieszkali wpierw na Chmielnej i Siennej, potem na ulicy Glogera 1 a następnie na ulicy Korzeniowskiego 5/6 na Ochocie, oraz na ulicy Kieleckiej na Mokotowie.
Wybuch wojny zastał moich Rodziców w Warszawie.
W tym gnieździe strachu i hitlerowskiej hekatomby dzielili los Polaków, udziałem których były prześladowania, łapanki , przesłuchania, bicia , represje, rozstrzeliwania ze strony okupanta.

W tej sytuacji Rodzice w czerwcu 1942 roku w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie wzięli ślub, a uroczystość ślubna potajemnie przy zasłoniętych oknach odbyła się w mieszkaniu państwa Dygat, przy patefonie obsługiwanym przez pisarza Stanisława Dygata, w towarzystwie pani Dygatowej , jej córki Danuty Lutosławskiej, niańki Bronisławy Mogulewskiej , pani Marzęckiej i jej córki Reginy oraz koleżanki z Poznańskiego kucharki u państwa Dygat pani Pelagii Tomczak z Dolska koło Śremu.
Mieszkaliśmy po sąsiedzku z państwem Dygat pod 6 na ulicy Korzeniowskiego 5. Z domu tego zostaliśmy wyrzuceni i wtedy nas bezdomnych do swego mieszkania przygarnęła ta poczciwa i dobra pani Marzęcka ,przy ulicy Glogera 1. Dom ten jak i ten na ulicy Korzeniowskiego sąsiadował z ulica Wawelską i Grójecką i Instytutem Radowym Marii Curie Skłodowskiej.
Po upływie roku od mojego urodzenia w Szpitalu na Czerniakowie urodziła się moja siostra Danuta, która w momencie wybuchu Powstania warszawskiego miała zaledwie 3 miesiące a ja zaledwie 15 miesięcy i już stawiałem pierwsze odważne kroki.

Autor opowiadania Konrad na roczek, z mamą na spacerze oraz na Polu Mokotowskim z siostra Danutą oraz ze swoim ulubionym bębenkiem krzesełkiem.

Kiedy niespodzianie wybuchło Powstanie Warszawskie, w dziesięć dni potem, ludność Warszawy z tego rejonu zgromadzono na Zieleniaku przy Gazowni u zbiegu ulic Banacha i Grójeckiej i tam przetrzymywano wszystkich niewinnych Warszawiaków a głównie kobiety i dzieci w upale i niewygodach o głodzie i bez wody, a potem pędzono ulicami Warszawy ,pomiędzy zabitymi i płynącą rynsztokami krwią powstańców aż do Dworca Zachodniego, aby następnie koleją wywieźć do Obozu Przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie.
Tam przebywaliśmy niemal do zakończenia wojny. Tuż przed wywózką nas w rodzinne strony do Ostrzeszowa/południowa Wielkopolska/ wywieziono nas do wsi Małszyce koło Łowicza, gdzie zamieszkaliśmy u miejscowego sołtysa Maciaszczyka.
O Warszawie i czasie okupacji Rodzice wspominali z nostalgią i rozrzewnieniem. Łzy często pojawiały się na ich obliczu, mawiali ”Wy tego nie zrozumiecie, co myśmy przeżyli”. Ilekroć przychodziły chwile tęsknoty, matka uspakajała się nucąc znaną piosenkę: „ Warszawo ty moja Warszawo tyś pieśnią mych marzeń i snów…”
Podziwianie przez Rodziców przedwojennej Warszawy udzielało się i nam dzieciom, szczególnie tym urodzonym w Warszawie, a nie pamiętającymi tych czasów.
Już w kilka lat po wojnie, odwiedziłem to moje miasto urodzenia i z atencją i emocjami zwiedzałem wraz z moją ciotką Marią wszystkie miejsca mojego dzieciństwa a raczej niemowlęctwa i urodzenia.
Jeszcze kilka razy trafiłem do Warszawy, przy okazji delegacji służbowych do Ministerstwa ale nigdy nie było okazji i czasu, aby ją zwiedzić i nacieszyć się jej widokiem.
Po 70 latach wybrałem się pendolino do Warszawy wraz z moją córką i wnukiem. I wtedy zwiedziłem wszystkie miejsca przedwojennej Warszawy znane Rodzicom i nam z ich Wspomnień a więc:
Wpierw zapukałem do mieszkania na ulicy Elektoralnej /obok Hali Mirowskiej/ do mojej matki chrzestnej pani Reginy Marzęckiej Drzewieckiej.
Rozmowa z nią pełna emocji i zainteresowania, ponieważ od niej dowiedziałem się wiele faktów i zdarzeń, o których do tej pory nie słyszałem.
Jako 14 letnia dziewczynka „ od Teresek” podawała mnie do chrztu Świętego w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie/ ul. Grójecka/. Natomiast na ulicy Glogera 1 w podwórzu tej posesji zamieszkaliśmy u jej Rodziców państwa Marzęckich, kiedy wysiedlono nas z ulicy Korzeniowskiego 5

Regina Marzęcka Drzewiecka a obok kościół pw. Św. Jakuba na Ochocie.

Zaraz też udałem się do miejsca szczególnego dla mnie, a więc na Ochotę do kościoła, gdzie przez Reginę podawany byłem księdzu do chrztu Św. i przy chrzcielnicy, która była jeszcze z tych lat/1940/ pomodliłem się do mojego Boga. Na tej chrzcielnicy z roku 1940 w j. łacińskim napisano wtedy: „Hos deus emunda gvos aguae abluit unda" co w luźnym tłumaczeniu oznacza: „wszystkich zachowanych tą woda Bóg raczył oczyścić"
Podobno ksiądz, który udzielał mi chrztu Św. dożył sędziwego wieku i niedawno zmarł.
Wraz z córką i wnukiem Pawłem udaliśmy się do muzeum Fryderyka Chopina , bo matka szczególną atencją darzyła tego wspaniałego polskiego kompozytora. Przez tydzień a potem jeszcze kilka razy Chopin przebywał w dworku myśliwskim w gościnie u Radziwiłłów w Antoninie, który leży w pobliżu miejsca urodzenia moich Rodziców w południowej Wielkopolsce . Kolejnym miejscem zwiedzania było Muzeum Powstania Warszawskiego, urządzone niedawno w starej Elektrowni. Tam przekazałem wspomnienia mojej matki z czasów okupacji i Powstania Warszawskiego „Byliśmy świadkami okupacji i Powstania Warszawskiego" . Otrzymałem tez ostatnio podziękowanie od Dyrekcji tego Muzeum.
Na pamiątkę do moich materiałów kronikarskich i rodzinnych zabrałem stamtąd wiele pamiątek a szczególnie kartek z kalendarza z okresu Powstania Warszawskiego.
Niemal po sąsiedzku ulicy Elektoralnej w tamtejszej Hali Mirowskiej przeżyłem wspomnienie o masowych mordach Polaków, o których matka wspominała z płaczem.
Idąc ulica Grójecką, skręcając w jedną z bocznych uliczek trafiłem na ulicę Glogera 1 miejsce mojego narodzenia. Pod numerem 1 w podwórzu przebywaliśmy u państwa Marzęckich, przygarnięci – bezdomni do ich mieszkania. Pani Marzęcka była dozorczynią tego domu, kiedy pana Marzęckiego -właściciela firmy budującej studnie Niemcy na początku wojny Zabrali do obozu w Auschwitz i zamordowali.

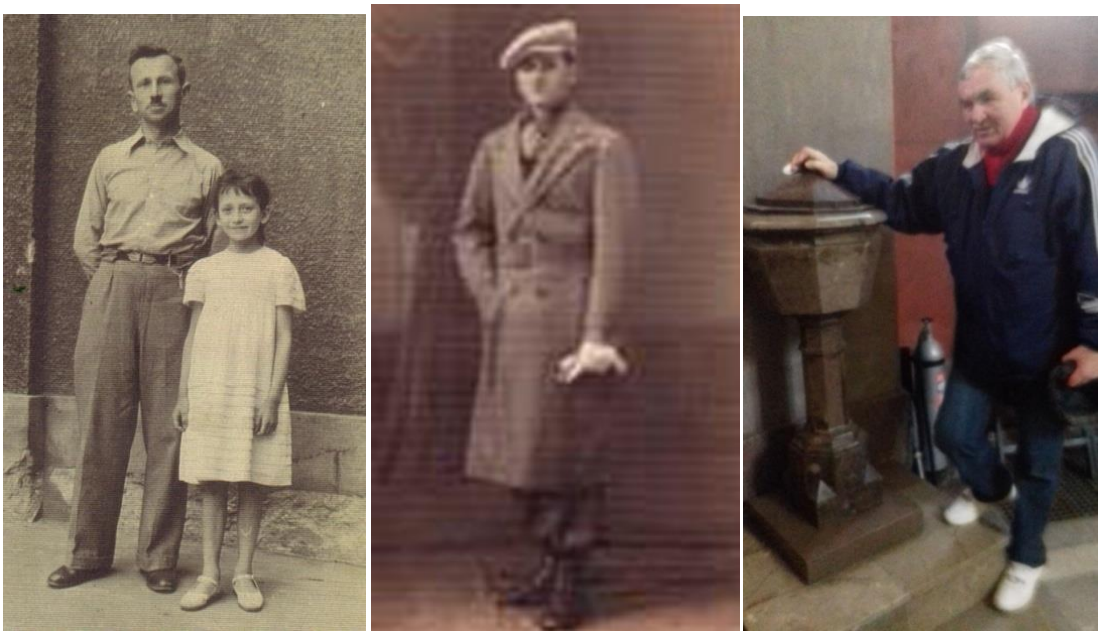

Pan Marzęcki ze swoją córką Reginą a obok mój ojciec Stanisław /zdjęcie przedwojenne/ I przy chrzcielnicy w kościele pw. Św. Jakuba

Na ulicę Glogera w sąsiedztwie ulicy Wawelskiej obok Instytutu Radowego M. C. Skłodowskiej schroniliśmy się tymczasowo, wypędzeni z ulicy Korzeniowskiego 5 , gdzie pod numerem 6 mieszkaliśmy w bezpośrednim sąsiedztwie mieszkania Nr. 6 państwa Dygat. Tam tez zwiedzaliśmy korytarze i klatkę schodową ,a nawet owo mieszkanie pod 5 gdzie w tych czasach przebywaliśmy.
Z bijącym sercem przystanąłem na rogu ulicy Wawelskiej i Grójeckiej, gdzie pod murem i płotem Niemcy względnie Ukraińcy zamordowali strzałem w tył głowy kilkunastu Polaków-Powstańców. O tym zdarzeniu wspominała matka chrzestna Regina oraz moja matka, która przypadkowo była świadkiem tego zdarzenia. Nie zwróciłem uwagi czy aby w tym miejscu mordu znajdowała się jakakolwiek tablica pamiątkowa, czy o tym mordzie wspominają kroniki?. Kiedy jeszcze krew nie zastygła Warszawiacy palili znicze na tym miejscu i pojawiły się polne kwiaty. Potem w pośpiechu sprzątali ślady tego zdarzenia.

Stoję w klatce schodowej domu przy ul. Korzeniowskiego 5/6 oraz z wnukiem Pawłem przed fontanną w ogrodzie Saskim a obok stoję w podwórzu budynku przy ul. Glogera 1 w którym się urodziłem31. 03 1943 roku.

Na Zieleniaku u zbiegu ulicy Grójeckiej i Banacha też byłem. To miejsce czasowego przebywania ludności Warszawy przed wywózką do Obozu Przejściowego Dulag 121 do Pruszkowa. Mam tez w planie zwiedzić w najbliższym czasie ten obóz w Pruszkowie. Dla tego Muzeum przekazałem moje a raczej matki wspomnienia z czasów okupacji.
Nie mogę tez zwiedzić sławny z okrucieństwa Pawiak, gdzie zamordowano mojego wujka Franciszka, a brata mojego ojca , aleję Szucha gdzie wujek był przesłuchiwany przed straceniem i przyszłe Muzeum na ulicy Rakowieckiej, gdzie mieściła się Kwatera Główna Gestapo, gdzie mój ojciec Stanisław uciekł żandarmom, prowadzony w to miejsce po kolejnej łapance na ulicach Warszawy.
Następnie planuję udać się na ulicę Kielecką, gdzie w niewykończonym domu dra Kowalskiego krewnego pani Dygatowej przebywaliśmy krótko nie mając gdzie się podziać.
Na ulicy Narbutta w tamtejszej kaplicy miałem szczęście w latach pięćdziesiątych uczestniczyć w nabożeństwie prowadzonym przez księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego, Kolegę szkolnym moich wujków Franciszka i Jana

Kościół na Narbutta.Ks. kardynał Stefan Wyszyński odprawia mszę Św .rok 1960

Dalej Pole Mokotowskie, gdzie wraz z matką spacerowaliśmy często a ja stawiałem pierwsze kroki, natomiast w wózku o trzech kółkach matka woziła moja młodszą o rok siostrę.
Zamiast grać na podarowanym mi bębenku, próbowałem go używać do siedzenia, ale niestety zamiast usiąść na nim trafiałem na ziemię, ku wielkiej zabawie przyglądających się.
Tam też pewnego razu podbiegłem do spacerujących oficerów Wehrmachtu i poprosiłem o „kibi solą" czyli po mojemu" chleba z cukrem" i zamiast tego mojego przysmaku, dostałem od jednego z nich cukierka i uradowany wróciłem do matki, która z przerażeniem obserwowała całe to zdarzenie.
Matka wspominała Pole Mokotowskie jeszcze z przed wojny, gdzie kilkakrotnie dało się słyszeć piękny śpiew sławnego tenora Jana Kiepury, który prawdopodobnie mieszkał gdzieś w pobliżu.
Kolejnym punktem zwiedzenia była sławna przedwojenna fontanna w ogrodzie Saskim przy której tradycyjnie robiono sobie zdjęcia i my też stanęliśmy przy niej aby uwiecznić siebie na zdjęciu jak to kiedyś zrobili dwaj bracia Stanisław i Jan a potem ja autor tych wspomnień ze swoim bratem Januszem.
Przy okazji pomodliliśmy się za spokój duszy poległych w wojnie Nieznanych Żołnierzy.
Potem było oczywiście Stare Miasto, pomnik Małego Powstańca i Zamek Królewski ,plac Kolumną Zygmunta i ruchome schody.

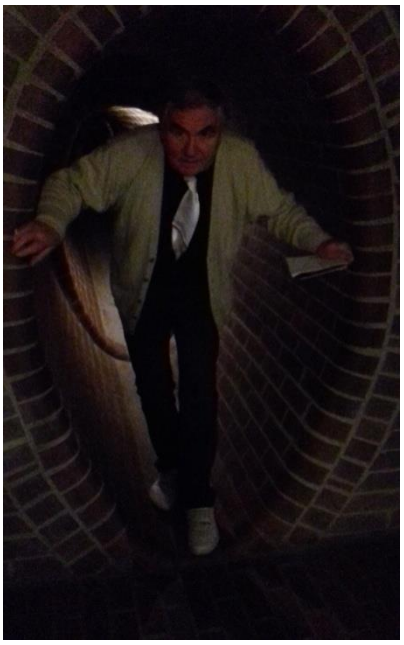

Przy pomniku Małego Powstańca oraz w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Z powojennych budowli zwiedziliśmy Stadion Narodowy, Dworzec Główny, Metro i Pałac Kultury i Nauki.
W okresie okupacji ojciec stracił swego Brata Franciszka, a sam czterokrotnie salwował się ucieczką; dwukrotnie schwytany w łapance przez Niemców uciekł im z rąk , prowadzony na stracenie oraz z obozu w Lammsdorf, a na początku wojny z obozu w Neubrandenburgu. Czwarty raz przy wywózce do obozu w Pruszkowie podczas rozdzielania mężczyzn od kobiet. Warszawa- Miasto Nieujarzmione" bo po takiej totalnej zagładzie podniosło się dzięki ofiarności , determinacji i poświęceniu Polaków.
W czasie okupacji i po Powstaniu Warszawskim doszczętnie zniszczona , wydawało się że się nie nie dźwignie z ruin, jest w chwili obecnej prawdziwą wizytówką nowoczesności i piękna.
W okresie okupacji w piwnicach wspomnianego już wcześniej domu dra Kowalskiego na ulicy Kieleckiej brat pani Dygatowej –architekt przedwojennej Warszawy pan Karpiński przerażony widokiem spalonej Warszawy i jego twórczych dzieł architektonicznych w amoku i z płaczem malował wizję nowej Warszawy.
Tacy są Warszawiacy. Zaraz po wojnie spontanicznie odbudowywali swoją Stolicę.
Jestem dumny z mojego wujka Idziego, który tez jako murarz pomagał przy odbudowie Warszawy na Muranowie i innych osiedlach.
Z dumą obnoszę się że urodziłem się w Warszawie i życzę sobie i Polakom, aby wzrastała w pięknie nowoczesnej architektury i była dumą europejskich miast.

KEMKON 2017

Ostrzeszowska gwara, zwyczaje, obrzędy ,tradycja, rzemiosło.

Ostrzeszów- kazimierzowskie miasteczko perła Południowej Wielkopolski z licznymi zabytkami, bogatą kulturą i ciekawymi mieszkańcami, urzeka każdego, który w jakikolwiek sposób i przy okazji zajrzy do niego, lub się w nim „zakotwiczy".
Mieszkańcy z „dziada pradziada" ostrzeszowiacy i ja w tej liczbie interesują się tym wyjątkowym miejscem na polskiej ziemi.

Ostrzeszów Akwarela wykonana przez Janusza Kempę w roku 1967 z dachu Domu Kultury w głębi Ratusz i Fara

Do dziś dnia zachowały się świadkowie zamierzchłych czasów czyli zabytki, budowle, obrazy i rzeźby.

Ostrzeszowska gwara, zwyczaje, obrzędy i tradycja przebogata i specyficzna, jedyna w swoim rodzaju i ze wszech miar polska, choć na przestrzeni lat przewijały się różnorakie kultury: germańsko –pruska, żydowska, rosyjska/jedynie w okolicach będących pod zaborem rosyjskim/ to tradycje polskie dominowały.
Wychowany w rodzinie „z krwi i kości" ostrzeszowskiej z zainteresowaniem i podziwem obserwowałem i uczyłem się miejscowej gwary i w pamięci zachowały mi się zwyczaje, obrzędy i tradycja tego miejsca na ziemi.
Gwara to specyficzne zwroty, nazwy i powiedzenia, właściwe dla ostrzeszowiaków. Są przebogate i godne zachowania dla potomnych.
Tymi przeze mnie zapamiętanymi pragnę się obecnie podzielić z czytelnikami „Naszych stron ostrzeszowskich". Żywię nadzieję, że w ślad za mną pójdą inni, którzy jeszcze bardziej wzbogacą ten zbiór i zasób słów, powiedzeń i zwrotów.
Obecnie nastały inne czasy i okoliczności, więc zaciera się stopniowo ta piękna i barwna, ciekawa tradycja i zwyczaje. Z „Zachodu" przychodzą do nas nowe, udziwnione, niezwykłe i banalne, bo przecież jesteśmy społeczeństwem unijnym, wchłaniającym obyczaje „Zachodu" i Ameryki.

Zacznijmy od opisywania ostrzeszowskiej gwary i ze względu na spontaniczność opisu w układzie niealfabetycznym niestety:

Snelka, giermuszka- to potrawy w postaci gęstych zup z podrobionym chlebem, na tłuszczu zwierzęcym z dużą ilością czosnku i skwarek, podawanych na gorąco. Na Śląsku- wodzionka.
Wymborek- to wiadro na wszelkie odpadki i zlewki. Słowo często używane przez moich dziadków. Dowiedziałem się niedawno że wyraz ten jest też używany w północnych obszarach Wielkopolski.
Ryćka- małe drewniane krzesełko bez oparcia, używane często jako podnóżek i do siedzenia w kuchni.
Wichajster- to przyrząd do wszystkiego. Kiedy brak jest określenia danego urządzenia czy sprzętu, narzędzia używa się właśnie tego.
Laćki- domowe obuwie z piętą lub bez, na podbiciu gumowym lub ze skóry.
Drajfus- kopyto metalowe odlew żeliwny lub staliwny używane u szewca, stojące do formowania butów i ich reperacji.
Rondelek- mała patelenka z uchwytem o wysokich randach/krawędziach/
Kopyść- przyrząd wykonany z drewna z kulą na jednym z jego końców, służący do rozgniatania potraw w kuchni.
Firlok- przyrząd wykonany z drewna świerkowego do rozbijania piany i gęstych ciekłych potraw. Świerk zeschły, który pozostał z Bożego Narodzenia nadawał się do wyrobu tego typu przyrządu kuchennego.
Katapul- zabawka dla dzieci starszych wykonana z rozwidlonej gałęzi, służąca do strzelania przy pomocy gumy, inaczej zwana procą.
Kozik, klupek- to inaczej scyzoryk składany. **Sznupa-** buzia pejoratywnie. **Nie sznup-** nie szukaj.
Leberka- wątrobianka **Knaczki-** serdelki, parówki **No zimne-** galareta z nóżek wieprzowych **Kiszka-**kaszanka
Kiszczaka-zupa, wywar z kaszanki gotowanej we flakach **Kluszczanka-**pozostałość po wygotowanych szarych kluskach.
Plendze- placki ziemniaczane **Onuce-** kawałki flaneli lub lnianego płótna służące do ocieplania nóg wkładanych do butów.
Kapce- rodzaj obuwia wykonanego z filcu, wojłoku , wysokie na zimę. **Mufka** ocieplacz na zimę do rąk na sznurku

Szabelek- fasolka szparagowa z wyglądu podobny do szabelki. **Świętojanki** porzeczki, bo dojrzewają na Św. Jana czyli pod koniec czerwca.
Kowolowe kluski-czyli owoce głogu. **Sznupa-** buzia pejoratywnie .**nie sznup-** czyli nie szukaj i nie przewracaj.
Podej-no, chodź-no- gwarowo tryb rozkazujący do natychmiastowego wykonania. **Chadra-** szmata, ścierka
Gałgan-albo szmata ,albo łobuz **Drach-** latawiec lub łobuz, urwis. **Kanka-** naczynie na mleko , zamykana pokrywką
Skład- sklep **Skibka-**pajda chleba, kromka-końcówka chleba,
Fajerki- krążki, obręcze żeliwne na piecu kuchennym węglowym ułożone nad paleniskiem.
Framuga- schowek w piecu kaflowym z drzwiczkami. **Lońt-** szmata, ścierka może być też urwis, wyrwipołeć
Szneka z glancem- czyli drożdżówka z polewą cukrową na wierzchu. **Skopowina-** baranina, mięso baranie
Pużytka- pośladki **Śniki, bziki-** marzenia senne **Masz bzika**- jesteś głupi pejoratywnie. Inaczej **kuku na Muniu**
Ciulik- penis **Ruchol, kacap-** Rosjanin pejoratywnie **Gnojek-** łobuz **Glinkowy ocet-** lekarstwo, octan glinu na kompresy.
Kokot- kogut **Kogutek-** proszek od bólu głowy. **Radiski-** rzodkiewki **Smark-** wyciek z nosa podczas kataru lub dziecko pejoratywnie.
Znajda- bękart czyli dziecko z nieprawego łoża. **Folksdojcz-** czyli ten kto podpisał volkslistę w czasie wojny.
Wilija- wigilia Bożego Narodzenia. **Makiełki-** potrawa wigilijna z maku na słodko.
Gwiazdor- człowiek przebrany urzędujący w Wigilię Bożego Narodzenia. **Gągle-** z nosa wyciekająca wydzielina
Giyry- pejoratywnie niezbyt kształtne nogi. **Rynsztok-** obrzeże jezdni i chodnika miejsce spływu ścieków.
Kłaki-pejoratywnie włosy **Łapawica-** rękawiczka robocza **Stanik-** biustonosz
Klops- kotlet mielony. Z greckiego klops- to złodziej , czyli oszukany kotlet schabowy. **Skarżypyta-** ten kto namiętnie skarży, szkaluje.
Gzika- potrawa z sera białego rozdrobniona z cebulką i śmietaną, podawana do ziemniaków.

Prażuchy- gotowane ziemniaki rozdrobnione, krychane, z mąką ziemniaczaną wygrzewane we framudze pieca lub pod pierzyną, podawana ze skwarkami i zasmażaną kapustą kiszoną. **Pyrki, pyry,-** ziemniaki
Podciechy, członki, siwki, zielonki, krawce, kozaki, zajączki, siniaki, gąski- grzyby
Sąsiek- pomieszczenie gospodarcze na wsi do przechowywania siana i słomy. **Wialnia-**urządzenie , maszyna do oddzielania źdźiebeł od ziarna zbóż. **Postronki-** uprzęż dla konia wykonana ze skóry i stali
Chomąto- element uprzęży dla konia na karku. **Barczyk-** element zaprzęgu z drewna okuty
Borty, tyłek elementy wozu konnego boki z drewna i tylna część wozu. **Szajbka-** podkładka. **Muterka-** nakrętka.
Francuz- klucz uniwersalny **Stekiel-** elementy z drewna, patyki do gry. **Hetta, ćwi, prr,wio,** zawołania i komendy dla konia przy powożeniu.
Grdyka- krtań **Zelówki-** podeszwy ze skóry lub z gumy. **Wychodek-** wolnostojąca, drewniana ubikacja z deską bez odpływu
Piernaty- pościel **Ondulacja-** układanie włosów u pań
Szpanowanie- odgrywanie elegancji i szyku lub **szpanowanie firan-** naciąganie na ramach. **Portki-** spodnie na co dzień
Kanoldy- mleczne cukierki bez papierków **Konina-** mięso lub wyroby z konia
Stypa- uroczystość, przyjęcie w gronie rodzinnym i przyjaciół po pogrzebie **Podarki-** prezenty
Miech, mieszek- worek **Łachy-** stare szmaty **Pierdoła-** byle co gada i niedorzecznie **Skisłe –** zsiadłe mleko **Ciuchy-** używana odzież **Kiecka-** suknia niezbyt elegancka na co dzień **Kichol-** nos **Kłaki-** włosy niemyte lub długie **Cycki-** piersi **Wele-** wele stodoły- obok , przy **Pętelka-** miejski radiowęzeł **Kukuruźnik-** dwupłatowiec prod. Rosyjskiej **Dylówki-** konstrukcja drewniana pod podłogą **Galimatias-** bałagan
Szrubsztok- szczotka ryżowa do mycia podłóg drewnianych i schodów. **Hengielek-** zawieszka na ubraniu, tasiemka do zawieszania.
Klamoty,szbyry- graty, zbędne nagromadzone rzeczy, urządzenia, przedmioty. **Jędza-** stara nieznośna baba, baba jędza
Sipa- łopata ta większa/sercówka/

Kąpielka- kąpielisko otwarte **Latawica-** ulicznica, dziewczyna lekkich obyczajów. **Hycel-** człowiek chwytający przeważnie na lasso wałęsające się psy. **Rakarnia-** rzeźnia do zabijania zwierząt **Kopytko-** piłka sklejana z gumy z elementów w kształcie kopytka.
Bobkowe liście- liście laurowe **Maciek, kryka-** laska do podpierania dla starszych **Cukrówki, klapsy, ulęgałki-** gatunki gruszek
Szczeplina rodzaj bata do bicia z rzemykami na jego końcu. **Smary-** lanie , bicie, baty. Dostaniesz w domu smary.
Serwatka- pozostałość płynna po produkcji sera. **Kartoflanka-** zupa z kartofli, ziemniaków
Pół funta- funt to pół kilogramów **Tytka-**torebka na materiały sypkie lub cukierki **Centryfuga** urządzenie do produkcji masła
Zupa „nic” zupa na mleku z ubitym białkiem jajka na wierzchu , na słodko z wanilią **Pierdoły-**bzdury, bez sensu słowa,głupstwa
Farmazony-słowa bez pokrycia, i bez sensu **Horendalne-** ponad miarę, zbyt wysokie
Siadłocha- zsiadłe, kwaśne mleko **Krychane pyrki-**duszone, ugniatane ziemniaki pyree
Szagówki- kluski zwałowane i cięte na ukos- **na szagę Furtka-** mała bramka, zabudowana w ogrodzeniu.
Cyganić- kłamać **Puszorki-** uprzęż dla konia **Kapeć-** stary uszkodzony but **Kierz, Kierzek-** krzak, krzaczek,
Drzypapa- beksa w spazmatycznym nieprzerwanym płaczu **Papa-** usta, twarz, **drzypapa-** beksa
Antrejka- wejście do domu rodzaj przedpokoju z oddzielnym daszkiem i schodami lub stopniem.
Babiniec-pomieszczenie oddzielne przed wejściem do kościoła dawniej przeznaczone było jedynie dla kobiet.
Lyżka- grządka na działce lub w ogrodzie warzywnym **Broić-** psocić, chuliganić **Ramole-** niezdarni, starzy ludzie
Krajczoki- mieszkańcy pobrzeży miasta **Kurdupel-** zbyt małego wzrostu jak na swój wiek **Kozoki-** dorastający chłopcy
Pamponie- bogaci wieśniacy, rolnicy, mieszkańcy wsi. **Bambry-** podobnie jak pamponie. **Cyngiel-** spust przy karabinie lub pistolecie
Lufka- szklana rurka do papierosów **Skostniały-** zmarznięty do **szpiku kości** czyli na wskroś
Do cienkiej nitki- zmoczony **na całego** lub **do cna Babry-** bliżej nieokreślona mieszanina, potrawa do jedzenia, byle co
Daligo- w przypadku konieczności przyspieszonego działania

Fajfy tańce przy muzyce na żywo wieczorową porą szczególnie dla młodzieży
Gwiazdory przebierańcy, odwiedzający domy w Wigilię Bożego Narodzenia
Święconka- potrawy wigilijne poświęcone, zanoszone do kościoła w koszyku. **Krochmal-** roztwór wodny z mąki ziemniaczanej
Czernina zupa z kaczej krwi podawana z zacierką, kluskami i suszonymi śliwkami lub gruszkami.
Zacierka- kluski drobne niekształtne z mąki dodawane do rosołów i innych zup.
Polewka –zupa z mąki i kwaśnego mleka podawana z ziemniakami w mundurkach i okraszonych słoniną wędzoną ze szczypiorkiem.
Okowita czyli denaturat **Kran-** zawór do wody **Zgrzebło-** przyrząd do czesania sierści konia i zwierząt
Pokrywka- przykrycie garnka. **Kamieniok-** gliniany garnek wypalany. **Oberwanie chmury-** ulewa, gwałtowna burza. **Bryle-** okulary
Mycka- czapka mocno zużyta **Korcipki-** tarnina **Bykowiec** bat na byka, świnię, krowę stosowany w rzeźni do poganiania
Nahajka- rodzaj bata z rzemieni na trzonku. **Gnaty** stare kości **Pepegi-** tenisówki **Laboga-** określenie trwogi i zaniepokojenia
Rety, rety- zawołanie na trwogę **Chapcie-** zniszczone domowe obuwie chodzone. **Rzić-** czyli pośladki, tyłek
Nawyzywać, dokazywać- upominać, skrzyczeć, broić, psocić **Klompy-** chodaki, drewniaki, obuwie z drewnianymi spodami
Pepegi lub cichobiegi- tenisówki **lołfrować, smykać się,** wałęsać się, przebywać w niewiadomym miejscu i z byle kimś.
Uświnić się ubrudzić, **sznupać –** szukać nie koniecznie zagubionej rzeczy, **zrób Se –**zaimek zwrotny inaczej sobie
Unorać jak wyżej **punglać-** szukać , kopać , przewracać, **obstalować-** zamówić na termin, **utunkać** zamoczyć, zanurzyć na przykład pióro w inkauście czyli atramencie, **kupić coś na zeszyt / czyli na borg/-** czyli kupić coś nie mając środków pieniężnych w zamian za wpisanie długu do zeszytu **siekane-** mięso na tatar ,nie mielone, **zakalec-** niedopieczony placek, źle wyrobiony
Strużyny- obierki na przykład z ziemniaków, **gangrena** ropne stany ,zakażenia, określenie także człowieka niepoprawnego i łobuza
Łozygiel- chabazie chebzie, ,łęty, sterczące gałęzie, badyle, łodygi, drobne krzewy
Koza, cyganek- piecyk żeliwny lub stalowy do ogrzewania pomieszczeń na trójnogu z rurą do odprowadzenia spalin do komina.

Pokój lalek z lat 50 tych a obok wózek głęboki dla niemowlaków z lat 50 tych

Przedmioty z dawnych lat: kociołek do prania, tarka do prania, ryćka, laćki , garnek gliniany do kiszenia ogórków konewka/kanka/,czerpadło do fekalii, wanna,/balia/do prania.

Wyrazy te świadczą o odrębności etnicznej tej części Polski i wzbogacają język polski i kulturę środowiskową.
Moja matka w szczególny sposób się wyrażała i miała bogaty repertuar powiedzonek i przysłów Znanych i takich swojskich/na swój użytek/. Zapamiętałem wiele, bo nieraz są mi potrzebne i chętnie je używam przy każdej okazji, tak jak ona kiedyś.
Używała je często i chętnie ku wielkiej uciesze słuchających i domowników. Była więc wielką skarbnicą i wzbogacała gwarę i miejscowy poznański język. A oto niektóre z tych powiedzonek i zwrotów:

Powiedzenia i zwroty

-jak ciele za krową chodzić za kimś krok w krok
-**wystrychnąć na dudka-** lub wystawił się do wiatru
-**wyszedł jak Zabłocki na mydle-** nieudane przedsięwzięcie, impas w biznesie.
-**z motyką na Słońce-** wybrał się w jakimś celu nieprzygotowany i bez asekuracji.
-**pożywienie mam swoje- kluski na lóncie-** oświadczenie nieproszonego gościa w progach domu gospodarza.
-**gorzkie pyrki z myrdyrdą-** byle co do jedzenia
-**śmieje się jak głupi do sera-** śmiech bez przyczyny i z byle czego.
-trafiło się jak ślepej kurze ziarnko- przyjemna niespodzianka
-**Na Wilka, na stawie-** czyli w gospodarstwie u pana Wilka w jego stawie.
-Funta kłaków nie warta- rzecz lub osoba nic nie warta, bez znaczenia
Z gwary poznańskiej śmiano się na przykład: łodejdź łod łokna, bło cie łobleję włodą łod łogórków, albo wymień kilka miejscowości na Ł. Łostrów, Łodolanów, Łostrzeszów, Łopole, Łolesno itd.
Chodź idziemy, chodź zrobimy itd.- zachęta do wykonania czynności wspólnie
Konia z rzędem- zapewnienie, lub potwierdzenie tezy
Łeb w łeb- jednocześnie np. w biegu ,ex eguo z łac. dosłownie z konia
Co koń wyskoczy- nagle i niespodziewanie
Dowcipny jak maćków kot- świeczkę zjadł i po ciemku siedział, w odniesieniu do kogoś kto przesadził w wypowiedzi lub w żartach.
Jeśli jesteś głodny, masz zachcianki, to czym prędzej idź do domu i się porządnie najedz.
Jeśli dźwigasz ciężary, to im szybciej pójdziesz, to tym mniej będziesz nosił.
Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada,
Kto od razu daje, dwa razy daje
Gość w domu , Bóg w domu
O pomstę do nieba- w przypadku groźnego przewinienia, przestępstwa
Sodoma i Gomora- w przypadku totalnego bałaganu i niechlujstwa, a nawet awantury.
Groch z kapustą- mieszanina, bałagan/ z łaciny cycer cum kaule/
Nieobecni, nie mają racji
To przechodzi ludzkie pojęcie- brak słów, czyn ponad rozsądek
Masz ci los- odpowiedź w przypadku niemiłego zdarzenia
Bystry jak woda w muszli- w przypadku osoby przemądrzałej i z londyńskim dowcipem.
Nie ma większego gałgana, gdy przeszedł z dziada na pana.
Jak Se pościelisz, tak się wyśpisz
Mądrej głowie, dość dwie słowie zbyteczne jest powtarzanie dla rozumnej i mądrej osoby
Człowiek, człowiekowi wilkiem
Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek zejdzie się z człowiekiem.
Nie boisz się bojaźni Bożej. W przypadku popełnienia przestępstwa i nie wyrażania żalu.
Boisz się i broisz.
Jak nie słuchałeś ojca, matki to słuchać musisz psiej skóry, czyli bicie paskiem ” jak psa”
Darowanemu koniowi w pysk się nie zagląda. Nie wymyśla się nad prezentem, należy go z pokorą przyjąć bez komentarza.
Kradzione nie tuczy-rzecz kradziona nie przynosi zysku.
Nie rób drugiemu , co tobie nie miłe.
Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Odwdzięczyć się tym samym w rewanżu.
Czcij ojca swego i matkę
Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje
Kto zaraz daje, dwa razy daje.
Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.
Nie dziękuj , wyznam ci szczerze … często powtarzany zwrot z” Powrotu Taty” Adama Mickiewicza. W przypadku , gdy zbyteczne jest dziękowanie ze strony obdarowanego.
Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy- w przypadku, gdy po występku nie doczekano się przebaczenia winy.
Nie święci garnki lepią- czyli że każdy potrafi wiele zdziałać.
Żaden majster nie spadł z nieba. W stosunku do ucznia jako zachęta.
Jak się boisz, to masz grzech.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa, tak mawiali starzy, jeśli ci Bóg błogosławi, wszystko ci się zdarzy.
Bez Boga ,ani do proga
Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi Rzymianie mówili inaczej sero, venientibus Ossa czyli późno przychodzącym kości.
Nie wskazuj łapą, jak gadasz papą
Nie ciesz się gagatku, z czyjegoś przypadku.
Jeśli nie uważałeś jak robić, to teraz rób jak uważasz
Znikła jak kamfora- czyli straciło się bezpowrotnie i nagle
Jak ślepy o kolorach lub wiódł ślepy kulawego.
Brudny jak Święta ziemia- czyli brudny nie do umycia.
Dogadał się jak gęś z prosięciem- czyli rozmowa i nieporozumienie brak wyjaśnienia i uzasadnienia.
Na frasunek, dobry trunek czyli zalać robaka
Doczekała się świeczka wieczoru- albo przyszła kryska na Matyska,albo Pan Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy.
Kto śpiewa, dwa razy się modli.
Jesteś mi solą w oku- czyli kolisz w oko/ kłujesz/
Lepiej by było uwiązać kamień młyński i zatopić w głębinach morskich czyli dla drania, dla którego nie ma poprawy.
Nie sądź, nie będziesz sądzony.
Co głuchy nie dosłyszy, to zmyśli.
Pracuj, pracuj , a garb ci sam wyrośnie

Śpiesz się powoli z łaciny festina lent
Niech cię ręka Boska broni- w przypadku zamierzenia jakiegoś przestępstwa- ostrzeżenie.
Za nic w świecie bezwzględne ostrzeżenie inaczej **po trupach albo po moim trupie**
Kiszki marsza grają albo żołądek przysechł mi do kręgosłupa kiedy głód dokucza i jesteś głodny.
Głodny jak lew albo wilka bym zjadł
Zjadłbym konia z kopytami
Nie śpiewaj przy jedzeniu, bo będziesz miał głupią żonę.
My tu sobie gadu, gadu ,a złodziej śliwki rwie spóźniona reakcja na zaplanowane przedsięwzięcie
Nauką i pracą ,narody się bogacą
Ucz się ucz, bo nauka to potęgi klucz
Rany Boskie lub na rany Chrystusa powiedzenie w przypadku jakiegoś niemiłego zdarzenia.
Idź do diabła lub do czarta
Diabelskie nasienie lub z piekła rodem na kogoś wyjątkowo złego i niepoprawnego.
Pić na umór czyli bez opanowania upijać się.
Pijak ma, pijak da, pijakowi Pan Bóg da
Pijak ma szczęście mimo że jest pijany, zwykle wychodzi z opresji i upadku.
Na bezrybiu i rak rybą- czyli zawsze się znajdzie wyjście z sytuacji lub do jedzenia.
Dobrymi chęciami piekło wybrukowane- gdy ktoś obiecuje gruszki na wierzbie czyli nie do zrealizowania zamierzenia.
Głodny sytego nigdy nie zrozumie
Dzieci, dzieci kara na was leci- ostrzeżenie dla dzieci brojących, psocących
Leniu, leniu idź do cieniu czyli pobudka dla ospałego i leniwego
Złodziei nie ma ludzie sami kradną
Pierwsze koty za płoty lub pierwsze śliwki robaczywi
Komu w drogę, temu czas- przypomnienie aby wyruszyć w drogę, bo jest późno
Od piwa, głowa się kiwa, od wódki rozum krótki, od wina, głupia mina upominanie dla pijaka lub nadużywającego alkoholu.
Sto lat sto lat miły bracie, tam pogoda czeka na cie
Z Bogiem nie ma żartów czyli igranie z dobrem, żartowanie z Boga i religii
W marcu jak w garncu, czyli na przemian raz zimno raz ciepło
Kwiecień, plecień bo przeplata trochę zimy trochę lata.
Czekaj tatka latka- czyli oczekiwanie **na świętej Nigdy lub do usranej śmierci.**
Wykorzystaj dzień czyli jak mawiali Rzymianie carpe diem
Utraciłem dzień czyli diem perdidi
Czas ucieka, wieczność czeka na człowieka /Rzym. Tempus fugit/
Kto je ostatki- jest piękny i gładki
Wykosztować się- ponieść koszty do reszty.
Wypominki, Zalycki- modlitwy za zmarłych wymienianych w kościele z kartek podawanych przez wiernych.
Zasypywać gruszki w popiele- spóźniona reakcja i działanie., zaniedbywanie obowiązków
Pierwsze śliwki robaczywki- pierwsze niezbyt udane robótki, czynności.
Pierwsze koty za płoty po wykonaniu po raz pierwszy czynności udanie.
Lepszy rydz niż nic albo na bezrybiu i rak rybą wyjaśnienie powyżej
Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą
Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek
Pielenie łyżek odchwaszczanie grządek na działce
Brakuje ojca, matki- w przypadku totalnego chaosu, bałaganu
Na psa urok- do kitu, na sermater- określenia dla bylejakości i braku elegancji i porządku.
Do cholery- przy braku opanowania i cierpliwości
Dziadostwo- zaniedbanie, bałagan, brak kultury i porządku
Na krzywy ryj- za darmo **na sępa**- brak poczucia rewanżu i odwdzięczenia.
Wątroba mi zgnije- przy nadmiarze zmartwień i kłopotów
Jak w Osieku- określenie bałaganu i chaosu
Trzęsie się jak osika- określenie stanu organizmu w porze zimnej.
Ja tu gadu, gadu, a złodziej śliwki rwie. Odpowiedź na spóźnioną reakcję przed planowanym przedsięwzięciem.
Nie idzie tego zrobić bezradność
Chodź pójdziemy lub chodź no zachęta, zaproszenie
Patrzy jak sroka w gnat- zagapienie, zaślepienie i brak uwagi
Ubogo, ale chędogo –czyli biednie ale schludnie i czysto.
Ostatnie bydle z obory- wydatkowanie się co do grosza.
I co tam tak punglosz- czego tam szukasz?
Nie punglej- nie szukaj
wyszło szydło z worka czyli sprawa się „rypła" wydała
Powsinoga- włóczęga

Nie kijem go to pałką- jak nie tak , to tak, przewrotność w działaniu, powrót do pierwotnego działania, czynu.
Do wesela się zgoi- w przypadku niewielkiej rany, uszkodzenia ciała, obietnica
Wyrobił się jak haczyk od ustępu- czyli zmienił się ale nie tak do końca.
Leniu, leniu idź do cieniu czyli dla ospałego i leniwego.
Wara mi od…ostrzeżenie przed czymś lub przed kimś, inaczej daleko mi od… lub odczep się od….

typowa kuchnia mieszczańska z lat przedwojennych a obok sypialnia ,u góry przygotowanie do pochodu 1 majowego i na Kąpielisku

Zwyczaje, obrzędy, tradycje w roku kalendarzowym i w poszczególnych porach roku.

-**Na Nowy Rok i na Sylwestra:**
Chowanie furtek i bram, wyciąganie z zawiasów.
Zatykanie kominów szybą.
Graffiti na murach opisująca Nowy Rok
Zabawy Sylwestrowe połączone z fajerwerkami i szampanem.
Kuligi, sanny, powiązane między sobą sanki przywiązane do sań z końmi.
-**Na karnawał**
Zabawy z przebieraniem i kotylionami zarówno publiczne jak i w domowym zaciszu/prywatki/
-**na ostatki przed Środą Popielcową**
Zabawa ,a o północy na znak początku postu wieszanie u powały w domu ości ze śledzia.
Chodzenie z turoniem i gwiazdą na wioskach
Na Matkę Boską Gromniczną zapala się świecę gromniczną celem uchronienia domostw od grzmotów i piorunów w czasie burzy.
Gromnica-świeca która winna towarzyszyć człowiekowi przez całe życie. Tj podczas chrztu Św, podczas Komunii Św, podczas burzy i pożaru, przy przyjmowaniu Sakramentów Świętych, podczas choroby i wieku starczego oraz przy skonaniu.

-**w Środę Popielcową-**
Posypywanie popiołem głów w kościele i ścisły post co do ilości i jakości.
Na Niedzielę Palmową kilka dni przed wyprawy poza miasto w celu zrywania gałązek z palmami-baziami dla domu i dla kościoła

Wielki tydzień- w kościele obrządki rytualne tradycyjne a w **Wielki Piątek** wczesnym rankiem senior rodziny w tym przypadku mój dziadek „kolędował" od domu do domu po rodzinie
I przygotowaną wcześniej witką wierzbową lub brzozową, odkrywając pierzynę , chłostał nią boleśnie po naszych nogach wołając" Boże rany, boże rany…" Chrystus cierpiał , więc i wy też musicie .
Wielka Sobota- w południe ministranci ubrani odświętnie w swoje komeżki ,trzymając w rękach kołatki i grzechotki drewniane obchodząc wszystkie obiekty sakralne w okolicy, począwszy od swojej fary odgłosami swoich przyrządów przypominali wszystkim mieszkańcom o zbliżających się Świętach Zmartwychwstania Pańskiego. W tym bowiem okresie milkły wszelkie dzwony, organy i instrumenty. Było głucho, cicho i dostojnie, atmosfera przygotowań i oczekiwań na coś wielkiego.
W tym dniu przybrane kosze z potrawami zanoszone były do kościoła, w celu ich poświęcenia. Do bardzo bogatych mieszkańców ksiądz proboszcz osobiście zachodził aby święcić potrawy w ich domach.
Straż przy grobie przez całą noc ministranci , harcerze i strażacy czuwają przy grobie Chrystusa w kościele aż do Rezurekcji, która wczesnym rankiem rozpoczyna świętowanie Chrystusa Zmartwychwstałego.
Wielkanoc uroczyste świętowanie Zmartwychwstania Pańskiego z obfitym stołem na śniadanie i dzielenie się jajkiem, składając sobie wzajemnie życzenia. Jajko jako symbol życia
Konsumpcja zawartości koszyka ze święconką
Śmigus ,dyngus czyli Lany Poniedziałek oblewanie wodą każdego i bez powodu.
Prima Aprilis nieprzewidywane i zmyślone zdarzenia i sytuacje
Pierwszy dzień wiosny- dzień wagarowicza, chodzenie z przebierańcami, topienie marzanny
Dni Krzyżowe i Św. Marka szczególnie na wioskach obchody pól i święcenie tradycja kościelna.
Na Boże Ciało po procesji przynosi się gałązki brzozy z wystroju ołtarzy i zatyka się je w domu za obraz o tematyce religijnej i przechowuje się je przez cały rok

Zakaz kąpieli aż do Św. Jana tzn do 23 czerwca.
Szukanie w lasach kwiatu paproci w noc świętojańską
Na Św. Jana w kościołach pije się wino niekonsekrowane
Na Matki Boskiej Zielnej 15 sierpnia przynosi się do kościoła zioła i pierwociny zbóż celem poświęcenia.
Święcenie bydła i zwierząt gospodarczych w Mikstacie chyba jako jedyne w Polsce dnia 15 sierpnia
Dożynki na wsiach czyli Święto Plonów. Świętowanie zakończenia żniw i zbiorów. Wieńce dożynkowe ,wystawy i kiermasze.
Wszystkich Świętych , Święto Zmarłych i Zaduszki. Spotkania rodziny i krewnych przy rodzinnych grobach na cmentarzu, dyżur harcerzy przy Pomniku Powstańców Wlkp., a seniorów na kweście przy wejściu na cmentarz. Odwiedziny ponowne cmentarza w ciągu nocy i podziwianie gry świateł i ferii barw zniczy i lampionów.
Na Andrzejki lanie wosku i wróżby , zabawy
Na Adwent- chodzenie na Roraty z lampionami wcześnie rano lub na wieczór.
Wieczerza wigilijna i dzielenie się opłatkiem z życzeniami dla każdego .
Pod obrusem włożone sianko jako symbol ubóstwa betlejemskiego.
Na wioskach dzielenie się kolorowymi opłatkami z trzodą chlewna i zwierzętami gospodarskimi.
Gwiazdory- po wieczerzy wigilijnej przebierańcy w postaci gwiazdorów z workiem z prezentami i rózgami kolędują domy. Często towarzyszyły im diabły przebrane i wyposażone w sznury i paski do bicia.
Choinka na Boże Narodzenie i śpiewanie kolęd w domowym zaciszu.
Pasterka w kościele i żłobki bogate i strojne w domach i kościołach.
Kolędowanie po domach przez księży.
A więc bogaty jest program obchodów w ciągu roku kalendarzowego. Nie praktykujący niestety są w wielu przypadkach ubożsi o zwyczaje przyjęte w kościele, chyba że robią to w ukryciu dla tradycji i uczczenia swoich katolickich przodków.
Pogrzebowiny- przechowywanie zmarłego w trumnie w domu/dawniej/ przez trzy dni, przy zasłoniętych białym płótnem,/ prześcieradłem/ szczelnie oknach. W okresie lata trumna obłożona była lodem w bryłach ze względu na fetor/nieprzyjemny zapach/
Przez trzy dni najbliżsi zbierali się w domu na różańcu za zmarłego.
Przed wejściem na cmentarz niosący trumnę trzykrotnie się kłaniali, czyli trzy razy obniżali trumnę ,w celu wypędzania złego ducha/ diabła/.
Do trumny wkładano nieraz rzeczy osobiste/fajkę, papierosy, /o ile zmarły palił/ różaniec i książeczkę do nabożeństwa, a nawet pieniądze.
Na wesele- na szczęście tłuczono w przeddzień szklane talerze, półmiski i szklanki.,
A za samochodem lub bryczką na sznurkach z kokardami przywiązane elementy blaszane musiały powodować odpowiedni hałas. Widziałem też garbusa z młodą parą obwiniętego szczelnie papierem toaletowym. Samochód winien być przepięknie wystrojony według indywidualnego gustu. Obecnie robią to firmy specjalistyczne.
Salezjanie na balkonie- w latach pięćdziesiątych Salezjańska Młodzież na balkonie swej uczelni wygrywali pieśni maryjne w okresie maja, a na Boże Ciało orkiestra w procesji uświetniała tę uroczystość religijną.
Kiszenie kapusty, ogórków, zaprawy/kompoty/ świniobicie Kiszenie kapusty w beczkach drewnianych dębowych i deptanie /ugniatanie/ nogami gołymi lub w kaloszach, Kiszenie ogórków w beczkach i przechowywanie beczek w wodzie/stawie, jeziorze/, Zaprawy, kompoty w weckach słoikach na gumkę, Świniobicie odbywało się dwa razy do roku na Wielkanoc i na Bożę Narodzenie , najczęściej w domu lub w pralni lub innych pomieszczeniach gospodarczych. Wędliny wędzone, przechowywane były w komórkach , na strychu ,podwieszone na sznurkach i suszone. Często mięso i wyroby przechowywane były w słoikach wcześniej zagotowanych.
Lodownie- czyli magazyny z lodem krojonym w bryły dla celów chłodniczych. Wyrób lodów przez ich kruszenie i dodawanie smaków- najczęściej w centryfudze.

Wymarłe i wymierające zawody, rzemieślnicy w Ostrzeszowie

Powroźnik- rzemieślnik wyrabiający liny i powrozy z lnu i kopii
Magiel- urządzenie do prasowania pościeli i wielkowymiarowych materiałów wcześniej wykrochmalonych, wymoczonych w roztworze wodnym z mąki ziemniaczanej.
Szewc i cholewkarz naprawiający obuwie ze skóry.
Garncarz- produkujący garnki, dzbany i półmiski
Kołodziej- wyrabiający koła do wozów i bryczek. Rzadko koła młyńskie i wiatraki.
Kowal- wyrabiający na gorąco w kuźni elementy stalowe dla koni i ogólno ślusarskie.
Malarz pokojowy i meblowy
Szpanowanie firan- suszenie i naciąganie firan wyprodukowanych z kordonków bawełnianych na specjalnych sztalugach i naciągu z gwoździ wbitych na obrzeżach.
Wyrób sztucznych kwiatów i wieńców z materiałów tkaninowych oraz wieńców ze świerku i długich elementów liści i łodyg.
Introligator- oprawiający książki i czasopisma
Młynarz- pracujący w młynie i produkujący mąkę
Kuśnierz- krawiec szyjący wyłącznie futra/ krawiectwo ciężkie/
Futer karz lub skór karz ,garbarz wyprawiający skóry , futra ze zwierząt przy pomocy garbników.
Kaletnik-produkujący pasy i szelki ze skóry i wszelkie elementy skórzane/uprzęż dla konia/ torebki, rękawiczki.
Woźnica- powożący końmi i prowadzący transport konny.
Rymarz- podobnie jak kaletnik w odniesieniu do pasów i uprzęży dla konia.
Hycel i rakarz- chwytający na lasso bezdomne psy i koty, a rakarz zabijający i przerabiający w rakarni schwytane psy i koty.
Browarnik- produkujący z chmielu piwo w browarze
Dekarz- remontujący dachy i ich opierzenia, rynny i spusty
Obuwnik i cholewkarz- wyrabiający obuwie i cholewki
Latarnik- obsługujący w mieście latarnie i elementy świetlne gazowe a potem elektryczne.
Gazownik-produkujący gaz z węgla w gazowni.
Mleczarz- przewożący końmi mleko z gospodarstw wiejskich do zlewni.
Aptekarz i drogerzysta- sprzedający w Aptece lub w Drogerii i produkujący leki i mikstury na zamówienie.
Cieśla- wyrabiający z drewna ciężkie i wielkie elementy konstrukcji dachów budynków i budowli.
Snycerz- rytownik wyrabiający precyzyjne elementy ozdobne w metalu.
Grabarz- kopidół pracownik cmentarny
Badylarz- rozwożący i sprzedający jarzyny i ziela.
Ogrodnik- hodujący i sprzedający warzywa i owoce, krzewy i drzewka
Felczer- lekarz ze średnim wykształceniem, przyuczony.
Znachor, wróżbita, czarownica. Ostatnie czarownice w Polsce zlikwidowano/zatopiono w stawie parkowym w Doruchowie/
Brukarz- układający z kamieni i cegieł ulice, obrzeża i chodniki.
Kamieniarz-wyrabiający groby i pomniki
Stójkowy- policjant lub strażnik dyżurujący na ulicy.
Piecownik- budujący i naprawiający piece kuchenne i kaflowe.
Brązownik- ślusarz elementów wykonywanych z brązu miedzi i mosiądzu.
Drwal- pracownik leśny pracujący przy wyrębie lasu
Rzeźnik- sprzedawca w sklepie mięsnym
Sklepikarz- sprzedający w sklepie różnej branży.
Dorożkarz- powożący dorożką ludzi.
Furman- powożący wozem i końmi
Cukiernik- wytwórca słodkich wypieków
Lodziarz- produkujący i sprzedający lody.
Kapelusznik wytwórca i sprzedający kapelusze i nakrycia na głowę
Wikliniarz, koszykarz rzemieślnik wyplatający koszyki i inne wyroby z wikliny i je sprzedający

SPOTYKAŁEM ARTYSTĘ MALARZA
CZYLI
TAJEMNICZEGO CZŁOWIEKA ZE SZTALUGĄ

Takim Go widziałem ,zapamiętałem i narysowałem

W latach mojego dzieciństwa i dorastania miałem okazję wielokrotnie spotykać znanego i wielkiego ostrzeszowskiego artystę malarza **Antoniego Serbeńskiego** ucznia potomków lwowskiej artystycznej bohemy jak Styki czy Stachiewicza . Nie zdawałem sobie wtedy sprawy ,że ten człowiek ascetycznej budowy, tajemniczy i małomówny jest tak wielki, jak się okazało po jego śmierci jaka miała miejsce w maju roku 1957, kiedy ja miałem skończone 14 lat.
Przez te 14 lat żyłem i bawiłem się w rejonie zamieszkania tego wielkiego człowieka, ponieważ mieszkając na ulicy Daszyńskiego pod numerem 14 /dawniej Ogrodowej/ moim teren zabaw i moich rówieśników były place „Na Stawku" , Borku ,między domami przy ulicy Garncarskiej, Chmielnej, Daszyńskiego, Targowej , Łaziebnej Strumykowej, Piekary i Siennej, a więc w otoczeniu domu w którym mieszkał ten artysta.

Na ulicy Garncarskiej pod numerem 5 w domu państwa Karolewskich w których była dawniej Piekarnia z pysznymi wypiekami było nie tylko na piętrze jego mieszkanie ale przede wszystkim na poddaszu ze ściętym dachem, pracownia, którą wielokrotnie artysta namalował na swoich obrazach.
Na tym placu na ulicy Garncarskiej obok po przeciwległej stronie był kamienica pana Gorgolewskiego w podwórzu której była garbarnia i wytwórnia skór futerkowych po drugiej stronie stały domy w jednym mieszkał dziwak, gołębiarz Mazurkiewicz przezywany „Majują" a obok stał drewniany domek kryty papą na podmurówce ceglanej państwa Gorgolewskich, który potem został zburzony. W pobliżu domu artysty na tej samej ulicy Garncarskiej mieszkała rodzina mojego wujka- Kempowie; rodowici ostrzeszowianie, a senior tej rodziny Ludwik doskonały ostrzeszowski krawiec, znany z „ciągotek do kieliszka" był częstym gościem w domu artysty i zapewne oboje chętnie „ zaglądali do kieliszka". Pierwsza żona Ludwika Anita z Gorgolewskich umarła dość wcześnie, osierocając trojga dzieci, a zwłoki w trumnie po zgonie umieszczone były- pamiętam w tej małej chatce o której wcześniej wspomniałem.
Obok domu z Piekarnią , w którym mieszkał artysta stał drewniany domek piętrowy z poddaszem na podmurówce ceglanej, który potem w latach 50 tych zburzono i obecnie stoi dom piętrowy murowany. Dom nowy wybudował mój wujek Teofil Baraniak. Podczas budowy często przynosiłem wujkowi obiady .
Bawiąc się w tych miejscach, często niby zjawa w czarnym ubiorze ze sztalugami i walizką pojawiał się ów tajemniczy mężczyzna. Widywałem Go potem wielokrotnie w różnych miejscach miasta Ostrzeszowa i okolic a więc głównie oprócz już wymienionych ulic i placów – na Siennej, na Rynku, w okolicach fary, na cmentarzu przy farze, na Pl. Kazimierza, na ulicy Św. Mikołaja i przy kościółku drewnianym Św. Mikołaja, Kolejowej , na ulicy Wielińskiej, przy źródełku na Królewskim, na alejce przy klasztorze SS. Nazaretanek , na ulicy Klasztornej a nawet w lasku klasztornym w rejonie „górki klasztornej," na ulicy Zamkowej w rejonie baszty kazimierzowskiej.
Za wyjątkiem kolegów i znajomych w ścisłym gronie i wybranych przez artystę w tym mojego wujka Ludwika mieszkanie przy ulicy Garncarskiej u pana Karolewskiego nie było dostępne dla szerokiej rzeszy ciekawskich i dzieci. Zresztą wyjątkowo z wielką awersją odnosił się do dzieci i gapiów. Był tajemniczy, skryty i niedostępny, więc dzieci nie próbowały się z niego „wyśmiewać" i brać „na języki".
W tej okolicy wystarczająco dużo było dziwaków i starszych wiekowo ekstrawaganckich ludzi i właśnie z nich dzieci drwiły i się „naśmiewały" z ich ułomności. Dzieci w swej istocie są agresywne i w doskonały sposób potrafią naśmiewać się z ich wad , przyzwyczajeń i udziwnień.
Pamiętam że podmiotem kpin był zdziwaczały profesor Michalski, który zbierał z rynsztoków ulic, placów i chodników patyki drobne gałązki i pośpiesznie chował je do swojej czarnej torby na pasku., czy Rózi ,mieszkającej na poddaszu na Borku nad kuźnią, która obrzucała nas zgniłymi jabłkami i kartoflami, kiedy kpiliśmy sobie z niej.
Wspomniany wcześniej pan Mazurkiewicz czyli „Majuja" był też podmiotem wyzwisk.

Wołaliśmy z uciechą na niego” Majuja , brifki na dachu” jako że był wielkim miłośnikiem i hodowcą gołębi pocztowych, a on z wściekłością gonił nas rzucając za nami kamykami i kijami co miał pod ręką.
Kolejnym podmiotem był „Malinek” z rodziny państwa Biskupskich, dziwak, aktywny sportowiec biegacz i pływak, z którego również naśmiewaliśmy się, a on w amoku i szale do upadłego gonił nas „na koniec świata”.
W tym rejonie mieszkali też inni, odmienni od nas ludzie jak „Pytyjonek” jąkający się, piegowaty niepełnosprawny umysłowo kolega ,głupi Józek u państwa Wrzesińskich z ulicy Łaziebnej który zza płotu obrzucał nas „bobkami „końskimi i co miał pod ręką, kiedy” rzucaliśmy” przezwiska w jego stronę, czy Anielka z Pustkowia „zbieraczka” po ulicach różnego rodzaju niepotrzebnych rzeczy i przedmiotów a nawet papierków.
Po ulicach chodził garbaty człowiek z którego też naśmiewaliśmy się, wołając za nim „psy, koty, szczury, myszy…”bo jak głosiła plotka zjadał chyba tego rodzaju zwierzątka, łapiąc je w sidła. Jednak z tego człowieka ze sztalugą , poważnego i tajemniczego dzieci nie drwiły. Już wtedy za życia mówiono , że jest to wielki , wykształcony w Krakowie artysta malarz.

Jakim był człowiekiem i jak był postrzegany ten tajemniczy sędziwy, siwobrody starzec z ulicy Garncarskiej?

Siwobrody, ascetyczny starszy pan,
odludek, małomówny, zamyślony,
artysta o pelikanim sercu
żył w Ostrzeszowie
Poddasze na Garncarskiej ulicy,
Było miejscem obrazów tworzenia
Przy sztaludze na zydelku siedział,
Ostrzeszowski malarz
Na Garncarskiej znikał w sieni domu,
By się przy baszcie lub farze pojawić,
Na brejtramie po płótnie pędzlem smagał,
Tworząc pejzaże.
W artystycznym zwidzie Go widziałem,
Pod lipami, kasztanami przy farze,
Na polach, łąkach, w lesie, w barze,
Zawsze przy sztaludze.
Wiekowe rozłożyste lipy,
Rozsiadłe na ostrzeszowskim cmentarzu,
Zdobiły pejzaż piastowskiego grodu,
Tuż przy farze.
Wrażliwość piękna Go pożerała,
Kiedy stare drzewa ,chaty malował,
Niespokojny, skupiony pan Antoni,
Serbeński malarz

Pszczele ule, świątki, przydrożne krzyże
Malarza ręką na płótnie znaczone,
Kolorami drażniły źrenice,
Pobudzając zmysły.
Obojętny na przechodniów i gapiów,
Sędziwy, długobrody miasta malarz,
Nucąc sobie ukraińską pieśń,
Obrazy tworzył.
Tam na Garncarskiej w obraz wpatrzony,
W ponurych zakamarkach poddasza,
Ten znakomity artysta malarz,
Dzieła malował.

Kiedy niczym zjawa wyłaniał się schodząc po schodach z klatki domu należącego do pana Karolewskiego , wzbudzał zainteresowanie nas dzieci i przechodniów.
Wysoki, z rozwichrzoną siwą czupryną ,łysiejącym czołem i bardzo długą siwą brodą, w ciemnym garniturze, szytym przez mojego wujka Ludwika, niekiedy w kapeluszu wyłaniał się zza węgła sąsiednich kamienic przy Garncarskiej. Smukłość jego cienia znikała w czeluści tych wąskich uliczek.
Pod pacha zwykle nosił złożoną sztalugę a w ręku ciemną skórzaną walizkę- kuferek, w której najprawdopodobniej przechowywał wszelkie niezbędne akcesoria malarskie, a więc pędzle, farby, szmatki i olej lniany w buteleczce. Zapewne były tam też farby akwarelowe i woda, bo często i chętnie malował akwarele. W drugiej ręce taszczył składany drewniany" zydelek" do siedzenia. Na tym „zydelku" widywałem Go kilkakrotnie na cmentarzu przy farze, jak w artystycznym zwidzie upajając się widokami otoczenia fary , starych rozłożystych lip i kasztanów malował je na przygotowanych wcześniej blejtramach. Nie przeszkadzałem mu, ponieważ nie lubił gapiów i dzieci.
Jako ministrant przy farze mieliśmy okazję wielokrotnie go podpatrywać, stojąc przy wejściu do zakrystii.
Kiedyś zastałem Go siedzącego na Placu Kazimierza, wpatrzonego w obraz fary widzianej z tego kierunku.
Uganiając się w rejonie kościoła Świętego Mikołaja spotkałem malarza w pobliżu tego kościoła, kiedy malował jego otoczenie i płynący tam strumyk z kładką.
Przechadzał się tez ulicą Klasztorną i alejkami w obrębie klasztoru SS. Nazaretanek i upajał się widokiem rzędu wierzb , górki klasztornej i klasztoru od strony widzianego od strony dworku i Kaflarni.
Jego ulubionym miejscem były sąsiadujące z ulicą Garncarską ostrzeszowskie uliczki i zakamarki, szczególnie u wylotu z ulicy Strumykowej ,z którego w perspektywie widać było doskonale zameczek- basztę kazimierzowską

.

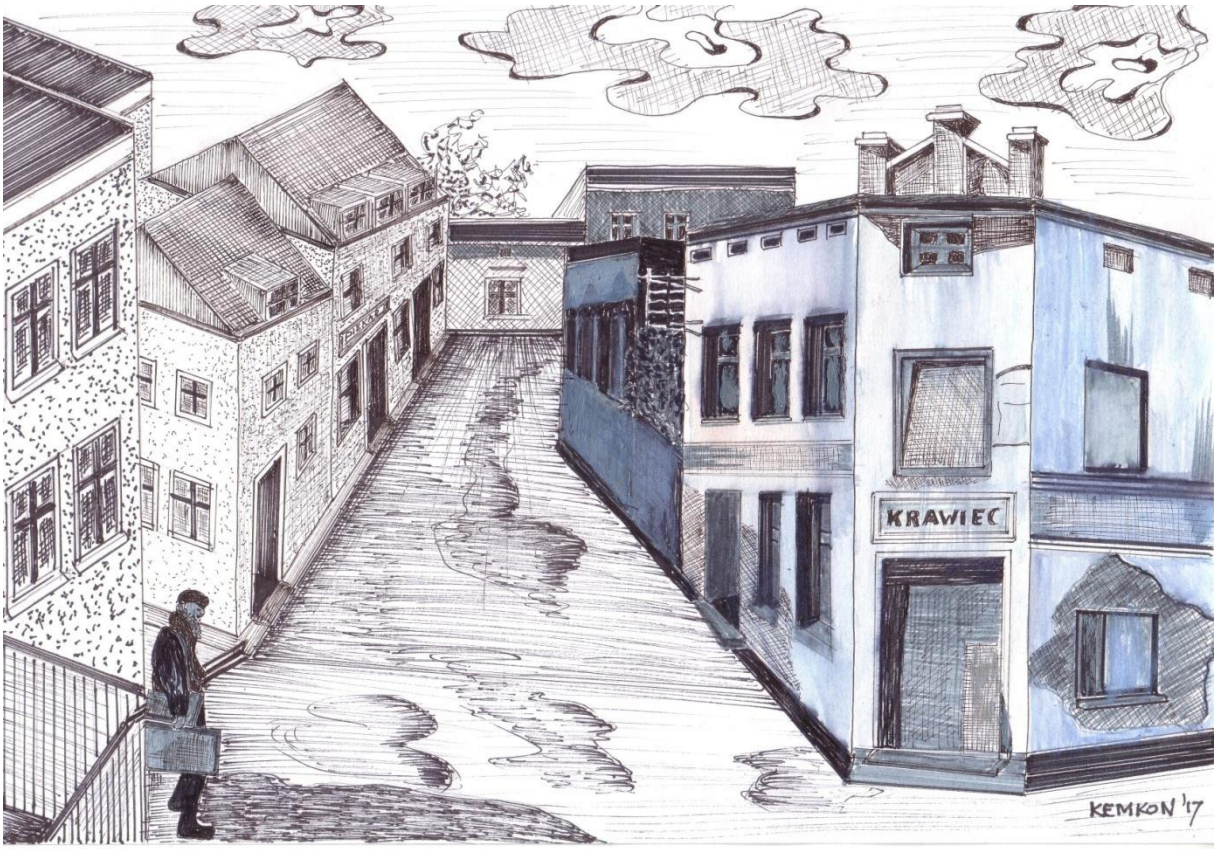

Widziałem potem przez niego namalowany właśnie taki obraz.
Zdaje mi się że człowiek ten pomimo swego sędziwego wieku , nie używał okularów.
Nigdy nie widziałem na jego nosie tego typu akcesoriów.
Powolnym , dostojnym wydłużonym krokiem majestatycznie poruszał się po uliczkach Ostrzeszowa ów tajemniczy człowiek ze sztalugą.
Urzeczony widokiem starych lip, dębów , kasztanów, łąk, kwiatów, zarośli i lasów, przenosił to piękno przyrody na swoje płótna.
Ulubionymi tematami tego artysty były świątki przydrożne, kościoły, ule ,zabudowania wiejskie, cieki wodne, strumyki, ruczaje, źródełka, Pustkowia i „Ostre Góry”.
Autoportret malarza Antoniego w sposób doskonały pokazał nam jego cechy fizyczne, nastroje podczas pracy i ową tajemniczość i skrytość.
Na jednym z jego obrazów zauważyłem też pracownię na poddaszu w domu pana Karolewskiego na ulicy Garncarskiej w Ostrzeszowie, w której przypadkowo kiedyś się znalazłem.

Był maj roku 1957 r Nagle dowiadujemy się że ten sławny artysta ostrzeszowski malarz umiera. Kultura miasta ponosi wielką stratę. Pochowano go na ostrzeszowskim cmentarzu. Pamiętam jego ostatnie dni życia , śmierć i pogrzeb. Ilekroć odwiedzam moje rodzinne miasteczko, przy grobie artysty zatrzymując się wspominam tego tajemniczego człowieka ze sztalugą.

Kemkon

Moje szczęśliwe dzieciństwo i młodość w Ostrzeszowie

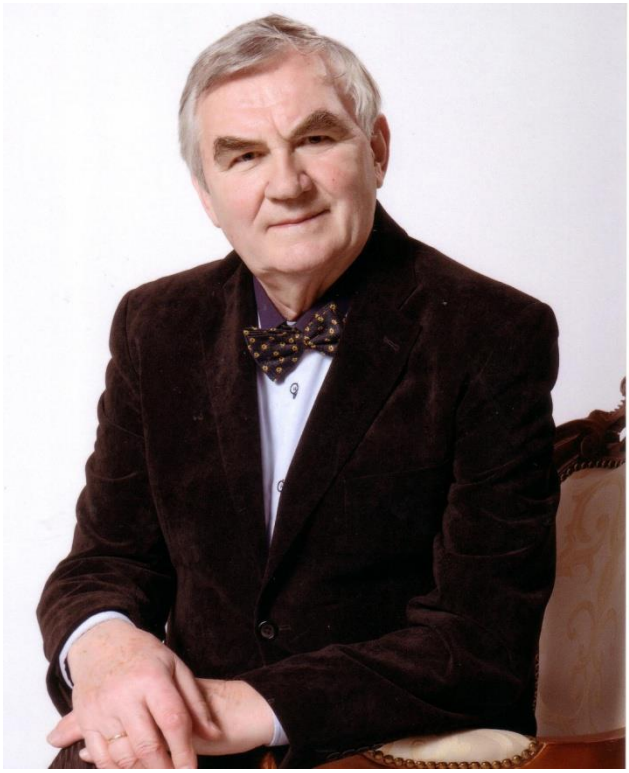
Konrad Stanisław Kempa

Lata 1945 -1965. Okres wyjątkowy. W Polsce szaleje wojujący Komunizm i wszechwładny Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich z generalissimusem Jozefem Wisarionowiczem Stalinem „Soso" Dżugaszwili z pochodzenia Gruzinem na czele, Bierutem, Gomółką i Gierkiem w Polsce, a dla mnie okres szczęśliwego dzieciństwa, niewinnego, beztroskiego i radosnego.
Obca mi była cała ta polityczna otoczka, ale niestety wywierała wpływy nawet na dzieci, młodzież ,ich rodziców i wychowawców. Na ich wychowanie i wykształcenie.
Dla dziecka mającego dom, opiekę troskliwych i zapobiegliwych rodziców , dobrych kolegów i przyjaciół to wszystko, aby być szczęśliwym i radosnym.
W małym miasteczku Południowej Wielkopolski życie było rajem i atrakcją.
Chociaż urodziłem się w czasie okupacji hitlerowskiej w samej Warszawie dnia 31 marca 1943 roku, ale jestem rodowitym ostrzeszowiakiem, ponieważ rodzice moi , jak i cała rodzina pochodzą z tego piastowskiego miasteczka, a tylko na kilka lat związali się ze Stolicą, chcąc sobie polepszyć byt. Jestem z tego powodu dumny i tym się obnoszę i chwalę, gdzie tylko mogę. Pełen zachwytu i podziwu opisuję swoje miasto, a tym razem opisuję **„Moje szczęśliwe dzieciństwo i młodość w Ostrzeszowie"**

Konrad autor opowiadania,Helena Malinowska matka,Stanisław Kempa ojciec a niżej ostrzeszowska rodzinka w komplecie: moje rodzeństwo to Danuta Mamys,i Janusz .

Budowanie nowej rzeczywistości po wojnie

Niedługo po przybyciu do Warszawy rodziców moich zastała wojna i byli zmuszeni tam przeżyć wraz z pozostałą rodziną lata okupacji aż do wyzwolenia. Ojciec mój stracił na Pawiaku swojego brata Franciszka ,zamordowanego przez Niemców bez jakichkolwiek powodów, a sam czterokrotnie uniknął śmierci, uciekając Niemcom albo z obozów ,albo w inny sposób, dzięki jego determinacji , przebiegłości, sprytowi i ryzyku w walce o życie.
Bez środków do życia „goli i bosi" rodzice rozpoczęli egzystowanie i budowanie nowej rzeczywistości powojennej, powróciwszy z Warszawy w rodzinne strony do Ostrzeszowa. Domy na peryferiach tego miasteczka willowe były puste, pełne mebli i z wyposażeniem. Opuszczone przez rodziny niemieckich funkcjonariuszy i urzędników z okresu okupacji domy można było bez problemu zająć. Niestety decyzją babci Rozalii –matki mego ojca kobiety energicznej o zabarwieniu despotycznym musieli rodzice zamieszkać w bezpośrednim sąsiedztwie domu ojców tuż przy cmentarzu na ul. Ogrodowej później ulica Daszyńskiego 17

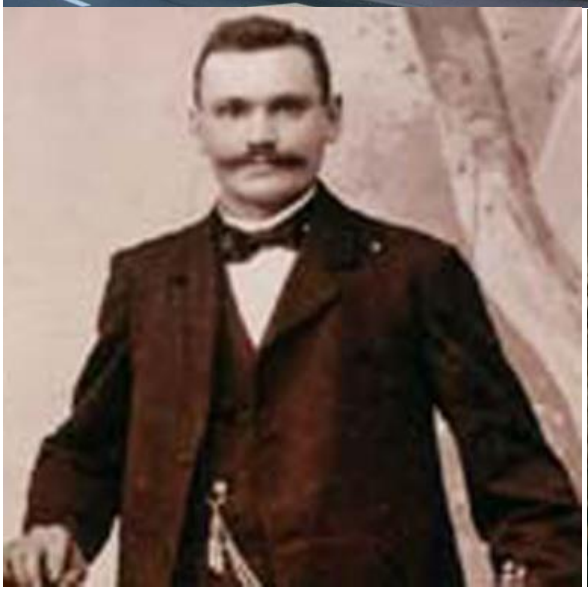

Ojcowizna Ostrzeszów ul. Daszyńskiego 17 oraz dom w którym spędziłem dzieciństwo i młodość Ostrzeszów ul. Daszyńskiego 14 a niżej moi dziadkowie ze strony matki Heleny: Jan Malinowski oraz jego żona Ludwika Frankowska, dalej rodzina mego ojca Stanisława, niestety bez Franciszka, który został zamordowany w 1942 roku przez Niemców na Pawiaku w czasie okupacji .stoją: Stanisław, Maria, Edmund ,a niżej Ludwik, Rozalia Rospęk, Franciszek i Jan./ lata pięćdziesiąte/

Dom ojca był jego własnością, lecz tylko do wybuchu wojny. Dziadkowie kupili go po powrocie z zachodu, gdzie mieszkali i pracowali przed I wojną światową. Po II wojnie światowej niestety, pieniądze pochodzące ze sprzedaży tego domu ulokowane w Komunalnej Kasie Oszczędności w Kępnie przepadły i odtąd mieszkali w swoim domu już sprzedanym jako lokatorzy z innymi właścicielami. Rodzice natomiast zamieszkali na tej samej ulicy pod numerem 14 w czynszowym mieszkaniu. państwa Witkiewiczów. Za nie płaciło się gospodarzom tzw. komorne.

Zaraz po wojnie powędrowaliśmy na jakiś okres na wioskę do Torzeńca do domu wujka Idziego i cioci Stanisławy gdzie spędziliśmy miłe chwile i gdzie Danusia moja siostra została ochrzcona w kościółku w Wyszanowie, ponieważ w Warszawie nie było takiej możliwości. Potem jeszcze kilka razy odwiedzaliśmy ten otwarty dom wujka Idziego Malinowskiego, brata matki Heleny .

Ojcowizna mojej matki Heleny Malinowskiej w Torzeńcu/rycina Kempa Konrad/

Brat matki Franciszek Malinowski –leśniczy podjął służbę pionierską z nakazu na Ziemiach Odzyskanych na Leśniczówce w Lesznie Dolnym koło Szprotawy.
Kierowany litością i dobrym sercem zaproponował nam pomoc i opiekę i pobyt do czasu unormowania się naszego życia rodzinnego. Bez chwili zastanawiania rodzice przystali na tę propozycję i przez większą część roku byliśmy gośćmi wujostwa Na tej Leśniczówce było nam dobrze, a my małe dzieci wraz z nieco starszymi kuzynami Narcyzem i Jurkiem mieliśmy dużo swobody i bawiliśmy się wspólnie, a swawolom i figlom nie było końca. Pamiętam że starszy z kuzynów Narcyz miał wtedy iść do szkoły i pod ukradkiem wspólnie na sianie w stodole, oglądaliśmy nowy elementarz ze sztywnymi okładkami. Był to znany i powszechnie lubiany elementarz Falskiego. Z wielkim podziwem patrzyłem na niego, kiedy czytał nam małym pojedyncze literki i chyba udawał że umie czytać całe wyrazy Podziwiałem go że jest taki mądry i dojrzały. Był dla nas młodszych prawdziwym autorytetem. Dziś obaj kuzynowie to geodezyjni fachowcy i bardzo mądrzy, ukończyli studia a starszy nawet habilitował się na uczelni we Wrocławiu, gdzie ma wykłady ze studentami w swojej dziedzinie.
Wujek Franuś o gołębim sercu, radosny o nienagannych manierach w mundurze leśniczego ze lśniącymi guzikami i skórzaną „uprzężą" wyglądał dostojnie i wspaniale. Był to prawdziwy, dobry wujaszek, który nie szczędził środków aby się szczególnie dzieciom podobać. Zawsze zabiegał o ich względy.

Całe życie sumiennie przepracowane a w rodzinie swojej był szczególnie mile widziany, ponieważ cały swój urlop każdego roku poświęcał na odwiedzenie swojej wielkiej rodziny. Był też często mediatorem w sporach i przeróżnych problemach rodzinnych. Udawało mu się często godzić strony zwaśnione. Tryskał zawsze humorem. W towarzystwie był duszą rozbawiającym i prowodyrem do zabawy i śpiewów.
Ciocia Władka była bardziej energiczna i surowa. Rządziła całym domem i nami i despotycznie egzekwowała od każdego wykonania swych poleceń. Któregoś dnia wynikła wielka awantura. Zostaliśmy my dzieci posądzeni o zgubienie noża, jedynego dużego, niezbędnego w tym gospodarstwie, bez którego „była jak bez ręki" a małym nożem nie wszystko można było wykonać, a jedynie taki tylko został. Wszyscy byliśmy załamani i nie wiedzieliśmy co robić i gdzie go szukać. Matka modliła się jak zwykle do swojego świętego Antoniego mniej więcej tak „Święty Antoni Padewski, oblubieńcze niebieski, niech Twa sława nie przeminie, niech ma prośba nie zaginie. " i tu wymieniała o jaką zgubę chodzi. Mówiła ciągle, że do tej pory nigdy się nie zawiodła i wszystko się jakoś dziwnym trafem znajdywało. Tak było i tym razem. Jeszcze raz potwierdziło się, że w modlitwie jest szansa na odnalezienie. Poszliśmy wszyscy szukać i do nocy nie udało się go znaleźć. Dopiero na drugi dzień matka znalazła go utkniętego w rzędzie kapusty za domem w ogródku. Okazało się, że ciocia Władka wycinając kapustę na obiad, zostawiła go i zapomniała zabrać. Szczęśliwi a zarazem dumni, że nie była to nasza wina, przeprosiny cioci nie dawały wystarczającego uspokojenia, bo bezgraniczne było zdenerwowanie naszej mamy.
Korzystaliśmy w tym czasie z runa leśnego czyli jagód, borówek, grzybów i to najszlachetniejszych do samych prawdziwków kurek, rydzów, kozaków i maślaków. Ojciec mój pracował wpierw jako pomocnik leśniczego a potem w swoim zawodzie w Wojskowym Zakładzie Budowlanym chyba w Legnicy wśród wojska radzieckiego w budujących się masowo koszarach i całych osiedli dla rodzin wojskowych.
Stamtąd kiedyś przywiózł mi ciekawe eksponaty ; do noszenia na zimę „bobę ruską „żołnierską wojsk radzieckich z kożuszkiem karakułowym i czerwoną małą gwiazdką na czole. Gwiazdka ta zaraz musiała być zlikwidowana, ponieważ noszona zdradzała swe pochodzenie i mogła być sprofanowana. Miałem więc ją jako ozdobę i pokazywałem ja kolegom w ukryciu. Ze zdobyczy wojskowych mam także z czasów I wojny Światowej orła bez korony z uchwytami ,którą nosił mój dziadek Jan Malinowski ze strony matki, kiedy walczył na froncie i zginął bez śladu w pierwszych dniach tej wojny. Ciała nie odnaleziono. Dokładna data zgonu też jest nieznana.
Manierkę zawieszało się na jej szponach. Wykonana z brązu była lśniąca. Na biurko lub stoliczek otrzymałem odlew żeliwny z orłem już nie niemieckim lecz staropolskim na przybory do pisania i atrament. Ojciec zresztą ciągle zaskakiwał nas, kiedy wracał na niedzielę z delegacji do domu różnymi niespodziankami i nowościami do zabawy i ubioru. Były to zawsze atrakcyjne rzeczy, a często inne dzieci tego nie miały. Przywoził nam to mówiąc że „są to niespodzianki z wielkiego świata „
Jako ciekawostkę w tym miejscu podam, wspominając rzeczy i ubrania, że matka na ciuchach będąc jeszcze w Warszawie zakupiła spódnicę, pamiętam taka różową grubo tkaną na zimę, wykonaną z oryginalnych ludzkich włosów.

Przemycona była od żydów z Getta. Badanie włosa polegało na przeciąganiu go między paznokciami i powodowaniu jego skręcenie. O ile skręcał się to był prawdziwy. Niemcy wykorzystywali wszystko co pochodziło od ludzi, aby się wzbogacić, a w obozach zagłady ginęło wielu niewinnych w imię niemieckiego „Arbeit macht Frei „. W tym miejscu nie mogę się oprzeć aby nie wspomnieć o reakcji mego kolegi z Niemiec Józefa, który mnie kiedyś odwiedził w Polsce a ja z nim zwiedzałem obóz zagłady w Auschwitz. Był on rówieśnikiem wojny, bo urodził się w roku 1939 we wrześniu a pochodził z Roth w Bawarii.
Zwiedzając dokładnie wszystkie pomieszczenia obozowe w pewnej chwili zatrzymał się przy gablocie i długo odczytywał jakieś dokumenty i nawet je filmował. Zdziwiony tym zbliżyłem się a on wytłumaczył mi że jest wielce wstrząśnięty pewnym dokumentem, z którego wynikało że właśnie włosy ludzkie były wysyłane do miejscowości gdzie on się urodził. Tam bowiem do dziś są duże zakłady włókiennicze. Tam właśnie z tych włosów wykonywano materiały. Długo nie mógł się z tego otrząsnąć i nawet nie miał ochoty dalej zwiedzać tego obozu zagłady.
Po powrocie z wielomiesięcznego pobytu u wujostwa na Leśniczówce do Ostrzeszowa rodzice zaczęli urządzać sobie nowe mieszkanie, wcześniej już wstępnie przez nich zajęte pod numerem 14 na ulicy Ogrodowej. Z tych wspomnianych willi niemieckich można było „wyszabrować" niektóre meble i wyposażenie, bo obecnie były bezpańskie. Otóż w naszym mieszkaniu znalazły się maszyna do szycia „singerka", lustro kryształowe poziome, ustawione jednak w pozycji pionowej ze specjalną szafką z szufladami na kosmetyki, stół rozkładany olbrzymi, dębowy ciemny z ozdobnymi rzeźbionymi nogami, szafa garderobiana dwudrzwiowa z wielką szufladą, kuchnia –kredens z mnóstwem drzwiczek oszklonych i szuflad oraz cztery krzesła rzeźbione, obite skórą na siedzeniu. Piękne i bogate meble kiedyś stojące w wielkich salonach, teraz musiały stać w jednopokojowym mieszkaniu z wielka kuchnią u innych użytkowników. Wszystko na Życzenie despotycznej babci Rozalii, a mogło być całkiem inaczej i dla nas wygodniej. Nieraz matka wspominała ze popełniła w życiu ten wielki błąd, że zgodziła się zamieszkać na ulicy Ogrodowej.
Ulica Daszyńskiego /dawniej Ogrodowa/ i te dwa charakterystyczne domy: Nr. 14 to dom, w którym spędziłem dzieciństwo i młodość, w którym urodził się mój brat Janusz i nr. 17, w którym dzieciństwo i młodość spędzili mój ojciec, wujek Ludwik, wujek Edziu, wujek Franek i oczywiście wujek Jasiu i ciocia Maria wraz ze swymi rodzicami dziadkiem Franciszkiem i babcią Rozalią. Obecnie jest to tylko ruina i może się ktoś tym starym domem zainteresuje. Znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza przy ul. Kościuszki 14
Mieszkanie bez wygód, bez wody i ubikacji, bez prądu. Posiadało jedynie gaz z Gazowni miejskiej i piece na węgiel kamienny w pokoju kaflowy, a w kuchni do gotowania kaflowy z „fajerkami" i stalowy do ogrzewania. Woda była w sieni, natomiast ubikacje były na końcu podwórka tuż przy wejściu do ogrodu gospodarza.
Częste odwiedziny dziadków w naszym mieszkaniu z uwagi na bliskość obu domów powodowały, że na bieżąco wiedzieliśmy o uroczystościach i świętach zarówno kościelnych jak i narodowych, o zwyczajach i tradycjach panujących w tej rodzinie. Kiedy się wcześnie rano pojawiali, idąc do Kościoła lub z Kościoła to pewni byliśmy że to jest jakieś święto, czy należy coś w ramach tradycji zrobić lub przygotować.

Na przykład w „Wielki Piątek” dostawaliśmy „boże rany „. Wyglądało to w ten sposób, ze trzymanymi w rękach rózgami czy witkami wierzbowymi chłostano nas po gołych nogach, kiedy jeszcze byliśmy w łóżkach, zaspani wczesnym rankiem wołali przy tym „boże rany, boże rany, boże rany, ” „Chrystus cierpiał, to wy też „
W poniedziałek wielkanocny wody było dużo. Byliśmy zmoczeni od samego rana. Nie zdążyliśmy wyjść z pościeli o już nas polewano zimną wodą. O rewanżu nie było mowy, mimo że przygotowaliśmy sobie stosowne pojemniki z wodą, które stały pod łóżkiem przygotowane wieczorem.
Na Boże Narodzenie w Wigilię po wieczerzy organizowali nam Gwiazdora tj takiego przebranego człowieka z rózgą i workiem z prezentami. Nieraz Gwiazdor taki miał do towarzystwa diabła z rogami i z rózgą albo pasem lub „szczepliną „tzn. specjalnym przyrządem do bicia wykonanym z rzemyków umocowanych na drewnianym trzonku uchwycie. Diabeł miał za zadanie wyłącznie bicie dzieci, bez względu na to czy były dobre, grzeczne czy też nie.
Z siostrą bawiliśmy się w domu w dom, namioty były z koców i mioteł, a lalki dziećmi. Gdy byłem jeszcze mały, bawiliśmy się razem w łóżeczku drucianym. Jakież było kiedyś rozżalenie mojej siostry, gdy nieszczęśliwie usiadłem całym sobą na lalkę o twarzyczce z porcelany i ją zniszczyłem. Była to cenna zabawka i wielki rarytas w tych czasach.

2.. Pobyt w Ochronce u SS. Nazaretanek w Ostrzeszowie. Znajomość z Krysią –przyszłą moją żoną.

Kiedy miałem cztery lata rodzice oddali mnie na okres do podwieczorku na dzienny pobyt do Ochronki, tak nazywało się kiedyś Przedszkole, prowadzonej przez SS. Nazaretanki.
W pamięci przesuwają się koledzy, koleżanki a głównie kochane siostry opiekunki : siostra Tadeja już niestety nieżyjąca oraz siostra Teofila Woźniak
Ochronka mieściła się przy ulicy Zamkowej (potem Boh. Stalingradu) zamienionej potem na kaplicę zboru ewangelickiego a potem na biuro Partii Ludowej

W piaskownicy Ochronki moja Krysia zaznaczona jest niezgrabnym krzyżykiem.

klasztor pobernardyński w Ostrzeszowie/olej/ malował Antoni Serbeński

SS. Nazaretanki ulokowane były w pobernardyńskim klasztorze mieszczącym się na górce klasztornej, pięknie wkomponowanej w pejzaż miasta, uwieńczanej na paletach i obrazach miejscowego artysty malarza Antoniego Serbeńskiego.

W piaskownicy Ochronki: dziewczynka z kokardą trzecia z prawej, natomiast ja kucam w samym środku z tyłu a niżej stoimy w rzędzie: ja jako drugi z prawej a moja Krysia z kropką na sukience w samym środku.

Przy Ochronce było też małe gospodarstwo z którego siostry korzystały. W ogrodach przyklasztornych tych na górce uprawiały warzywa i owoce, których nadmiar sprzedawały miejscowej ludności.

Życie w Ochronce było dla dzieci wspaniałe, każda chwila tam spędzona sprawiała dzieciom wielką przyjemność. Atmosfera była miła iście rodzinna. Czułość i troskliwość opiekunek w habitach sprawiała, że dzieci płakały, kiedy miały iść do domu.

Równolegle w moim życiu w Ostrzeszowie toczyło się drugie tzn mojej przyszłej żony Krystyny, ponieważ byliśmy rówieśnikami i chodziliśmy do tej samej Ochronki.
W późniejszych wspomnieniach ciągle będę wplatał epizody z jej życia, ponieważ została moją żoną i od zarania tzn od naszego spotkania w Ochronce interesowałem się tą dziewczyną. Była zawsze piękna, czysto ubrana z upiętą we włosach dużą białą kokardą i ponadto była bardzo grzeczna i uśmiechnięta. Do 4 latek kokarda była upinana przez matkę a kiedy umarła matka, to element ten był zawiązywany przez najstarszą siostrę Miecię lub nieco młodszą Irkę. Z pobytu w Ochronce pamiętam siostry zakonne młodsze i starsze One nieraz przesuwają się przed mymi oczyma. Dużo ich było w Ostrzeszowie, ponieważ miały tam swój Nowicjat. Pamiętam siostrę Tadeję, śpiewającą i grającą. Uczyła nas śpiewu. Wysoka i bardzo elegancka. Spotkała mnie kiedyś po latach i o dziwo poznała i nawet wymieniła moje imię. Było to dla mnie szokujące. W Ochronce urządzano przedstawienia jasełek i nie tylko. Byłem w jednym z przedstawień którymś z Trzech Króli.

Jasełka w Ochronce a obok Krysia w pięknej sukience w białej kokardzie we włosach.

Spanie po obiedzie na leżaczkach nie było dla dzieci dobrze przyjmowane, ale trudno taki był porządek dnia a słuchać trzeba było bo był rygor. Na placu przed Ochronką pamiętam były duże piaskownice i huśtawki na których często bawiliśmy się pod nadzorem opiekunek. Na zdjęciu wykonanym przez jedynego fotografa w tym mieście, czyli najstarszą siostrę Krysi widać wyraźnie kto w tej Ochronce w tym czasie przebywał.

Na każdym zdjęciu, na którym była ona znaczyłem krzyżykiem i mówiłem że to jest moja panna i że ona bardzo mi się podoba. Na spacery chodziliśmy nie tylko w rejony Klasztoru, lecz nawet dalej do pobliskiego lasku klasztornego i na górkę klasztorną w tym lesie. Była ona taka wielka że trudna do sforsowania. Kiedy po latach zobaczyłem ją to śmiech mnie ogarnął bo taka mała była i bardzo łatwo można było się na nią wspinać. Znaleźliśmy kiedyś u jej podnóża mnóstwo łusek i zastanawialiśmy się skąd one się tam wzięły.

3. Pierwsze lata życia Krysi. Śmierć jej matki. Spotkanie z Krysią w I klasie. Życie kulturalne Ostrzeszowa. Rola OO. Salezjanów. Lata szkolne. Służba ministrancka w Kościele.

6 grudnia 1943 roku w Ostrzeszowie akurat na św. Mikołaja przyszła na świat Krystyna – ostatnie dziecko i córka z ojca Franciszka Feige i matki Marii z Doboszów rodziny pochodzącej spod Hrubieszowa woj. . lubelskie, osiedlonej na stałe w Wielkopolsce jeszcze przed I wojną światową. Przyszło to dziecię na świat ku wielkiej radości rodziców i dorosłych córek Mieci i Irki, mimo że w duszy myślano, że będzie nareszcie chłopak. Rodzice, oprócz wielu interesów prowadzili jedyny w tym mieście Zakład Fotograficzny „Foto Feige „. Jak na fotografa przystało, postanowiono natychmiast po urodzeniu zrobić maleństwu serię zdjęć, a przypomnę, że było to w grudniu i wyjątkowo zimno a atelier nie było ogrzewane.

Pomimo, że maleństwo leżało na kożuchach, to jednak było nagie, skutkiem czego w pewnej chwili zzieleniało i przestało nagle oddychać. Po prostu z zimna skostniało. Natychmiast zaczęto doprowadzać małą do stanu normalnego, jednak bez rezultatu. Dopiero zawołana z dołu ciotka Anna ogrzaną puchowa poduchą doprowadziła dziecko do życia i zaczęło oddychać. Było więc przez chwilę bardzo groźnie.

Moje pierwsze wspomnienia o małej Krysi zachowało się w mojej pamięci w takich oto okolicznościach : Pewnego razu ujrzałem modną i elegancką panią idącą z małą dziewczynką do sąsiedniego domu do krawcowej Skupińskiej. Już wtedy zwróciłem uwagę na piękną sukienkę tej dziewczynki i tę dużą białą kokardę na głowie.

Niedługo matka cieszyła się córeczką, bo już w roku 1948 w przeddzień Święta Zmarłych umarła nagle w wieku 41 lat jak potem mówiono na „choroby kobiece", bo zbyt późno podjęła się leczenia i operacji. Według tradycji ponoć nie wolno w tym dniu chować zmarłych i dlatego też musiano zwłoki przetrzymać w domu i pochować po świętach. W dzień pogrzebu musiano małą Krysię szukać, ponieważ niepostrzeżenie straciła się i nie miała ochoty iść w kondukcie pogrzebowym. Schowała się u sąsiadki pani Adamskiej i dopiero po pogrzebie ją znaleziono. Pochowana została w rodzinnym grobowcu w centralnym miejscu cmentarza na wprost wejścia głównego, lecz wpierw do przejściowego grobu, ponieważ grobowiec rodzinny był jeszcze niewykończony. Trumny w tym grobowcu ułożone są jedne na drugich na betonowych półkach, które po wypełnieniu zostają zamurowane na wieczne czasy. Dziwnym i niepojętym było następujące zdarzenie związane z tym grobowcem. Otóż mężowi wdowcowi wielokrotnie po śmierci śniła się żona, narzekając że cierpi niewygody i męki leżąc w swojej trumnie w tym grobowcu. Powodu jednak nie podała, więc ilekroć się śniła tylekroć zastanawiano się dlaczego tak niewygodnie leży. Po zastanowieniu się i głębokiej analizie doszli do wniosku że, kiedy chowano trumnę na ową betonową półkę, z uwagi na za wysoką trumnę, obcięto nogi od strony głowy. Z chwilą kiedy obcięto również drugą parę nóg trumna znów leżała równo na półce i zmarłej było wygodnie i nie śniła się już więcej i życie wróciło do normalności.

Po śmierci mojej teściowej Marii z Doboszów córki skupione pod jej wizerunkiem. Trudno się było pogodzić z tym przykrym faktem odejścia najdroższej na świecie osoby- mamy

Kiedy otwarto trumnę po roku czasu bo musiano ją przenieść do grobowca, całe zwłoki pokryte były pleśnią –mgiełką biało szarą. To kwiaty pozostawione wewnątrz spowodowały tę pleśń. Od tej pory, kiedy tylko zmarłemu próbowano wkładać na koniec żywe kwiaty do trumny, to albo ojciec Krysi lub siostra Miecia opowiadając to zdarzenie radziła tego nie czynić i zresztą z reguły ją słuchano. Kiedy przez kilka dni matka leżała w trumnie w Zakładzie mała Krysia myślała że sobie normalnie śpi, dziwiąc się jedynie, dlaczego ludzie oglądający mamę płaczą. Siostry Miecia i Irena, kiedy jeszcze Krysia była całkiem małym dzieckiem dumnie woziły wózek pleciony z wikliny –bardzo modny, były bardzo szczęśliwe i zazdrosne nawzajem bo każda chciała ten modny wózek prowadzić. Po śmierci matki nie było żartów. O wiele starsze musiały się uczyć, pracować i jeszcze zajmować się o wiele młodszą swoją siostrą.
Tuż po wojnie w Ostrzeszowie modne były potańcówki i majówki. Bawiono się bądź na Strzelnicy Bractwa Kurkowego mieszczącej się na końcu ulicy Piastowskiej na tzw. Aniołkach bądź na Myjach wiosce sąsiadującej z miastem. Siostry pewnego razu opiekując się małą jeszcze będącą w wózku Krysią, udały się na tańce do wsi Myje, nieopodal lasku klasztornego. Kiedy wróciły późno ze śpiącą Krysią matka energiczna i pilnująca porządku dnia już w bramie dała do zrozumienia że będą porachunki i rozliczenie ze względu na tak długie przetrzymywanie do nocy małej córeczki. Przestraszone i w obawie przed ewentualnym karceniem ukryły się wpierw u babci na parterze, a potem całą noc przebywały w Zakładzie Fotograficznym na górze. Dopiero na drugi dzień mogły wejść do mieszkania, a jeszcze było stosowne „kazanie" ale bicia już nie było.
Spotkałem się z dziewczyną z kokardą w Ochronce, o czym już pisałem, lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy w I klasie Szkoły Podstawowej, mieszczącej się wówczas jeszcze w małym budynku przy ulicy Zamkowej, spotkałem ją również i odtąd szliśmy razem, przechodząc z klasy do klasy wpierw pod surowym wychowawstwem przedwojennego nauczyciela pana Antoniego Kaja a od drugiej klasy pod równie surowym i wymagającym wychowawstwem pana Leona Chojnickiego, który znał notabene moją matkę ponieważ pochodził z tej samej wioski co matka i w tamtejszej szkole kiedyś uczył. Był bowiem rok 1950 i właśnie wówczas rozpocząłem moją edukację. Ubrany ładnie i odświętnie ze skórzaną torbą na plecach, wyposażony w podręczniki szkolne, zeszyty i przybory szkolne. Torbę skórzaną dostałem wtedy od mojego wujka Leona Wróbel, który mieszkał z nami po sąsiedzku.
Od drugiej klasy chodziliśmy już do nowej Szkoły Podstawowej Nr. 2 przy ulicy Piastowskiej, obok Parku
Miejskiego z fontanną./*zdjęcie niżej fontanna z lat trzydziestych. Na zdjęciu Mieczysława Feige Niesobska z pieskiem.*

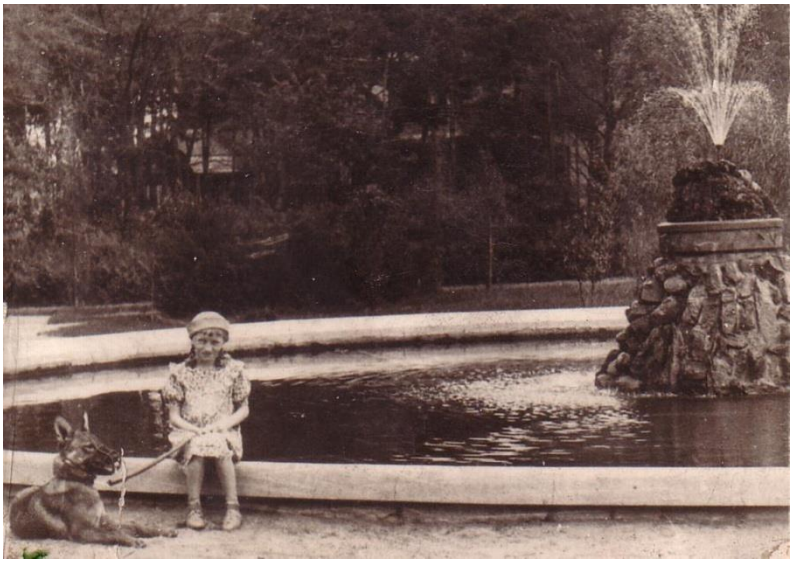

W pierwszej klasie wychowawca „trzymał” dyscyplinę, bo był jeszcze sprzed wojny. Tuż za szkołą był plac zabaw dla dzieci, zresztą do dziś dnia ten obiekt tam się znajduje. Korzystając z przerwy między lekcyjnej, wyrwaliśmy się na moment, aby się trochę rozerwać i zabawić na owym placu. Huśtawki były świeżo malowane, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. Efektem tej zabawy, było spóźnienie się na lekcje, bo czas biegł szybko, szczególnie kiedy jest to czas zabaw. Każdy, kto był poza szkołą na huśtawkach powinien mieć brudne ręce od farby – zdaniem wychowawcy. I rzeczywiście kto miał brudne ręce dostał kantem linijki sporo razów jako nauczkę, bo dyscyplina u tego pana była na pierwszym miejscu. Pisać i rysować potem nie było można. Ręce sine i spuchnięte od bicia. Były to bowiem czasy, kiedy wychowywano poprzez bicie, ale to wychodziło na dobre każdemu urwisowi
Pan Chojnicki był także surowy, lecz z chwilą, gdy nabraliśmy do niego śmiałości i odwagi, wielokrotnie płataliśmy mu przeróżne psoty i figle, jak zresztą w każdej klasie i w każdej szkole w tym czasie. Kierownikiem od początku był Jan Kaczmarek, człowiek o nieskazitelnym charakterze, manierach i prawy człowiek. Stwarzał pozory surowego i nieprzejednanego, szczególnie, kiedy trafił uczeń do niego wysłany przez nauczyciela celem „wyspowiadania się” z wybryków. Uczył śpiewu i muzyki. Prowadził chór szkolny. Pewnego razu otrzymałem od ojca nową piłkę nożną taką prawdziwą meczową. Ciężka była jak na nogi nasze i nasze możliwości. Wewnątrz piłka z gumy do dmuchania z zewnętrznym płaszczem zasznurowanym na rzemień. Wybraliśmy się kiedyś z kolegami na boisko przyszkolne, aby nową piłkę wypróbować. W owym czasie zabronione było w ogóle grać takim młodym w piłkę nożną szczególnie na terenie szkolnego boiska. Co za dziwne były wówczas zwyczaje i przepisy. W Szkole Podstawowej była zabroniona pod karą. Kiedy graliśmy na całego w pewnej chwili podbiegł do nas ów Kierownik i zabrał nam tę piłkę i wiele wysiłków włożyłem razem z rodzicami, aby tę piłkę nieuszkodzoną odzyskać. Zwykle taki przedmiot zakazany podlegał zniszczeniu przez pocięcie go nożem.

Nauczycielem od fizyki i chemii był pan Piotr Pregiel. Ciągle nerwowy, były uczestnik II wojny światowej. Kombatant spod Monte Cassino i Tobruku, z jedną nogą drewnianą, wsparty laską grubą bambusową, zakończoną gumą, aby nie stukała, miała ona pomagać nie tylko w chodzeniu, lecz głównie służyła do bicia. Robił to nie tylko za przewinienia uczniów wobec siebie, ale pracował laską również na zlecenia innych nauczycieli, którzy nie mogli sobie poradzić z uczniami niesfornymi.
W tym miejscu należałoby wspomnieć o mieście, wyjątkowym, z tradycjami sięgającymi czasów Kazimierza Wielkiego, bowiem wiele zabytków, znajdujących się w tym miasteczku mówią o tak odległych czasach Miasteczko to miało swoistą atmosferę, swoich stałych mieszkańców, pochodzących z rodzin od pokoleń polskich. Historia bowiem tak się ułożyła, że nigdy na szczęście Ostrzeszów nie był obcy, a zawsze złączony z Macierzą.
Jest to miasteczko położone w południowej Wielkopolsce na wzgórzach ostrzeszowskich – polodowcowych z jedyną górą zwaną Kobylągórą na wielkiej nizinie berlińsko-eberswaldzkiej jak uczono mnie w szkole. A wzgórza ostrzeszowskie wchodzą w ciąg a raczej pasmo gór trzebnickich. Mówi się o nich także Góry Kocie, ze względu chyba że są niewielkie, lecz że są na nizinach, to są duże.
Pamiętam, że kiedyś było to pytanie w Wielkiej Grze za najwyższą stawkę i nazwę tych gór i zawodnik odwoływał się, ponieważ Góry Kocie a ostrzeszowskie to to samo. Ja to wiedziałem a on musiał dochodzić swojej racji w ramach reklamacji.
W samym Ostrzeszowie są jeszcze Ostre Góry z małym stawkiem i urokliwym lasem wokół. Okolice tych wzgórz określane są jako Pustkowie. Polodowcowe tereny Ostrzeszowa odsłaniają ciągle wielkie głazy narzutowe, które wydobywane, ozdabiają miasto i stanowią nieme relikty historii ziemi i pomniki przyrody. Z tych głazów powstały między innymi pomnik ZHP z lilijką, pomnik przy Szkole Zawodowej i Technikum na ul. Sportowej, czy tez powstały ostatnio pomnik postawiony na Pl. Sienkiewicza ku czci tego znakomitego pisarza, w rejonie Kurzego Rynku Pozostałością po lodowcu są w okolicy wyrobiska żwiru i piasku do budowy. Jedno z nich było położone w bliskim sąsiedztwie mojego domu i cmentarza, tuż przy „autostradzie" zwane „Kisydołami „Dziś na tym terenie powstało nowe cmentarzysko dla nowej Parafii przy Kościele pw. Chrystusa Króla.
Tam jako dzieci szaleliśmy do późnych godzin wieczornych, skacząc z wysokości w dół „na złamanie karku" jak mawiała nasza mama i bawiliśmy się w komandosów. Gliniaste tereny wokół były przyczyną budowania w rejonie Ostrzeszowa wielu Cegielń. Miasto było pocięte wieloma szynami po których wyroby gotowe transportowano na rollwagach i przy zaprzęgu konnym na stację kolejowa, która znajdowała się na drugim końcu miasta. Jako dzieci uwieszaliśmy się u tych „rollwag" i tak długo udawało się nam przejechać po szynach, aż „furman' zorientował się i nas potraktował długim batem. Pozostałością po wyrobiskach jest „Berg" znaczy góra a to jest po prostu staw bardzo niebezpieczny do kąpieli o brzegach gliniastych i stromych, który niespodziewanie powstał kiedyś podczas prac wydobywczych. Woda wtargnęła nagle i zalała „rollwagi" szyny, ludzi koni pociągowych.

„Berg” był zresztą bardzo niebezpiecznym stawem dla kąpieli, chociaż wielu śmiałków korzystało z niej. Ze względu na strome brzegi i gliniane podłoże można było „wjechać” płynnie do wodnej czeluści, a dla nie umiejącego pływać to zatonięcie pewne, bez możliwości ratunku ze strony drugiej osoby. Były więc częste przypadki zatonięć.

Przy „Bergu”

W okresie przedszkolnym jak i w pierwszych latach szkolnych, ale jedynie w porze wakacji i o ile było ciepło także w soboty lub niedziele po obiedzie chodziliśmy z mamą i siostrą do wspomnianego lasku klasztornego od strony wsi Myje i tam bawiliśmy się najczęściej w dom i musiał być ogród. My dzieci stanowiliśmy rodzinę a mama najczęściej była lekarzem domowym lub nauczycielem. Mama często coś czytała, lub robiła na drutach dla nas sweterki i szaliki na chłodne dni. W dali słychać było wśród szumu wierzchołków drzew jadący pociąg oraz około godziny dwunastej dzwonek klasztorny pobliskiego Klasztoru wzywający wiernych na” Anioł Pański „. Kiedy nas matka nauczyła tej cudownej modlitwy, , , odmawialiśmy ją za każdym razem nabożnie, składając rączki. A potem ze smakiem jedliśmy jakąś zupę wraz z chlebem, którą mama każdorazowo zabierała ze sobą, abyśmy dłużej mogli przebywać na świeżym powietrzu w lesie, jeszcze wtedy czystym.
Kiedy miałem 5 lat zapisałem się do ministrantów przy miejscowej Farze. Był to w tym czasie Kościół Parafialny, ponieważ ani Klasztor ani Kościół Ewangelicki Chrystusa Króla ani też kościół św. Mikołaja nie miał tego statusu w Ostrzeszowie.
Szokowałem nie tylko miejscowe dewotki swoją dziewczęcą fryzurą, lecz każdego, kto uczestniczył we mszy św. . Miałem długie, kręcone włosy i krótkie spodenki z pończochami, zapinanymi u góry na żabki lub w lato podkolanówki na gumce i sandałki białe.

Msze św. odprawiane były po łacinie a ministranci musieli odmawiać tzw. ministranturę tez po łacinie. Była to dziwna mowa i dużo kłopotu sprawiało przyswojenie sobie tych trudnych słów na pamięć.
Szybko się tej mowy nauczyłem, a potem nawet mogłem jako starszy ministrant uczyć nieco leniwych i mniej pojętnych kolegów. Byłem początkowo na tyle mały, że miałem trudności z przenoszeniem mszału z jednej strony ołtarza na drugi. Dziś ta czynność jest zbyteczna, ponieważ ksiądz odwrócony twarzą do wiernych. W tym czasie wiele czynności w kościele tzw służebnych wykonywał Kościelny. Surowy i zdyscyplinowany pan, który mieszkał nieopodal Kościoła na Pl. Kazimierza obecnie Targu Miejskim. Karcił nas w różny sposób a to klęcząc w zakrystii w kącie bądź chłoszcząc cyngulum tj. plecionym sznurem którym ksiądz opasuje się kiedy ubiera albę. Kropidło też było często w użyciu.
Wiele razy jeszcze będę wspominał o tej mojej posłudze w Kościele, bo trwała ona nieprzerwanie aż do ukończenia Szkoły Podstawowej tzn. do roku 1957. Napisałem kiedyś o tej posłudze wierszyk, chcąc posłać go na konkurs poetycki organizowany od lat przez miejscową Bibliotekę Publiczną i Radę Miasta Miasto to miało wielkie tradycje literacko oświatowe i kulturalne. Nie tylko wspomniany już artysta malarz Antoni Serbeński, lecz także poeta Stanisław Czernik autor cyklu wierszy „Okolica Poetów" nobilitowali to miasteczko i zaznaczali na kulturalnej mapie Polski
W tym okresie jak i wcześniej w latach międzywojennych w tym małym miasteczku, dużą rolę pedagogiczno wychowawczą i kulturalną odgrywały takie organizacje jak Liceum Ogólnokształcące, prowadzone przez OO. Salezjanów i harcerstwo jeszcze wtedy badenpowelowskie. Niestety potem było stalinowskie a po odwilży znów to pierwotne, do którego zresztą zaraz na początku należałem i byłem aktywnym jego członkiem, pełniąc rolę drużynowego Znów uaktywnili się jego dawni przywódcy. Harcerstwo prawdziwe, o głębokich tradycjach patriotycznych, prowadzone przez wiecznie młodego i aktywnego profesora fizyki pana Stasia Stawskiego oraz inicjatora Crossów Ostrzeszowskich niestety już nieżyjącego/zmarł zimą 2005 roku/ Jerzego Maklesa czy też Stanisława Cudniewicza. Bardzo aktywnym harcerzem w późniejszych latach był także mój młodszy brat Janusz, ale to były lata sześćdziesiąte.
oo. Salezjanie z profesorem Baranem, profesorem Kaczorowskim i księdzem „balonikiem" ze względu na tuszę tak zwanym, którzy zresztą już nie żyją, pochowani na zabytkowym cmentarzu we wspólnym grobowcu, byli widoczni ze swoimi wychowankami w tym mieście. Cmentarz ten jeszcze nieraz opiszę w tych wspomnieniach nie tylko ze względu na bliskość tego obiektu od mojego i mojej babci domu, lecz był to obiekt o szczególnej czci i poszanowania mieszkańców. Uroczystość Święta Zmarłych i Zaduszek to prawdziwe spotkania wielopokoleniowe i obchodzone z wielką „pompą" nabożnie i w rodzinnym gronie. Do późnych godzin nocnych w tych dniach odwiedzane całymi rodzinami były groby nie tylko „swoje" lecz także zbiorowe przy których stały warty.

Swoją grą w zespołach muzycznych i orkiestrze dętej na urządzanych majówkach na swoim balkonie w budynku Gimnazjum przy ulicy Zamkowej, czy grą podczas procesji Bożego Ciała, podczas wszystkich uroczystości państwowych i kościelnych OO. Salezjanie urozmaicali i ożywiali ciche i spokojne na co dzień miasteczko prowincjonalne, peryferyjne oddalone o 150 km od swojej wojewódzkiej metropolii.
Pamiętam ich gry zespołowe na prowizorycznym boisku na Borku przy Gimnazjum czy gry w siatkówkę na boisku Gimnazjum. Często jako dzieci nie tylko przyglądaliśmy się, lecz stanowiliśmy słupki bramkowe obu rywalizujących drużyn salezjańskich. Słupkami też często były nasze torby uczniowskie, ponieważ akurat boisko to było na trasie ze szkoły do domu. Na Borku tym spędzaliśmy dużo czasu pozalekcyjnego, ale o tym jeszcze napiszę. A propos nazwy Borek, myślę sobie że słowo to pochodzi od boru. Musiał tu być kiedyś po prostu bór czy las. Niedaleko zresztą był placyk „Na Stawku" do dziś tak nazywany. Tutaj z kolei musiał być kiedyś staw. Pod nim skanalizowany jest strumień płynący od góry Bełczyna az do Klasztoru przez całe miasto.
Kiedy nastąpiła likwidacja Gimnazjum Salezjańskiego i eksmisja OO. Salezjanów z Ostrzeszowa do Oświęcimia do głównej ich bazy cały budynek był otwarty a przez okna na parterze i z piwnic można było się dostać do środka. My dzieci bez opieki szabrowaliśmy wszystko co było do wyniesienia i niszczyliśmy co w rękę popadło i było na drodze. Z fortepianu zrywaliśmy plastikowe lub z kości słoniowej klawisze –dobre do gry w cympergaja. Młoteczki też się do czegoś przydały. Struny cienkie i te grube też nie wiem teraz do czego zużywaliśmy. Były tam stoły do gier zespołowych. Obecnie na tym miejscu jest Liceum Ogólnokształcące lecz prowadzone przez świeckich profesorów. Paru zostało ze starego garnituru i nie mogło się przestawić na stalinowskie nauczanie.
Wychowankowie OO Salezjanów jak i harcerze uczestniczyli nie tylko w procesjach i świeckich uroczystościach miejskich lecz także przy Grobie Chrystusa w W. Piątek i W. Sobotę całą noc jako straże wraz ze strażakami i ministrantami. Czuwali także jako straże przy ważnych grobach indywidualnych i mogiłach zbiorowych na tym zabytkowym cmentarzu podczas Święta Zmarłych i Zaduszek.

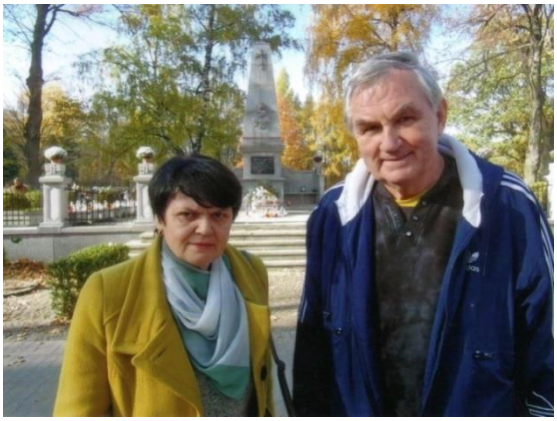

Z siostrą Danutą na ostrzeszowskim cmentarzu. W głębi pomnik Powstańców Wielkopolskich a obok grób moich rodziców Stanisława i Heleny Malinowskiej, oraz w pobliżu, moich dziadków ze strony ojca i całej rodziny Kempów na cmentarzu w Ostrzeszowie.

W obiektach dużych i zadbanych po salezjańskich ulokowały się: Bank Polski(NBP), Partia i związki młodzieżowe tej partii (ZMS, ZMW ZMP itd)oraz później nawet Milicja Obywatelska. Wszystko zlokalizowane na najpiękniejszej i reprezentacyjnej arterii miasta na ulicy Zamkowej, zamienionej potem na Boh. Stalingradu.
Teraz znów wrócono do starej nazwy, bo przecież na niej znajduje się ów sławny zamek kazimierzowski

4. . Moja edukacja. Narodziny brata Janusza. Zabawy na ulicy i na boisku. Pielgrzymki. Wakacje u wujka Idziego na wsi

8 Listopada 1950 roku, kiedy miałem 7 lat i rozpocząłem naukę w klasie I Szkoły Podstawowej urodził się mój brat Janusz
Sądnego dnia –to słowo często używała moja matka na określenie ostatniego dnia ciąży, matka prosiła nas, abyśmy udali się do wujostwa Wróblów, którzy mieszkali po sąsiedzku. Byliśmy wtedy nieświadomi, że istnieje ciąża i że może urodzić się człowiek z brzucha. W tym czasie właśnie jak opowiadała nam matka, kiedy byliśmy dorośli, przyszła do domu akuszerka z dużą torbą aby odebrać poród i udzielić położnicy stosowną pomoc i opiekę i dać instrukcje postępowania na najbliższe dni, kiedy położnica zostanie sama z maleństwem.

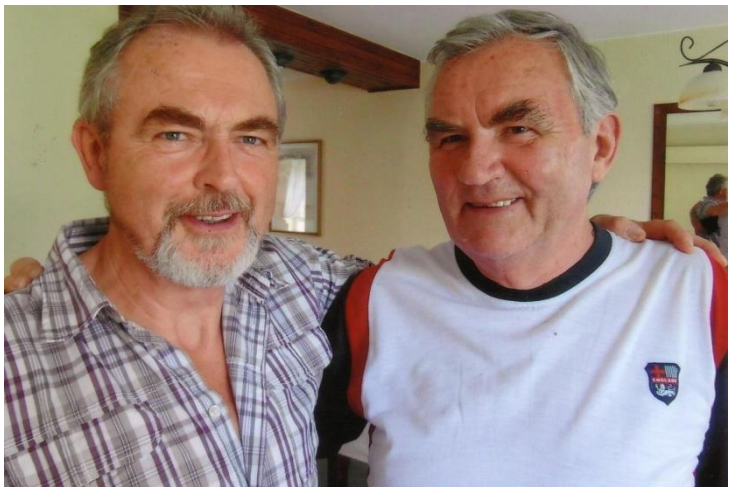

Rodzono wtedy z reguły w domu przy pomocy akuszerki, dzisiaj zwanej położną. W domu rodzono, w domu tez przechowywano zwłoki aż do chwili pogrzebu przez trzy dni. Zmarłego trzymano w trumnie i w mieszkaniu, w którym żył. Tam przychodził ksiądz z ministrantami i odprawiał reguiem przy trumnie stojącej na katafalku ze świecami na kandelabrach i kwiatami.

Świeczniki te zwane były kandelabrami. W lecie obłożony był lodem, z uwagi na fetor jaki roznosił się. Był to specyficzny zapach trupi, szczególnie dokuczliwy na trzeci dzień.
Wracając do owego porodu. W mieszkaniu położnicy nagotowana musiała być cała balia wody i czyste prześcieradła i pościel. Kiedy już w wielkich bólach ujrzał świat mój brat zawołano nas i ku wielkiemu zdziwieniu i z wielkim zainteresowaniem patrzyliśmy na to niemowlę, urodzone już w wolnej i bez Niemców Polsce. Wpierw było ono nieciekawe jak każde nowo narodzone dziecię, lecz potem wypiękniało i było prawdziwym cudem natury, podziwianym przez wszystkich ludzi, zaglądających do wózka głębokiego a potem do „sportki" czyli lekkiego wózka.
Kiedy mama wyjeżdżała na spacer lub na zakupy, myśmy się rwali, aby choć trochę pojeździć wózkiem, jak każde dziecko.
Jeżeli brat mój urodził się w roku 1950 to moja matka miała wówczas 40 lat. Jak na rodzenie to nieco późna pora, lecz brat mój jest zdrowy do tej pory i Życzę mu doczekania wielu lat w takim zdrowiu. Wiek mamy nie miał więc wpływu na zdrowie brata i na zdrowie położnicy.
Od tej pory miłość matki skierowana była w większym stopniu w stronę malca, lecz specjalnie tego nie odczuwaliśmy. Matka nasza miała na tyle pojemne serce, że nas wszystkich potrafiła ogarnąć i przytulić, bez straty dla kogokolwiek.
Na chrzcie św. oprócz imienia Janusz otrzymał malec drugie imię Marian –imię pochodzące od Maryi w dowód pamięci po tragicznie zmarłym najstarszym synu wujostwa Wróblów, który zginął tragicznie od miny, którą zachciało mu się rozbrajać na pobliskiej Cegielni tuz po wojnie.

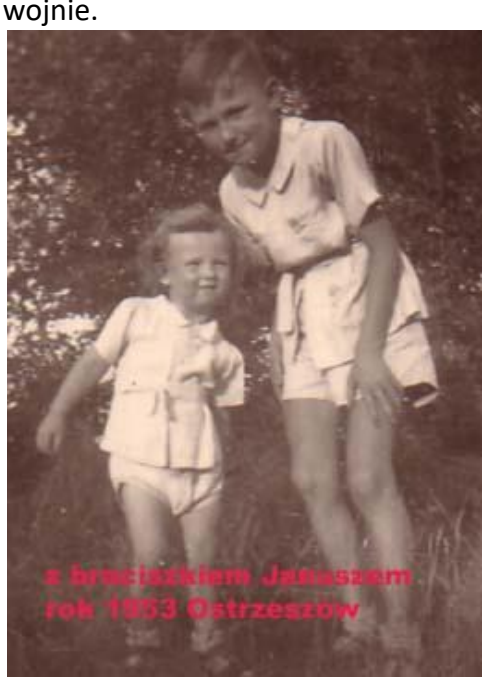

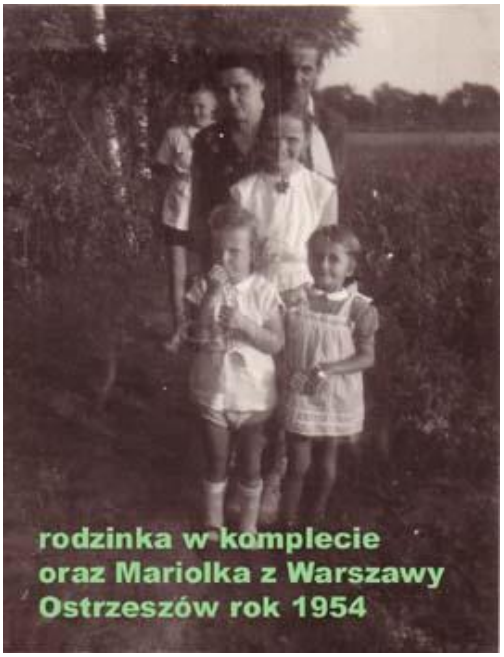

Wujostwo Wróblowie mieli jeszcze drugiego syna Ireneusza, który pracował na Cegielni jako kierowca ciągnika i woził już nie końmi lecz traktorem wyroby z Cegielni na Stację PKP.
Wujek Leon pięknie rysował kartki na różne okazje i malował jak Nikifor krynicki obrazy na zamówienie. Kartki sprzedawał i miał wielu kupców, ponieważ takich nie można było normalnie kupić w sklepie.

Kiedyś go przypadkowo podpatrzyłem i rozszyfrowałem. On je po prostu kopiował. Jednak robił to ładnie i miał zbyt. Ciocia, jego żona, często chodziła w oficerkach i była chyba jedyną kobietą w okolicy, która paliła papierosy. Potem po latach była druga taka osoba w mieście pani Cebulowa, która nie tylko paliła papierosy, lecz chodziła w spodniach w świątki i piątki. Obie pokazywane były palcami i obmawiane „na okrągło „. Wróblowie mieli pieska, który często leżał na progu domu na schodach u drzwi wejściowych, wygrzewając się na słońcu. Któregoś dnia na moich oczach podjechał hycel –to taki specjalista od łapania i zabijania bezpańskich psów i sprytnie i szybko złapał tego psa na lasso i wrzucił do budy na kółkach i pospiesznie odjechał. Nie pomogły interwencje. Było już po psie. Podobno w rakarni przerabiano je na mydło. Nie było wówczas schronisk dla bezdomnych psów i zwierząt. Na tej samej ulicy Ogrodowej mieszkali moi koledzy Heniek, Jurek, Bogdan, drugi Heniek od sąsiada z tego samego domu i sieni no i jeszcze trzeci Heniek, który mieszkał o kilka domów dalej na tej samej ulicy. Należałoby jeszcze wspomnieć o Janku z odchyleniami psychicznymi, Stasiu oraz Tadku Sikorze.

Z kolegami bawiliśmy się w przeróżne od lat wypróbowane gry i zabawy. bezpośrednio na ulicy, bez konieczności organizowania wypadów poza miasto bawiliśmy się w żandarmów i złodziei, w uganiankę piłką na ulicy na zasadzie kto dalej odgoni rywala od siebie rzucając piłkę. Były to czasy, kiedy samochód był rzadkością a traktor słychać było z daleka i można było uwolnić ulicę. Wóz z koniem natomiast jechał tylko we czwartki, kiedy ze wsi do miasta i akurat naszą ulicą podążały pojazdy z bydłem i produktami na targ, który był urządzany na wspomnianym Borku.

Tam sprzedawano kury, świnie, prosięta, owce, barany, kozy i konie. Konie najczęściej sprzedawali cyganie, mocno przybijając dłońmi w czasie transakcji. Była zabawa w stekla tzn. dwóch kijów jednego długiego a drugiego krótkiego z ukosami powodowało odskakiwanie tego krótkiego na odległość i kto dalej odbił ten był lepszy. Dziś gra niemodna, ponieważ niema „kocich łbów „na których to dobrze wychodziło. Graliśmy w klipę tzn. w grę przy użyciu noża, którego wbijaliśmy w ziemię aż do skuszenia, tzn. do momentu kiedy nóż płasko spadł na ziemię i nie wbił się. Do zabawy były też monety, odbijane od ściany lub wrzucane do dołków. Były zabawy w chowanego do późnych godzin wieczornych. . Dobra była tez zabawa dla egoistów przy pomocy toczącej się obręczy rowerowej bez szprych, popychanej specjalnie wykrzywionym drutem. Piłką do gry była najczęściej gumowa tzw. podkówka, dziwacznie sklejona w podkówkę. Z dziewczynami bawiliśmy się w klasy, lub w skakankę, nici lub odbijając piłkę o różne części ciała i o ścianę. Modne też były zabawy pirotechniczne z kluczem i siarką czy też z karbidem i puszką z deklem. W wietrzne dni szczególnie jesienią modne były drachy tzn. latawce różnego kalibru i z bardzo długimi sznurkami. Do zabijania ptaków i tłuczenia szyb dobre były proce z gumami od weków. W zimie łyżwy, rzadziej narty, choć w okolicy były małe górki na których można było uprawiać ten sport Łyżwy były wpierw przykręcane do butów na żabki i kluczem a potem mocowane do butów na blaszki. z otworami z tyłu a z przodu na żabki.

Nie było jeszcze łyżew z butami jak dziś. Często pięty butów były urywane i uszkadzane, dlatego też dodatkowo ściągane łyżwy były paskami skórzanymi. Kiedy była trawa lub koc chętnie grano w kamienie, przez podrzucanie i chwytanie coraz to większej ilości kamieni. Jeżeli chodzi o wyprawy poza rejon najbliższych ulic to zima na sankach całe miasto zjeżdżało na Węcla". Była to sztuczna Góra z poręczami do wchodzenia i oświetlona.
Na „Borku" nie tylko graliśmy w piłkę i uganialiśmy się po „gródkach „czyli boksach, przygotowanych do spędu świń, lecz także huśtaliśmy się na łańcuchach okalających cały ten plac targowy i wykonywaliśmy przedziwne ewolucje i sztuczki nieraz karkołomne i niebezpieczne.
„Na Wilka" w stawie kiedyś kąpano się a teraz zimą jeździliśmy do późna w nocy na łyżwach. "na Wilka „, ponieważ staw ten był własnością pana, który nazywał się Wilk. Był to staw a obok był młyn z wielkim kołem młyńskim i zastawką. Od stawu do koła ułożone było specjalne koryto drewniane w którym przepływała woda i obracała wielkie koło młyńskie. W tym młynie mielono zboże na mąkę. Nieraz zaglądaliśmy do środka, lecz potem trzeba było się czyścić, bo wszystko było białe od mąki. Na lodzie zabawialiśmy się w różne slalomy, przejazdy z przeszkodami, mecze hokejowe. I tak pewnego razu wieczorem rozpędzony wjechałem na cienki lód przy brzegu i po pas zanurzyłem się w lodowatej wodzie. Natychmiast udałem się do pani Wilkowej, która umożliwiła mi dokładne wysuszenie się przy piecu. Krępowałem się jedynie, bo przy niej musiałem się rozebrać do naga –niestety. Do domu wróciłem wysuszony i rodzice nie poznali że byłem dokładnie zmoczony.
Przy Gazowni było boisko miejskie piłkarskie, na którym często przeprowadzaliśmy rozgrywki na zasadzie „Wasz plac na nasz plac „. To samo można było robić na boisku przy Szkole, lecz tam było niebezpiecznie, bo można było stracić piłkę na zawsze. Była to prawdziwa piłka skórzana, o której wspominałem wcześniej. Późnym latem z kolegami chodziliśmy wczesnym rankiem na grzyby na „Szklarkę „. Były wtedy zbierane :prawdziwki brunatno –bordowe i tzw. „bielusy „, takie grzybowe odmieńce albinosy, rydze na łąkach i przy ściekach drogowych, kurki, kozaki, i tzw. „podciechy „czyli żółtego koloru grzyby które po zerwaniu siniały i mówiło się że zbierane są na pociechę, kiedy tych prawdziwych było mało. Podobno w gwarze śląskiej nazywają się „bagnioki „. Istotnie nazwa trafna, ponieważ grzyby te lubiły dużo wilgoci i rosły w podmokłych lasach.
Zbieraliśmy także inne jak pół prawdziwki, które siniały, kanie (sowy), zajączki, a późną jesienią nieraz kiedy były pierwsze przymrozki siwki i zielonki, rosnące w zagajnikach i w piasku. W zagajnikach i młodnikach rosło też dużo maślaków. Prawdziwków było wtedy tak dużo, że kiedy uzupełnialiśmy nasze zbiory pół prawdziwkami, to mama była niezadowolona i mówiła „znów przynieśliście mi na strucie, te ohydne siniaki ! „a my odpowiadaliśmy jej że „trudno mamo na bezrybiu i rak rybą „. Kiedy udało się któremuś z kolegów wynieść czyli podkraść z piwnicy swojskie wino, to było zbieranie urozmaicone i na wesoło. Zanim wróciliśmy z lasu, już nie było czuć i rodzice nie domyślali się o naszym występku. Często prowadziliśmy rywalizację kto więcej znajdzie zdrowych prawdziwków, bo jedynie te szlachetne grzyby liczyły się w rywalizacji O ile nie mieliśmy ochoty na zbieranie, bawiliśmy się w lesie, szczególnie w gęstwinach w zabawę, naśladując dziką świnię.

Zabawa polegała na straszeniu się poprzez chrząkanie i miarowe tupanie oboma nogami. . następnie bawiliśmy się w zabawę nazwaną „pilot gotów „która polegała na naginaniu młodych drzewek aż do ziemi i po uchwyceniu się i pomocy kolegi następowało katapultowanie w górę i była wielka frajda i uciecha. Wiele razy już bez kolegów, lecz z mamą siostrą i małym braciszkiem, wyruszaliśmy do lasu sosnowego na Marydoły na jagody i to na cały dzień, zabierając jedzenie i picie. Była to dla mnie w szczególności katorżnicza i syzyfowa praca.
„Uwalałem" się wtedy w gęste jagodziny, żeby nie było mnie widać i tyle miała ze mnie matka pociechy i pomocy. Na dodatek dodatkowej pracy, ponieważ zbrudzone rzeczy sokiem jagodowym trzeba było prać na drugi dzień, a wiadomo, że po tym soku trudno było usunąć plamy, a „Ace „wtedy nie znano. Szczytem wszystkiego było, kiedy matka oddawała uzbierane jagody do Punktu Skupu Runa Leśnego, aby dostać nieduże pieniądze na życie, a w domu nie było zapraw a ni deseru z cukrem lub pierożków z jagodami, które uwielbialiśmy w tym czasie. Jagody ponadto bardzo dobre były w przypadku biegunek, oraz na przeziębienie w postaci suszonej lub zagotowanych w słoikach.
Latem, kiedy nastały wakacje, kilkakrotnie byłem zaproszony na wieś do Torzeńca do brata matki wujka Idziego. Było to gospodarstwo rolne kilkuhektarowe z budynkami murowanymi i z dużą ilością ziemi uprawnej. Były świnie, owce, barany, krowy, kozy, konie klacz zwana „Greta" z małym źrebakiem u boku inwentarza żywego drobnego nie będę wymieniał, bo było tego dużo jak zresztą w każdym gospodarstwie na tej wielkopolskiej wsi. Jak mogłem, pomagałem wujkowi w pracach na roli i w gospodarstwie. Kilka razy spotkałem wujka Franka –leśniczego w mundurze, który akurat wtedy odwiedzał rodziny, jak co roku ze swego rodu Malinowskich
Pamiętam, że bardzo smakowały mi świeże ciepłe jaja kurze. Podkradałem z gniazd kurzych jaja i wypijałem, a wujek wraz z ciocią Stasią dziwili się, że jakoś ostatnio kury mało jaj znoszą i że chyba znoszą poza zagrodą, gdzieś w krzakach. A kury normalnie znosiły jaja a ja dożywiałem się smakołykami i było mi na zdrowie. Na drodze obok gospodarstwa Hojów rosła olbrzymia grusza rodząca dorodne i smaczne gruszki zwane „ulęgałkami". Dojrzałe smakowały doskonale, lecz potem były problemy żołądkowe o ogólnie znanych efektach.
Zboże młóciło się w młockarni o napędzie konnym przy pomocy kieratu. Przy pomocy owego kieratu i sieczkarni, cięto słomę na sieczkę dla koni i nie tylko. Kierat, było to urządzenie usytuowane tuż za stodołą z odpowiednio dużą przekładnią zębatą o zębach skośnych i stożkowych, obficie nasmarowana w środku kieratu, z której wyprowadzone były dwa drągi – dla dwóch koni lub jeden dla jednego konia. Koń uwiązany postronkami i barczykiem napędzał tę przekładnię, chodząc powoli wokół kieratu. Moja praca polegała na prowadzeniu i poganianiu lejcami i batem konia, bo nieraz nie miał ochoty pracować, podobnie zresztą jak ja. Uwielbiałem wylegiwać się po obiedzie na trawie i odpoczywać „na dowolnie wybranym boku" jak śpiewa Maryla R. Bardzo smakowało mi wiejskie jedzenie u wujka. Masło wyrabiane w maselnicy trzymane było w słonej wodzie w piwnicy. Kiedy zostało jeszcze coś ze świniobicia to dania były bardzo obfite, pożywne, choć te ubogie też smakowały.

Często były świeże ziemniaki zwane w tym rejonie „pyrkami „. Była to przecież „Pyrlandia „i nieraz dziwię się, że ta nazwa nie przyjęła się ogólnie w Polskim słownictwie, ponieważ warzywo to przywędrowało przez Włochy i Bonę do Polski z Peru. Na dodatek było mięso z mizerią i „szabelkiem" bo tak nazywano fasolkę szparagową. I znów całkiem słuszna nazwa tego warzywa, ponieważ fasola ma właśnie kształt szabelki. Obowiązkowo było podane zsiadłe mleko gęste i zimne przechowywane w piwnicy koniecznie w glinianym garnku, tak jak kiszone ogórki. Kompot był najczęściej przygotowany z jabłek zwanych papierówkami z własnego ogrodu. Pewnego dnia pracowaliśmy razem z najstarszym synem Mietkiem w polu, zwożąc do stodoły snopki żyta. Wóz był już wtedy na gumowych kołach, więc koniowi było lżej ciągnąć ten ładunek. Do ładowania służyły widły. Ponieważ zbierało się na burzę i chmury złowrogo zwisały i ciemno się nagle zrobiło, śpieszyliśmy się, aby zdążyć jeszcze przed ulewą zwieź jeszcze suche zboże, celem wymłócenia. Zachciało mi się w tym momencie gonić mysz, która uciekała, kiedy podniosłem snopek zboża. Goniąc ja widłami, aby ją zabić, nieopatrznie wbiłem w oponę wozu widły i powietrze nagle zaczęło uciekać jak szalone, wóz się przechylał a naładowany był aż do granic możliwości. Zdecydowaliśmy się bez naprawy w takim stanie w pośpiechu jechać do rozładunku, lecz wpierw wjechać trzeba było do stodoły, bo pierwsze krople już zaczęły spadać z nieba. Udało się, lecz w tym pośpiechu i zdenerwowaniu, siedząc wysoko na furze uderzyłem głową o belkę drzwiową stodoły i na chwilę straciłem przytomność. Lekko zmoczone zboże oraz przebita opona była powodem zdenerwowania wujka Idziego. Z koniem „Gretą" natomiast miałem następujące dwa zdarzenia :
Otóż zmęczona wróciła z pola a wujek prosił mnie, abym ją napoił wodą ze studni, stojącej na placu przed stodołą. Z tej wody i studni korzystano w całym gospodarstwie. Kiedy nabrałem wody do wiadra, specjalnym kołowrotem studziennym na łańcuchu z hakiem, koń mimo iż był straszliwie zmęczony i spragniony, nie miał ochoty się napić. Wujek wyjaśnił mi, że kiedy wiadro jest brudne, lub coś pływa po wodzie, to koń nie ruszy wody mimo pragnienia. Zobaczyliśmy, Ze w wodzie topi się olbrzymia mucha i jeszcze jest żywa. Usunęliśmy to stworzenie i koń ochoczo zaczął się delektować piciem i zaspokoił swoje pragnienie.
Drugi przypadek, świadczący, że koń jest wielkim przyjacielem człowieka i bardzo rozumnym stworzeniem co imponuje mi zresztą do dziś dnia, choć się go boję tak jak psa, -był następujący. Wracaliśmy z pola razem z wujkiem i poprosiłem go aby mi dał lejce do prowadzenia. Znałem już zawołania furmańskie i komendy a więc „hetta" znaczyło w prawo „ćwi" w lewo „pr...r" znaczyło stój a „wio" jechać, uderzenie lejcami lub batem znaczyło poganianie. Wóz był drewniany z bokami zwanymi burtami i z przodu i z tyłu z zastawkami też mającymi swe nazwy lecz już nie pamiętam. W pewnej chwili na drodze pojawiła się duża dziura i na komendę „pr...r" koń nagle zatrzymał się, przód wypadł z siedzenia wypadłem nagle i znalazłem się między postronkami i barczykiem pod kopytami końskimi i brzuchem tego wielkiego zwierzęcia i byłem bardzo przestraszony i pomyślałem że to już koniec ze mną i mnie to wielkie zwierzę stratuje. Lecz o dziwo ten nie tylko nie ruszył się z miejsca, lecz delikatnie cofnął i rozszerzył swe nogi, pozwalając mi uwolnić się z uprzęży, że mogłem bezpiecznie wydostać się z opresji.

Mogliśmy więc dalej kontynuować jazdę wozem z sianem do stodoły. W pobliskim stawie między stodołą, kieratem i ogródkiem było dużo ryb i szlamu. Kiedy był czas wolny od robót polowych przy pomocy koszy i boków z wozu do zagarniania łowiono ryby a potem smażono i była wyśmienita „wyżerka" i radość dla podniebienia. Uwielbiałem też spanie na sianie w stodole. Mówiono mi, że to niebezpieczne i można uśpić się na zawsze, lecz nie odczuwałem żadnej zmiany w moim organizmie i często ryzykowałem oddając się drzemkom na kocu w sąsieku. Tam też często harce urządzały myszy, ale spanie było milsze. Sąsiadami wujostwa byli : Koryciakowie, Sadowscy, Muskałowie, brat Adam z synami Kazikiem i Czechem i córkami :Jasią, Marysią, Zosią. Kiedy po latach znów odwiedziłem to gospodarstwo było jakoś dziwnie, wszystko takie małe i nie mogłem się znaleźć. Spotkał mnie jedynie sąsiad Sadowski, który mnie nawet poznał i opowiedzieliśmy sobie jak to dawnej bywało.
Torzeniec to wioska w rejonie Ostrzeszowa w południowej Wielkopolsce o głębokich tradycjach patriotycznych nie tylko w okresie I wojny Światowej lecz także w okresie II wojny światowej w odwecie za akcje miejscowych partyzantów Niemcy zorganizowali rzeź i wymordowali niemal wszystkich mężczyzn z tej wioski. Po wojnie w dowód pamięci mieszkańcy wybudowali piękny pomnik, który jest obecnie wielce czczony i odbywają się przy nim uroczystości i nabożeństwa religijne.
Uratowali się jedynie dwaj bracia moi wujkowie Idzi i Adam. Pierwszy w tym czasie przebywał tak jak my w Warszawie, natomiast Adam w tym momencie zdążył się ukryć głęboko w lesie w miejscu niedostępnym, wykopując sobie norę w ziemi i mimo pościgu psami nie udało się zbrodniarzom go znaleźć. O zdarzeniu tym wspominałem wcześniej w moich wspomnieniach.

5. Mój dom rodzinny i ulica. Służba ministrancka. Zwyczaje w Kościele. Pielgrzymki Powiedzonka mojej matki i zwyczaje w naszym domu i mieście. Gwara w mieście.
Wspominałem już o niektórych niewygodach w moim domu rodzinnym. Mieszkanie jednopokojowe zimne z zaciekami i pleśnią od strony gdzie mury nie miały kontaktu z innym pomieszczeniem. Okna w kuchni pojedyncze, w zimie mróz malował piękne kwiaty i ozdoby bliżej nieokreślone, natomiast w pokoju były podwójne a dylatacja międzyokienna nieraz służyła nam jako chłodziarka, bo w czasach powojennych jeszcze nie było agregatów chłodniczych w domu. Przypominam sobie, że rzeźnik miał specjalny magazyn brył lodu, które służyły do oziębiania niektórych produktów w czasie letnich miesięcy. W zimie do łóżka obowiązkowo wkładano nam ogrzane butelki z wodą lub specjalne gumowe naczyńka z korkiem i z gorącą wodą w nogi. Rano były już zimne, ale zasypiało się przyjemnie. Pierzyny z prawdziwym pierzem gęsim i grube poduchy a pod spodem siennik wypchany słomą powodowały, że kiedy zagrzaliśmy sobie posłanie ciałem i gorącą wodą, było komfortowo, a w czasie choroby można się było doskonale wyleczyć potami i aspiryną popijaną herbatą z malinami lub z lipy i naturalnie osłodzoną miodem naturalnym. Kobiety w czasie zimy nosiły na nogach kapce futrzane lub filcowe oraz mufki na ręce, wykonane z futra króliczego. Czapki nosiliśmy bądź ze skóry króliczej lub kociej.

Rękawiczki były bez palcowe robione na drutach a na nogach wysokie buty szyte na miarę u szewca. Ozdobą kobiety w zimie były lisie futra, koniecznie z pyszczkiem i puszystym ogonem w formie ozdobnego zwisającego kutasika na plecach. Takiego właśnie lisa dostała moja matka w prezencie od tego najlepszego brata a naszego wujka Franusia. Tuż po wojnie częstowano nas dzieci ohydnym tranem z wielorybów, pochodzącym z paczek UNRA z Ameryki. Wielkie litrowe butelki stały na parapecie okiennym w kuchni i straszyły nas swym widokiem. Normą było wypić tego „świństwa" pełną łyżkę stołową trzy razy dziennie. Potem były tak jak i dziś praktyczniejsze w użyciu i nie takie przykre kuleczki tranowe, które połykało się i nie było czuć tego nieprzyjemnego zapachu. Woda była w sieni a w zimie kran musiał być otulony szmatami, ponieważ często zamarzał. Okna wychodziły na podwórze i na ogród gospodarza, którego pilnował zły pies Aza, przywiązany do budy przy płocie. Pilnował nie tylko wejścia do ogrodu lecz przede wszystkim gruszki zwanej cukrówką. Woda do picia i mycia stała zawsze na małej „ryczce" obok pieca w kuchni. Oświetlenie początkowo gazowe gazem miejskim z Gazowni mieszczącej się przy Straży Pożarnej i przy boisku sportowym miejscowego Klubu. Kuchnia też była na gaz. Informacje z lokalnego źródła rozgłośni zwanej „pętelką „płynęły z głośnika zwanego „kołchoźnikiem „zawieszonego wysoko przy drzwiach i oknie. Posiadaliśmy również radio „Pionier" wpierw z ciemnego tworzywa, bakelitowego a potem bardziej nowocześniejsze w obudowie drewnianej, które grało jeszcze kiedy byłem dorosłym człowiekiem i to bez naprawy. O ile wspominam o niezawodnych urządzeniach to nie mogę pominąć pralki „Frani" i zegarka na rękę marki „Pobieda" którego otrzymałem od ojca, gdy skończyłem Szkołę Podstawową tj. w roku 1957 i jeszcze do dzisiaj jest „na chodzie" a do tego jeszcze nigdy nie był naprawiany. Raz tylko stanął mi i po przeczyszczeniu chodził dalej. Radio to można było doraźnie naprawić samemu bez jakichkolwiek kwalifikacji. Kiedyś zerwała się skala więc ją przy pomocy sznurka naprawiłem. Ojciec często przy dużych zakłóceniach i szumach próbował „złapać" „Wolną Europę" albo rozrywkowy Luksemburg. Najlepiej słuchało się wieczorem lub nocą. Pamiętam była jeszcze taka stacja z której na początku słychać było „Bum,bum,bum tu mówi London"lub„Z Londynu mówi StefanLitauer „. Przy drzwiach wejściowych w mieszkaniach, gdzie mieszkali ludzie pobożni i praktykujący tak jak i my obowiązkowo wisiała kropielniczka ze święconą wodą. Wchodząc lub wychodząc z domu żegnało się zanurzając palce w tej wodzie i mówiło się przy wejściu „Pochwalony Jezus Chrystus" a przy wyjściu „Zostańcie z Bogiem" rzadko „Szczęść Boże „. To drugie pozdrowienie bardziej używano pozdrawiając ludzi przy pracy. A propos elementów religijnych, to na ścianie wisiał krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem, obrazy o tematyce religijnej, Chrystus cierpiący w koronie odlany a raczej zrobiony z gliny i wypalony z glazurą. Tą pamiątkę dostaliśmy od wujka Edzia –brata mego ojca, który pracował w miejscowej Kaflarni. Był on najmłodszym bratem i bardzo lubianym w rodzinie, niestety z niewyjaśnionych okolicznościach i powodów znaleziono go w głębokim lesie, powieszonego u drzewa na swoim pasku. Rower stał pod drzewem, a znaleziono go po kilku miesiącach w stanie nie nadającym się do opisania.

W mieszkaniu ustawiony był ołtarzyk, przy którym modlono się najczęściej „na głos” i wspólnie z rodziną, bardzo rzadko ojciec do nas dołączał. W klasie szkolnej na początku tez wisiał krzyż. Modliliśmy się przed nauką i po jej zakończeniu, oraz naturalnie w szkole była religia. Modlono się w rodzinie przed i po posiłku oraz o godz. 12. 00 w południe, kiedy dzwony w Farze i w Klasztorku dzwoniły na „Anioł Pański „Widziałem wtedy, że robotnicy na ulicy i w polu przerywali pracę na chwilkę. Telewizji nie było, więc matka więcej czasu mogła poświęcać swoim dzieciom i nawet nieraz odmawiano wspólnie różaniec. Matka nasza naturalnie ciągle modliła się na tym swoim ukochanym różańcu, pochodzącym z czasów okupacji mocno sfatygowanym, który uratował ja od wielu nieszczęść.
W sieni naszego domu stały wiecznie oleandry, duże w wielkich donicach drewnianych. Gospodarz wypożyczał je do Kościoła, względnie do prywatnych domów i tam stały przy trumnie zmarłego lub przy katafalku i kandelabrach w kościele na środku. Bliskość cmentarza sprawiała dla nas dzieci niemiłe skojarzenia i baliśmy się duchów tego obiektu. Kiedy korzystaliśmy z ubikacji nocą ciemną, a była ona jak już wspominałem na zewnątrz tuż przy wejściu na ogród oddalona od domu na końcu podwórka, musieliśmy iść w asyście i z obstawą osoby dorosłej. Ojciec proponował mi wiele razy, abym zawiesił na kiju szczotki do zamiatania jego kapelusz, wówczas duch lub złodziej pomyśli że idę z ojcem i nie będzie mnie straszył. Nieraz to próbowałem robić, lecz strach był większy, a wiatr strącał zawieszony kapelusz. Straszyły ponoć wyłącznie duchy nie te z piekła, lecz te pokutujące, które znikąd nie miały ratunku i wstępnie były w czyśćcu. Dlatego tez często modliliśmy się „za dusze w czyśćcu cierpiące i nie mające znikąd ratunku „. Przeżywaliśmy każdorazowo, kiedy z cmentarza dochodził płacz i lament i śpiewy „Salve Regina” – Witaj Królowo. Po święcie Zmarłych i przed, kiedy porządkowano swoje groby na ogrodzie były hałdy śmieci i odpadów z grobów. Nie było wydzielonego składowiska odpadów i ludzie wyrzucali odpady za płot cmentarny na ogród naszego gospodarza. Na cmentarzu często urządzaliśmy gonitwy i bawiliśmy się w” szukanego” Pewnego razu założyłem się z moim ojcem że o godz. O. oo w nocy przejdę na cmentarzu od bramy głównej aż do pomnika Powstańców Wielkopolskich za główny krzyż tam i z powrotem około 150 metrów w jedna stronę. Odwagą natchniony spróbowałem kiedyś tego wyczynu, lecz szybko wróciłem i nie wykonałem zadania. Przypomniałem sobie pewne zdarzenie opowiedziane mi przez ojca jak to jeden z żołnierzy klęcząc przy grobie swej ukochanej przypadkowo zahaczył swoim długim płaszczem o wystający element sąsiedniego grobu chcąc wstać tak się wystraszył, że dostał zawału serca i na miejscu umarł. Któregoś dnia podczas gonitwy kolega zwany „Pytyjonkiem” wpadł do grobowca do połowy i był wielce przelękniony. Chyba od tego czasu zaczął się jąkać. Kiedy się z nami bawił nie zdradzał odchyleń psychicznych, lecz kiedy dorósł z czasem nienormalność ta się pogłębiła a po wielu latach stopniowo tracił kontakt z ludźmi i w efekcie prawdopodobnie powiesił się, podobnie jak to zrobił o wiele wcześniej jego ojciec. Wrócił kiedyś wieczorem z pracy bo był maszynistą parowozu i chodził z wielką torbą narzędziową, zmęczony i na schodach na piętrze tuż przy swoim mieszkaniu zawisł na pasku skórzanym. Widzieliśmy jego wiszącego na drugi dzień rano. Obraz straszny i głośno było wtedy na ulicy w związku z tym wypadkiem.

Przy wejściu głównym z boku cmentarza był grób Jagiełłów i ilekroć spoglądałem na zdjęcie na którym była matka z maleństwem na ręku to sobie myślałem, dlaczego taka młoda matka musiała umrzeć i to w dodatku z małym dzieciątkiem i teraz leżą obie te istoty w zimnym, nieprzyjemnym grobie. Medycyna była wówczas bezsilna.
Zmarłych śmiercią nienaturalną a zwłaszcza samobójczą chowano w wydzielonych miejscach cmentarza pod płotem od strony rzadko uczęszczanej. Tam też pochowano owego nieszczęśnika –ojca „Pytyjonka „. Sąsiadem naszym był rzeźnik, który bez ograniczenia i za byle co bił swego syna, nieraz do nieprzytomności czym popadło i gdzie popadło. Nieraz w czasie długiego katowania Heniek przestawał wyć i płakać, a since na drugi dzień wołały o litość i o „pomstę do nieba" jak mawiała moja matka
Drugim sąsiadem był Pustal ojciec mego starszego kolegi Heńka ale cała rodzina wyprowadziła się, gdy ojciec rodziny umarł. Kiedy amputowano mu w związku z gangreną nogę, to poprosił nas chłopców, abyśmy zapakowaną w karton odciętą nogę zanieśli na cmentarz i po pomodleniu się zakopali, co też z nabożeństwem wykonaliśmy to dziwne polecenie. Odtąd jeździł na wózku inwalidzkim a wkrótce potem umarł. Gospodarz natomiast od wojny też miał nogę zastępczą bo z drewna. Był krawcem i kiedy niestarannie ją przymocował, spadała mu z wielkim hukiem na podłogę, czyniąc hałas, a myśmy na dole wszystko słyszeli.
W okolicy naszego domu jak i w mieście żyli różni ludzie, lecz najbardziej pamięta się zawsze tych nienormalnych, z którymi dzieci miały dużo uciechy i zabawy. Wspomniany już „Pytyjonek „kiedy bawiliśmy się razem lub urządzaliśmy bijatykę lub zapasy to ślina pienista wydobywała mu się z ust i był bardzo zacięty w tych bojach. Chciał za wszelką cenę wygrać. Vis a vis mieszkał „głupi Józiu" bardzo wysoki i silny mężczyzna, który gdyśmy mu się sprzeciwiali, gonił nas a gdy furtka była zamknięta rzucał kamieniami a przy otwartej furtce wybiegał na ulicę i obrzucał nas końskimi „bobkami „, których dużo było na jezdniach bo wtedy jeszcze pojazdy samochodowe były rzadkością i sensacją, kiedy przejeżdżały, natomiast dużo było wozów z konnym zaprzęgiem. Po mieście chodziła nienormalna Anielka, dziwnie ubrana zawsze z wiaderkiem po marmoladzie zawieszonym na drucie a w nim miała przeróżne rzeczy papiery i śmieci, które zbierała starannie z ulicy lub gdzie popadło. Na Borku tym placu targowym żyła sobie na poddaszu z bardzo maleńkim okienkiem wychodzącym na ten plac niejaka Rózia staruszka. Z tego okienka wiecznie wyglądała na świat. Staruszka ubrana była zawsze grubo i w chustce na głowie. Kiedy my dzieci wołaliśmy na nią po prostu „Rózia, Rózia „, to ona rzucała w nas czymkolwiek i straszliwie przeklinała, używając przedziwnych słów, często niezrozumiałych dla nas. Był też w pobliżu tego placu pan wysoki i chudy dostojnie wyglądający w czarnym garniturze i pod krawatem i zawsze z czarną teczką w ręku. Nazywaliśmy go profesorem Michalskim bo kiedyś był zapewne jakimś naukowcem lub pedagogiem. Nie był on szkodliwy dla otoczenia a kiedy ktoś próbował się z niego wyśmiewać, to on specjalnie nie reagował. Sam nawet nie przypuszczał że jest to skuteczna metoda, aby dzieci jego nie napastowały. Zbierał po ulicy kije i patyki i wkładał je do tej czarnej torby. W jego sąsiedztwie mieszkał „Majuja" z dużą brodą i wielkim kapeluszem, prawie takim jak noszą kowboje.

Hodował z pasją gołębie, a myśmy na niego wołali „Majuja brifki na dachu” on natomiast wściekał się i gonił aż do obłędu rzucając nieraz na uciekających kamienie i inne przedmioty które miał pod ręką, a jak niedaj Boże złapał kogoś to nie było litości i lał gdzie popadło. Brifki to nieco z niemieckiego brzmiące słowo oznaczające gołębie pocztowe i prawdopodobnie takie hodował.
W pobliżu tego brodatego „Majuji „mieszkał kolejny zwariowany. Przezwiskiem tego zaś było „Malinek „. Wysoki, wielce wysportowany mężczyzna i nie do końca nienormalny, raczej dziwak. Tego znów niebezpiecznie było drażnić, ponieważ zwykle kończyło się źle, bo każdego dogonił. Pewnego razu nie wiedząc, że jest ten człowiek tak dalece sprawny, zawołałem i ja na niego jak inni wg umówionego hasła i oto puścił się za mną jak szalony, aby mnie dogonić. Był jednak między nami spory dystans i miałem teoretyczne szanse, aby uciec. Już niemal kroki jego słyszałem i oddech na plecach, kiedy wpadłem do najbliższego domu, w którym mieściła się partia a teraz jest Ośrodek Zdrowia, ukrywając się na samej górze w jakimś otwartym biurze i schowałem się do szafy. To mnie uchroniło, lecz po odczekaniu wyszedłem z tego biura, a on jednak nie dawał za wygraną i czekał na mnie za najbliższym rogiem. W pewnej chwili zaczął mnie ponownie gonić a ja uciekałem w kierunku Klasztoru łąkami i poprzez strumyki przeskakiwałem jak sarna. W pewnej chwili uciekający przypadkowo inny malec zmylił pościg i wyratował mnie, ponieważ on pobiegł za nim w inną stronę a ja odetchnąłem z ulgą i schowałem się w Klasztorze, w którym swe modlitwy odprawiały Siostry Nazaretanki, i zacząłem się oczywiście razem z nimi gorliwie modlić, dziękując Bogu że mnie ten szaleniec nie złapał. Jeszcze jeden zagadkowy człowiek żył w tym mieście i wzbudzał wielkie zainteresowanie. Był to człowiek starszy, brodaty i zgarbiony do ziemi, bo był po prostu garbaty. Podobno łapał psy, koty, szczury, myszy i przetapiając je na smalec zjadał. Przezwisko było nieco dłuższe bo wołaliśmy za nim „Psy, koty, szczury, myszy, ”a on też nas gonił, lecz był bardziej niedołężny więc rzucał kamieniami w wymyślny i zmodernizowany sposób. Wsadzając kamień do kija, który na końcu był rozszerzony i nacięty, trzymał się zakleszczony a kiedy wyrzucał z wielkim zamachem, wylatywał jak z katapulty w naszym kierunku. Było to niezwykle niebezpieczne, lecz dla niego skuteczne i odstraszało napastników. Tylko co odważniejsi zabawiali się z nim. Taką samą metodą walki z kłusownikami posługiwał się stróżujący na alei czereśniowej na drodze parzynowskiej, lecz nieraz udało nam się tego stróża przechytrzyć i dostawaliśmy się na drzewo po smakowite czereśnie. Ilekroć zbliżały się Święta, należałoby lub wręcz wypadało, mimo wielu zajęć ulicznych i podwórkowych pomóc mamie.
W mieszkaniu zwykle nie sprzątaliśmy, przynajmniej ja, natomiast siostra częściej a najmłodszy brat w ogóle, bo mama miała swoje sposoby sprzątania i mówiła „dajcie mi spokój „Było to przecież złe wychowanie i wielce niepedagogiczne –patrząc teraz z perspektywy czasu minionego, ponieważ nie przyzwyczaiła nas do tych robót w przyszłości, co niejednokrotnie później żona mi to wytykała. Niemniej jednak inne prace wykonywaliśmy z ochotą w ramach luzów.
Buty zniszczone, trzeba było dla całej rodziny zanieść do szewca.

Drobniejsze naprawy i uzupełnienia można było po wielkiej prośbie i błaganiach odebrać zaraz, natomiast inne w wyznaczonym terminie, byle był to czas dogodny, aby na święta lub niedzielę były gotowe. Czekając na buty obserwowałem pracę i dziwiłem się że temu człowiekowi tak zgrabnie „idzie „praca. Buty mocował na pasku lub drejfusie, specjalnym stojaku odlanym z żeliwa, posiadającym różne zakończenia na różne rodzaje butów, a szewcował na kolanie, stukając młotkiem o dziwnym kształcie. Podeszwy były ze skóry i z gumy. Jedne mocował przy pomocy gwoździ, drugie przy pomocy drewnianych kołków, robiąc wpierw otwory specjalnym szydłem. Następnie wystające kołki ścinał raszplą do równości i zlicowania z podeszwą.
Na koniec obrzeża lakierował jakimś czernidłem lub pastą. Inne buty stały na półkach w „prawidłach, celem uformowania i wydłużenia. Naprawione buty stały rzędem wyświecone z kartkami do odbioru.
Muzyczka z „pętelki" urozmaicała robotę siedzącą a szewc z praktykantem najczęściej rozmawiali o polityce i o sytuacji w mieście. Często u niego przesiadywali koledzy lub klienci mający ochotę podyskutować i długo ta dyskusja trwała. Na święta wypadało iść do fryzjera. Było to dla mnie bardzo przyjemne, bo tam się siedziało na specjalnym krześle obrotowym, a fryzjer zgrabnie strzygł lub golił brody i wąsy. Zwykle przed świętami były tam duże kolejki. Loczki pamiętam miałem śliczne i długie jak dziewczynka i któregoś dnia fryzjer bez zgody rodziców obciął mi je i schował do kartonika, a ja od tej pory na pytanie gdzie podziałem włoski odpowiadałem że „w kartoniku są schowane „. Tak samo postąpiliśmy po latach z moim bratem Januszem. Zaciągnęliśmy go wraz z moim starszym kolegą do fryzjera i kazaliśmy aby mu je ściął –też bez zgody matki. Zapakowaliśmy je także do kartonowego pudełeczka na pamiątkę.
Przed świętami i nie tylko było duże pranie. U nas prało się na tarce szarym mydłem lub „Tukanem" bo nie było jeszcze ani „Frani" ani proszków do prania i w wielkiej ocynkowanej okrąglej balii. W tej wannie zresztą była rodzinna kąpiel w soboty i też przed świętami. Wysuszone na strychu pranie było krochmalone a pościel i obrusy wyciągane i układane w kostkę. Firany dawano do „szpanowania „na stojakach i listwach z szeregiem gwoździ na które napinano mokre firany, aby mogły się napięte dobrze wysuszyć. Następnie złożone pranie do kosza wiklinowego zanoszono do magli. Było to urządzenie wielkie z korbą i wałkami na które nawijało się kolejno pościel zwane maglownikami. Zawijało się nie tylko pościel, lecz obrusy, serwetki, serwety, kapy itd. Obracając wielką korbą po wałkach wielka skrzynia wypełniona kamieniami przesuwała się tam i z powrotem aż do całkowitego wymaglowania. Dla nas małych kręcenie korbą w dodatku z nawiniętymi wałkami z pościelą była to praca bardzo trudna i ciężka. Za taki wysiłek była zwykle nagroda w postaci cukierków, rzadziej lodów. Cukierki były przeważnie bez papierków. W papierkach były drogie. Te bez papierków wystawione były na ladzie w wielkich szklanych słojach z przykrywkami, z których sprzedawca wybierał je specjalnymi łyżkami aluminiowymi. Latem wokół tych słoi krążyło wiele pszczół i os. W domu i na ulicy przed świętami roznosił się drażniący nozdrza zapach ciast i wędzonek.

Po rozrobieniu w domu ciasta i ułożeniu na blasze wysmarowanej wpierw tłuszczem, zanosiło się do piekarza i tam stawiało się ciasto z kartką na chwilę do wyrośnięcia, aby po wypieku odebrać. Po drodze niestety ku niezadowoleniu matki trzeba było to ciasto pachnące i świeże spróbować a szczególnie smakowały nam kruszanki na wierzchu to takie nieregularne grudki ciasta z cukrem, które nim jeszcze matka przed wypiekiem przygotowywała, podkradaliśmy i ze smakiem konsumowaliśmy je. Surowe smakowały najbardziej. Pokusa przezwyciężała wszystko. Drożdżowe ciasto musiało wydobrzeć pozostawione w dzieży. Latem robiło się bardzo często piwo swojskie ciemne w butelkach z zamknięciami i gumką. Ileż było uciechy dla nas a dla matki zdenerwowania, kiedy niezbyt zimne eksplodowało po otwarciu. O ile wujek Idzi lub znajomy rzeźnik miał czas a my zdobyliśmy świniaka, było świniobicie w domu. Całe mieszkanie i sień zaparowane. Zapachy te przyjemne i te mniej mieszały się wzajemnie. Wspaniale smakowała kiszka wyjęta z gorącej kiszczanki z kotła stojącego na piecu kaflowym, specjalnie z tej okazji uruchomionym. Zupełnie smakowitym kąskiem była kiełbasa swojska zaparzona lub potem uwędzona za kilka dni razem z boczkami i szynkami. Zanim przystąpiono do przetwórstwa, mięso z kilku miejsc należało poddać badaniu u weterynarza. Z podziwem patrzyłem jak rzeźnik te odpady świńskie czyli ryj, uszy, mielił i ciął na kawałki wpychając je do żołądka świńskiego w celu przygotowania salcesonu. Potem ten salceson musiał być przyciśnięty deskami i kamieniem, aby nabrał kształtów i był bardziej zbity i dobry do krajania. Dla dzieci były tzw. „pacharzyny" tzn. nadmuchane elementy pęcherzy takie balony do zabawy. Wisiały na sznurku i się suszyły. Któregoś z rzędu świniobicia, wujek poprosił mnie, abym mu pomógł przy pracy, wpychając pocięte na kawałki mięso do maszynki przykręconej do stołu. Kiedy już się nieco zmęczyłem, maszynką kręcił wujek a ja natomiast jedynie wpychałem mięso do środka. W pewnej chwili poczułem wielki przejmujący ból i rękę wciągnął mi ślimak maszynki, który był odpowiednio zaostrzony, niezależnie od noża. Efektem tej nieuwagi była wizyta u lekarza i zabieg, na szczęście niegroźny, bo kości nie zostały naruszone a jedynie „ciało „. Kiszczankę, kiszki a nieraz i inne wyroby zanoszone były do sąsiadów i krewnych, celem poczęstunku i pochwalenia się, że u nas jest świniobicie.
Przed świętami ale nie tylko, otrzymywaliśmy od matki kartkę z zakupami, głównie u rzeźnika bo sklep „mięso i wędliny „nazywał się „rzeźnik" i można było niemal wszystko tam kupić co wieprzowe i wołowe za wyjątkiem koniny, bo tego typu wyroby miały swój własny sklep i były mniej popularne. Kiedy matka nie wiedziała a my mieliśmy „lewe" pieniądze udawaliśmy się tam i kupowaliśmy sobie kiełbasę, która nam bardzo smakowała i była względnie tania. W czasach kryzysowych powojennych krążyła anegdotka o rzeźniku i sklepie mięsnym iż dawniej w sklepie było mięso, wędliny a na zewnątrz był napis rzeźnik, natomiast teraz jest odwrotnie bowiem na sklepie jest napis mięso, wędliny a w środku jest tylko rzeźnik. Przy zakupach operowało się funtami, półfuntami i ćwierćfuntami. Na mięsie się nie znałem, więc jeżeli przyniosłem np. kotlety z większą kością niż norma ustalona przez matkę to musiałem je z powrotem zanieść i z tym miałem zawsze problem, lecz zwykle rzeźnik przyjmował tę reklamację i nie obeszło się bez jego uwag i wymyśleń na matkę.

Gdy na kartce napisane było „włoszczyzna” to nigdy nie wiedziałem co kupić i co to znaczy owo tajemnicze słowo. Takiej pozycji na straganie nie było. To tajemnicze słowo znała handlarka, bo zawsze mi dała pęczek jarzyn a matka nic mi nie mówiła i było dobrze załatwione no chyba że te jarzyny były zwiędłe i nieświeże. To była akurat porcja jarzyn na obiad do rosołu lub do zupy. W Aptece zabezpieczano się w różne środki lecznicze i lekarstwa, te bez recept i te na recepty, ale jedynie gdy choroba się trafiła. Znajoma mamy w Aptece zabawiała się często moją osobą, bo pamiętała że ja już od małego dziecka chodziłem do niej po lekarstwa. Po glinkowy ocet, po plaster z lwem lub po proszki na ból głowy z kogutkiem. Kiedy kupowałem proszki na ból głowy to ta pani ciągle pytała mnie „czy mamę ma boleć głowa czy nie, bo ty zawsze chcesz proszki na ból głowy „Dziwiłem się czego ona mnie pyta bo przecież mamę ma głowa przestać boleć i mówiłem że „nie” a ona odpowiadała mi niezmiennie że w Aptece są tylko proszki przeciw bólowi głowy z kogutkiem. W Drogerii na Rynku natomiast był bardzo gruby i dowcipny sprzedawca, który na prośbę klienta, szczególnie dziecka, gdy danego specyfiku nie było w sklepie odpowiadał „Idź mały do domu i powiedz rodzicom, że nie ma tego, lecz jest jedynie –sapiencja „Dla wyjaśnienia należy tutaj podać, że po łacinie słowo to oznacza po prostu mądrość i tę mądrość proponował rodzicom kupić. Oczywiście długo nie wiedzieliśmy co to znaczy i dawaliśmy się nabierać przez tego dowcipnego sprzedawcę. Rodzice natomiast nie korygowali nas, bo też mieli „ubaw „. Cukier kosztował wtedy 5, 25 i pewien sprzedawca w Rynku w sklepie „Na Szewczyka „bardzo szybko obsługiwał i mówił też bardzo szybko i z tego wychodziły śmiechy i przedrzeźniania. Mówił mniej więcej tak „Pię, pię, pię, pięć dwadzieścia i pięć „Więc dzieci specjalnie pytały go każdorazowo „ile kosztuje kilogram cukru „, aby się z niego ponaśmiewać i uciec. On natomiast zwykle musiał na takie pytanie cierpliwie odpowiadać, bo co miał innego zrobić. Były też sklepy kolonialne tzn. takie w których były towary z dalekich ciepłych krajów i „słodkie dziurki „z dziwnymi kolorowymi smakołykami głównie dla dzieci.
Cukierki przeważnie były różnorodne ale bez papierków, umieszczone na ladzie sklepowej w specjalnych szklanych słojach z pochylonym otworem wsypowym, a nabierało się je specjalną łyżką z aluminium do towarów sypkich. Szkło słoików było przezroczyste, aby można było widzieć te słodycze.
W trzeciej klasie roku 1953 w marcu nagle jak grom z jasnego nieba, a raczej z głośników „pętelki” dotarła do ludzi smutna wiadomość że „nasz wielki przyjaciel Polski i ojciec Batiuszka Stalin nie żyje „Jakież było w mieście poruszenie. W dniu tym naturalnie lekcji nie było. Nauczyciele prawie wszyscy płakali, szczególnie ci młodzi i ci zaangażowani i niektóre dzieci też, Spędzili nas do wielkiej sali gimnastycznej w papciach i wysłuchaliśmy kilkugodzinnej transmisji radiowej z uroczystości pogrzebowej na Kremlu. W majestacie powagi udaliśmy się do domów a starsi między sobą długo komentowali po cichu to wydarzenie. Musiał on być czczony jak bóstwo. Wystawiony miał „ołtarzyk „na korytarzu szkolnym a świeże kwiaty były tam zmieniane co kilka dni.

Bardzo trudna do zdobycia i bardzo popularna była w tym czasie książka Heleny Bobińskiej pt. ”Soso” naturalnie o Stalinie, bo było to jego imię zdrobniałe kiedy był dzieckiem. Zdobyłem z trudem tę książkę i przy najbliższej okazji ofiarowałem ją wraz z odpowiednią dedykacja mojej Krysi z racji jej Imienin w dowód sympatii

Podczas takich spotkań z racji Imienin częstowali nas domownicy słodyczami i ciastem a nieraz były lody oraz przy gramofonie lub patefonie i płytach tańczyliśmy razem i było nam bardzo dobrze. Do godz. 22. 00 można się było za zgodą rodziców w takim towarzystwie bawić. Gdy byliśmy nieco starsi, zaczęły się pierwsze pocałunki, bo często na takie imprezy dobieraliśmy się parami. Muszę przyznać iż mimo że umizgiwałem się do Krysi, to nie wzbudzałem w niej większego zainteresowania. Byłem w klasie żywym chłopcem i do wszystkiego chętny, do bójki do figlów i rozrób, do zabawy i do tańca a takich nie bardzo dziewczyny lubiły. Nie pamiętam też w której klasie wybraliśmy się jak zwykle na wycieczkę krajoznawczą z wychowawcą do pobliskiego Lasku Klasztornego. Krysia chcąc nam zaimponować że umie robić zdjęcia, zabrała ze sobą aparat fotograficzny lustrzankę ze statywem, aby nam całej klasie zrobić pamiątkowe zdjęcie. Ustawiła nas wysoko na górce a sama z dołu zrobiła ”pstryk” i co wyszło? Widać!

w Lasku Klasztornym za górką na spacerku Krysia z białą kokardą

Po wywołaniu wszyscy mieliśmy duże brzuchy i długie nogi, ale pamiątka była. Nauka jednak kosztuje i nigdy nie idzie w las. bo „co się Jaś nauczy to Jan będzie miał jak znalazł „Potem przy ojcu i siostrze starszej musiała perfekcyjnie wykonywać swoją robotę w Zakładzie bo leciały gromy. Gdyby była matka byłoby inaczej. Taki los mają sieroty, mówiła często moja matka, bo sama tego w życiu doświadczyła.

Szkoła posiadała ogródek doświadczalny na ul. Zamkowej, na którym uczyliśmy się poznawać sadownictwo i warzywnictwo i pielęgnację i uprawę roślin. Warzywa „szły" do kuchni na obiad, bo w szkole było dożywianie.

Do domu prywatnego hodowcy jedwabników chodziliśmy z klasą, aby zobaczyć jak te jedwabniki pracują, żyją i co z tego powstaje. Potem zobowiązaliśmy się, że będziemy przynosić hodowcy liście morwy, które jedwabniki

Konsumowały z wielką przyjemnością.

Fara w Ostrzeszowie/ widok od strony Rynku i Ratusza/

Kościół był moim drugim domem poza ulicą. Fara miała wszystko bardzo stare i zabytkowe. Jedynie pomnik obok nie, bo był zbudowany już po wojnie przez byłych więźniów obozów a głównie tych z Dachau. .Dzwonnica obok Kościoła też nie była stara. Posiadała trzy dzwony o imionach Jezus, Maria i Józef. Józef był największy. O ile udało się komukolwiek z nas dostać do dzwonu największego to sobie używał, podciągając się w miarę wznoszenia na powrozie aż do samej góry. Od najmłodszych lat, aż do I Komunii Św. lub nawet i dłużej, tradycją w ubiorze chłopca były w chłodne dni pończochy na żabki i pasek umocowany na biodrach, oraz obowiązkowo krótkie spodnie, a latem podkolanówki, rzadziej skarpety. Nie było mowy o noszeniu długich spodni, a u dziewczynek nie do pomyślenia było wtedy założyć spodnie a w dodatku obcisłe, bo to było wielce niemoralne i niemodne. Nawet w wielkim mieście nie było wówczas takiej mody. Ciekawe zawody, dziś już wymarłe uprawiali niektórzy rzemieślnicy i w prymitywny sposób. Na przykład powrozy były solidnie wykonywane między innymi przez naszego sąsiada Jurkiewicza.

Nieraz pomagaliśmy mu bo trzeba było dość solidnie trzymać u pasa końce kiedy mistrz tam w warsztacie zwijał a raczej skręcał, wykonując sploty na specjalnym czółenku i w maszynie. Długie były te powrozy, że nieraz musiano aż na ulicę wychodzić w początkowej fazie skręcania.
Na dole w dzwonnicy stała pusta trumna, która nas straszyła swoim widokiem. Służyła ona do wystawiania przed ołtarz w czasie ceremonii pogrzebowych, gdy zmarły leżał w swoim domu i w swojej trumnie. Za zmarłego odprawiana była msza św. Na organy wchodziło się na tzw. chór z zewnątrz Kościoła. Organista pozwalał jedynie wówczas nam wchodzić, gdy potrzebował naszej pomocy przy kalikowaniu, podczas kiedy nie było prądu a grać trzeba było. Organy napędzane powietrzem do piszczałek tych najmniejszych i tych olbrzymich basowych przy pomocy drąga i miechów. Wiele razy widziałem przed Kościołem artystę malarza ziemi ostrzeszowskiej Antoniego Serbeńskiego, który upajał się widokiem starych lip i kasztanów wokół Fary i je z pasją malował. Fara miała więc piękne otoczenie. Nieraz na wystawach widzę te widoki, które wówczas malował.

W roku 2007 miasto obchodziło 50 rocznicę śmierci tego wybitnego artysty, pochodzącego z kresów wschodnich a zamieszkałego i pracującego od lat w Ostrzeszowie. Lipy ponoć pamiętają te czasy, kiedy Fara była budowana, ale czy to możliwe ? Przyglądałem się i marzyłem czy ja kiedyś tak będę malował. Były to moim zdaniem niedbałe ruchy pędzlem a potem z tego powstawało cudne dzieło, dziś w dużej cenie. W Kościele były nieraz stosowane zwyczaje, które obecnie zostały zaniechane jak na przykład wywód czyli błogosławieństwo kobiety świeżo co po urodzeniu dziecka, lecz jeszcze przed chrztem św. małego. Ledwo co stojąca na nogach przychodziła do kościoła i przeważnie do Zakrystii i przy klęczniku czekała na księdza i błogosławieństwo ze świecą gromniczną. , bo świeca gromniczna winna towarzyszyć człowiekowi przez całe życie aż do śmierci, począwszy od urodzenia. Wystawiona podczas burzy i grzmotów ma chronić dom przed piorunem. Przed każdą mszą św. oprócz dzwonów w dzwonnicy tych dużych na 10 minut przed odzywała się mała sygnaturka zawieszona u stropu na środku Kościoła, wzywając wiernych na mszę św.

W okresie wielkanocnym ministranci ubrani w komeżki i wyposażeni w klekotki i tarki obchodzili wokół wszystkich kościołów i kaplic w mieście i głuchym miarowym przemiennym odgłosem tych przyrządów perkusyjnych sygnalizowali wszystkim że jest okres wielkanocny i że za chwilę będą święta. Przy Bożym Grobie całą noc aż do Rezurekcji były straże : harcerzy, ministrantów, strażaków a nieraz księży etatowych i księży gości i kleryków. Przez całą noc ludzie modlili się i śpiewali wielkopostne pieśni w sposób zorganizowany oraz spontaniczny. Zawsze znalazł się jakiś prowadzący, który inicjował śpiewy i modlitwy. W Dni Krzyżowe i na Św. Marka szło się rankiem z procesją i modliło się o urodzaje i pogodę. Szczególnie podniosłe były procesje Bożego Ciała. Za czasów stalinowskich były ograniczone do sąsiednich ulic, natomiast kiedy były czasy odwilży to procesja szła przez całe miasto głównymi ulicami. Pamiętam przyjazd Arcybiskupa poznańskiego Walentego Dymka, który jako wikary rozpoczynał swoją posługę właśnie w Ostrzeszowie. Było tak uroczyście i z wielką pompą w mieście czczony jego przyjazd, że na naszej ulicy, kiedy przejeżdżał, ludzie odpięli konie i cały powóz tonący w kwiatach podnieśli na swych ramionach mężczyźni i szli przez całą ulicę. Dzisiaj każdy przyjazd dostojnika kościelnego tej rangi to żadna emocja. Po cichu przyjeżdża i samochodem z kierowcą odjeżdża, witany i żegnany jedynie u bram Kościoła przez miejscowe kościelne gremium. Pamiętam Bierzmowanie, które obsługiwał ks. biskup Jedwabski –Z-ca biskupa Baraniaka w Poznaniu Znów była podniosła uroczystość na dworze, ponieważ mała Fara nie pomieściła by tylu zgromadzonych ludzi. I znów razem z Krystyną przystąpiliśmy do tego Sakramentu

Pamiętam I Komunię Św. Byłem ubrany na biało i w krótkich spodenkach. Krysia tez była pięknie ubrana, a jej siostra Miecia robiła nam grupowe zdjęcie i każdemu z osobna, ale już w Zakładzie Fotograficznym w Atelier. W domu po Komunii św. nie było żadnej uroczystości i przyjęcia jak to ma miejsce w obecnych czasach. O prezentach tez nie było mowy. Po południu uczestniczyć musieliśmy w nieszporach i znów do domu i przy skromnej wieczerzy zakończył się ten uroczysty dla nas dzień. Po obiedzie dostaliśmy pieniądze na lody i oranżadę i mogliśmy na ulicy paradować w pięknych strojach i białej koszuli. Ja miałem białą koszulę ze słowackim kołnierzem, wyłożoną na marynarce bez kołnierza.

Po śmierci Arcybiskupa poznańskiego Walentego Dymka ku jego czci plac zabaw i otoczenie tuż za figurą M. B. na ulicy Sikorskiego teren po Sodalicji Mariańskiej i Sokoła nazwano jego imieniem i umieszczono stosowną tablicę pamiątkową

Na tym placu odbywały się różne imprezy miejskie i zabawy młodzieżowe. Były tam też boiska do gry w tenisa i siatkówki. Będąc jeszcze młodzieńcem pamiętam że wiele razy oczywiście z Krystyną bawiliśmy się na zabawach, na których przygrywali znani muzycy lokalni, oraz zaproszeni z Poznania. Tam też występowały znane zespoły jak Czerwono-Czarni, Niebiesko –Czarni. Jednym z lepszych muzyków grających na pianinie był Włodek Rejmoniak znany jazzmen Poznania –ostrzeszowianin, który potem próbował umizgiwać się do mojej siostry Danuty. Zespoły grały całą noc na płycie betonowej a sami usytuowani byli na platformie ciągnikowej. Niektórzy z tych muzyków grali również na fajfach i dancingach w lokalach, na których bawiliśmy się, nie opuszczając żadnej potańcówki.

Do tego zespołu doszedł potem Julek Kurzawa późniejszy założyciel znanego w Polsce zespołu „Sami swoi" z Wrocławia i odkrywca piosenkarki Hanny Banaszak. Stracił się potem gdzieś a zespół się niedługo potem rozleciał. Podobno obecnie na stałe mieszka w Szwecji i uczy muzyki w szkole. Po nim na przykład mamy w domu pamiątkę akordeon czarną Muzę na którym nieraz pogrywa sobie mój brat Janusz. Uczył się gry na tym instrumencie u niejakiego Waltera, zwariowanego i znerwicowanego choleryka –miejscowego nauczyciela muzyki i gry instrumentalnej.
Jako ministranci, oprócz codziennej służby, mieliśmy wiele urozmaiceń serwowanych przez księdza opiekuna. Graliśmy na przykład w piłkę na sąsiadującym z Kościołem placu przed oborami, które potem zamieniono w salki katechetyczne, naturalnie przy naszej efektywnej pomocy.
Urządzano nam wycieczki do Częstochowy, do pałacyku myśliwskiego Radziwiłłów do Antonina, leżącego o około 15 km od naszego miasta. W tym zameczku mieszkały wówczas biedne rodziny i był on bardzo zaniedbany. Dopiero teraz ludzi tych wysiedlono i urządzono wnętrza po staremu i można ten obiekt zwiedzać i podziwiać Wycieczki urządzano nam również do pobliskiego Grabowa, do Wieliczki i Krakowa, do Ojcowa i Pieskowej Skały. Gdy przyszedł czas kolędy czyli odwiedzin duszpasterskich to oprócz pieniędzy, które często mogliśmy sobie zatrzymać, przeżywaliśmy przeróżne przygody miłe i niemiłe. W czasie srogiej zimy na wioski wyjeżdżało się bądź powozami konnymi owinięci w koce i w ciepłych ubraniach z kożuchowymi czapkami na głowie, natomiast na miejscu od domu do domu chodziliśmy pieszo, nieraz przez wielkie zaspy śniegu w które wpadaliśmy po pas, bo zimy w tych latach były o wiele sroższe niż obecnie. W domach było ciepło i zmarznięci do „szpiku kości" grzaliśmy się przy piecu lub wkładaliśmy zmarznięte ręce do gorącej wody. Niektórzy z księży uhonorowali nas ministrantów sadzając obok siebie podczas przyjęć i poczęstunku, jednak z reguły byliśmy oddzieleni, co nam niejednokrotnie bardziej imponowało. Poczęstunki zazwyczaj były na koniec kolędy w danym dniu albo u sołtysa albo w domu bogatych i zamożnych chłopów. Pewnego razu na odległej wiosce bez energii elektrycznej, gościliśmy się w oddzielnej sali i z nudów pluliśmy na odległość do stojącej na stole lampy naftowej. Efektem tej zabawy było pęknięcie klosza i po zabawie. Potem przenieśliśmy się na podwórko i jabłkami podarowanymi rzucaliśmy do okien i różnych ciekawych punktów docelowych. Na pamięć wiedzieliśmy, która wioska jest bogata a która biedniejsza, w którym domu dają więcej gotówki i w którym częstują i się gościmy.
W domu Feigów na ul. Targowej u mojej Krysi zawsze na koniec kolędy była wielka uczta z udziałem wszystkich księży i ministrantów dyżurujących. Ministranci szli wcześniej do domów obdarowani słodyczami i ciastem, a księża bawili się do późna. O ile pieniędzy nie otrzymywaliśmy, ksiądz je zbierał, a na koniec było sprawiedliwe rozliczenie i coś tam otrzymywaliśmy na drobne wydatki a większa część przeznaczona była na wycieczki, sprzęt sportowy i inne przyjemności. Oprócz Częstochowy piesze pielgrzymki parafialne były do Mikorzyna do św. Idziego oraz do św. Rocha do Parzynowa a nieraz do Olszyny i Rojowa.

Z pielgrzymami i ministrantami szliśmy polami i lasami, dróżkami i drogami w pyle i kurzu w słońcu i w deszczu, przystając przy przydrożnych świątkach i krzyżach na chwilę, aby odpocząć i się nieco pomodlić, a przy tym nieco posilić. Na tych pielgrzymkach spotykaliśmy pobożnych znajomych ludzi a między innymi często jeszcze wtedy kleryka i naszego sąsiada Zenka Jonaczyka, późniejszego profesora i Kanonika uczącego w Poznaniu w Wyższym Seminarium Duchownym niestety obecnie już nieżyjący. Umarł mając 62 lata nagle w Buku za Poznaniem. Szliśmy razem a ja naturalnie często ze swoją Krysią, niby oddzielnie, lecz mając ją „na oku „Pewnego razu widząc nas razem ów kleryk Zenek powiedział do nas „No, no widzę was razem i może coś z tego kiedyś wyjść, bowiem na święty Idzi, każdy swoją widzi „. To prorocze powiedzenie kleryka spełniło się bez reszty w przyszłości. Nie tylko zresztą w naszym przypadku. Znamy wielu znajomych, którzy w podobny sposób jak my związali się na zawsze ślubami i przysłowie to nie było gołosłowne. W dowód pamięci poprosiliśmy go później o celebrowanie na naszym ślubie w Kościele farnym w dniu 31 grudnia 1964 roku.

Na miejscu pielgrzymkowym był program pobytu, odpoczynek, posiłek, odwiedzenie bud jarmarcznych i odpustowych ze słodyczami, napojami, kołem szczęścia i z planszami kolorowymi przy których można sobie było zrobić zdjęcie pamiątkowe, jeszcze mokre bo „od ręki „Były też stoiska z grami zręcznościowymi i przejazd na kucykach lub na karuzeli. Nie ze wszystkiego można było skorzystać, ponieważ dostawaliśmy wyliczone pieniądze i nie za dużo od rodziców. W ten dzień w umówionym swoim miejscu ustawiony był wóz mojego dobrego i ukochanego wujka Idziego, który przyjeżdżał właśnie do Mikorzyna, ponieważ było to dla niego też święto osobiste, bo miał swoje imieniny. Imiennik jego św. Idzi wystawiony był w głównym ołtarzu przedstawiony był ze zwierzęciem, chyba jak pamiętam z sarenką, taki drugi po św. Franciszku święty ze zwierzęciem. . Był prawdopodobnie patronem leśników lub rolników Było to miejsce pątnicze ludu z okolic południowej wielkopolski. Co rok 1 września aż po dzień dzisiejszy odwiedza to miejsce liczna rzesza pielgrzymów. Cała rodzina składała życzenia wujkowi a on był dumny że taka duża grupa krewnych i znajomych go otacza. Któregoś roku emocje w Mikorzynie były duże, ponieważ podczas uroczystej sumy zaczęły wyć nagle syreny strażackie i powstał pożar okolicznego gospodarstwa. Nie mogliśmy wytrzymać i biegiem podążyliśmy w to miejsce, aby zobaczyć jak się pali i jak wygląda w rzeczywistości pożar. Mimo interwencji straży pożarnej gospodarstwo uległo całkowitemu spaleniu ku wielkiej rozpaczy gospodarza i jego rodziny. Tak byłem zaabsorbowany tym wydarzeniem, że pielgrzymi moi poszli już sobie w drogę powrotną. Ponieważ nie znałem drogi powrotnej i bałem się lasów i bezdroży i było już późno, zacząłem płakać i udałem się razem z innymi do odległej o około 5 km stacji kolejowej w tej miejscowości. Nie mając pieniędzy na powrót, bo wszystkie straciłem na przyjemności i pamiątki, poprosiłem kolejarza, jak się potem okazało kolegę mojego ojca, aby mnie przewiózł darmowo do domu. Udało się i moją prośbę spełnił, a Bóg mnie wysłuchał o co zresztą przez całą drogę prosiłem. Pamiętam, że ilekroć potem mijałem tę stację to przypominała mi owo przykre doświadczenie i przygodę. Ta mała stacyjka w lesie nazywała się Domanin a ów dobroduszny kolejarz Drzazga. .

Drugą niemiłą pamiątkę z okresu ministranckiego mam, gdy pewnego razu, przygotowując ogień do kadzidła na procesję, ogień z rozżarzonych węgli wysypał mi się na szyję i za kołnierz i na czyste ubranie i komżę, ponieważ aby rozpalić węgle musiano puszkę na drucie kręcić wokół ręki. Ponieważ ludzi było bardzo dużo na placu przedkościelnym, zmuszony byłem czynność tą wykonywać na sąsiednim ogrodzie organisty. Nie zauważyłem linek rozwieszonych na pranie i nagle stało się to o czym wspomniałem. Ogień zniszczył mi komżę, ubranie i zostałem poparzony i trzeba było odprowadzić mnie do lekarza. Puszka z ogniem zahaczyła się o te linki i tragedia gotowa. Oprócz ministrantury po łacinie, ministrant musiał opanować różne nazwy, terminy, hasła używane w Kościele przez duchownych od wieków, naturalnie wyrazy pochodzenia łacińskiego lub greckiego. Musiał znać niektóre obrzędy i zwyczaje w Kościele katolickim, że wymienię niektóre, bo do dziś je pamiętam.
Z szat liturgicznych, naczyń i przyborów używanych w Kościele :alba, komża i komeżka, dalmatyka, cyngulum, kapa, ornat, puryfikaterz, palka, korporał, stuła, biret, sutanna, welon, bursa, humerał, kielich, brewiarz, patena, hostia, komunikant, tacka, kwesta, ampulki, puszka, cyborium, polityka, melchizedek, , monstrancja, katafalki, sygnaturka, paschał, tabernakulum, balaski, tonsura, habit, nawa, konfesjonał, kalikowanie, chór, kruchta, prezbiterium, feretron, mszał, manuał, kalikowanie, tonsura, habit, oraz powiedzenia używane w Kościele :Deo gratias, procedamus, ite missa est, Ave Maryja, ipse die, Christe exaudi nos, Gaudete, Laudate, Laetare, Lavabo, Sanctus, Agnus Dei, Kyrie eleison itd.
Kolory szat liturgicznych są nie przypadkowe, ponieważ czarny przeznaczony jest na pogrzeb, , fioletowy na okres Adwentu, czerwony z okazji mszy za męczenników, Są jeszcze szaty białe i zielone na pozostałe okazje. Od niedawna są jeszcze koloru różowego na Gaudete i Laetare wyznaczone dni w porządku kościelnym w roku. Kiedy się tyle lat obcuje w tym środowisku kościelnym to z tymi określeniami nie ma problemu. Obecnie coraz mniej używa się niektórych wyrazów i określeń i nie ma już ministrantury po łacinie.
W południowej Wielkopolsce i z pewnością w całym woj. poznańskim funkcjonowała swoista gwara ludowa. Wiele wyrazów użyłem w swoich wspomnieniach. Wiele wyrazów i określeń było naprawdę oryginalne i charakterystyczne. Oprócz wspomnianych knaczków, porzeczek świętojańskich, dojrzewających właśnie w okresie św. Jana w czerwcu, szabelku –fasoli były też takie :wymborek –to takie wiadro, naczynie w domu do wszystkiego a najczęściej do zlewek poobiednich, słowo używane bardzo rzadko i słyszane było jedynie u mojej Babci. laćki –to domowe obuwie bez pięty, szneka z glancem –to ciasto drożdżowe z polewą lukrową i makiem, zawijana jak ślimak, dlatego szneka z niemieckiego oznacza ślimak, skład to sklep lub nieraz, kiszka –to kaszanka i kiszczanka to zupa po kiszkach, kluszczanka –to zupa w której gotowały się kluski szare, siadłocha –lub skisłe to mleko zsiadłe kwaśne, krychać pyrki –to ugniatać, dusić ziemniaki na pyree, pyzy –kluski na parze lub kluski na lóńcie czyli szmacie, szagówki –to kluski nie ziemniaczane lecz z mąki i gotowanych ziemniaków krajane z ukosa, kowolowe kluski –to głóg, prażuchy –kluski kładzione na bazie mąki żytniej i gotowanych ziemniaków dojrzewające w cieple pod pierzyną lub w piekarniku pieca

kaflowego, przez wiele godzin, podawane ze słoniną wędzoną i zasmażaną kapustą gotowaną, tak jak do golonki, snelka to po prostu wodzianka, stanik –to biustonosz, no zimne to zwyczajna galaretka z nóżek wieprzowych, po prostu podawana na zimno, stąd no zimne. Od tego nazwa tej potrawy, bobkowe liście –to liście laurowe, ryczka –to małe krzesełko bez oparcia, glinkowy ocet –to środek farmakologiczny i roztwór octan glinu, furtka –to mała bramka zabudowana w ogrodzeniu, cyganić –to kłamać, giery –nogi wulgarnie, mufka –ciepły schowek z futra na ręce dla kobiet, gzika –ser biały rozdrobniony z cebulką i śmietaną, kapce –filcowe lub skórzane ocieplane wysokie buty dla kobiet, snelka –zupa z rozdrobnionym chlebem, słoninką i czosnkiem, puszorki –uprzęż dla konia, kapeć –pantofel, gałgan –łobuz lub szmata lub ścierka, wyrwipołeć, gałganek to gałgan zdrobniale, drejfus –kopyto szewskie o skomplikowanej budowie, drach –latawiec, kierz –kierzek –krzak krzaczek, drzypapa –beksa, firlok –z drzewa wystrugany a najlepiej z choinki świątecznej przyrząd do roztrzepywania gęstych zup, do robełtywania, durszlak –sitko z dużymi otworami do przecedzania, papa-usta, gęba, pajda –skibka –chleba kromka, szibka –łyżka do kaszy lub węgla, antrejka –wejście w domu, korcipki –tarnina na wino, kruchta, babiniec –pomieszczenia przed wejściem do Kościoła, lóńt, chadra -szmata do wszystkiego, lyżka –grządka na działce, wichajster –narzędzie, przyrząd do wszystkiego, podobnie jak na Śląsku „to łóno”, purzytka –pośladki i można by wymieniać te dziwne wyrazy w nieskończoność, lecz cóż by było, gdyby nie one.
Wyrazy te świadczą o odrębności etnicznej tej części Polski i wzbogacają język polski i kulturę środowiskową.
Moja matka w szczególny sposób się wyrażała i miała bardzo bogaty repertuar powiedzonek i przysłów znanych i takich swojskich. Zapamiętałem wiele, bo nieraz są mi potrzebne i chętnie je używam przy każdej okazji, tak jak ona. Używała je często ku wielkiej uciesze słuchających. Była więc wielką skarbnicą i wzbogacała gwarę i miejscowy poznański język. A oto niektóre z tych powiedzonek i podaję je bez komentarza.
-Jeśli jesteś głodny, masz zachcianki to czym prędzej idź do domu i się porządnie najedz.
-Jeśli dźwigasz ciężary, to im szybciej pójdziesz, tym mniej będziesz nosił.
-Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.
-Kto od razu daje, dwa razy daje.
-Gość w dom, Bóg w dom.
-O pomstę do nieba wołające,
-Sodoma i Gomora,
-Groch z kapustą,
-nieobecni, nie mają racji,
-to przechodzi ludzkie pojęcie,
-masz ci los –gdy coś wyjątkowego lub niemiłego się zdarzyło,
-dowcipny jak Maćków kot, świeczkę zjadł i po ciemku siedział,
-bystry jak woda w muszli,
-Nie ma większego gałgana (drania), gdy przeszedł z dziada na pana,
-wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle,

-jak se pościelesz, tak się wyśpisz,
-z motyką na Słońce, lub Księżyc,
-mądrej głowie dość dwie słowie,
-wiara góry przenosi,
-człowiek człowiekowi wilkiem,
-góra z górą się nie zejdzie, lecz człowiek z człowiekiem tak,
-nie boisz się bojaźni bożej,
-boisz się i broisz,
-jak nie słuchasz ojca, matki to słuchasz psiej skóry. . czyli bicia paskiem,
-darowanemu koniowi w pysk się nie zagląda,
-kradzione nie tuczy,
-nie rób drugiemu, co tobie nie miłe,
-jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie,
-czcij ojca swego i matkę swoją,
-kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje,
-kto mieczem wojuje, od miecza ginie,
-nie dziękuj wyznam ci szczerze i dalej mówiła do pewnego miejsca, recytując znany wiersz A. Mickiewicza „Powrót Taty „
-Pan bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy,
-Nie święci garnki lepią,
-żaden majster nie spadł z nieba,
-jak się boisz, to masz grzech,
-Z Bogiem z Bogiem każda sprawa, tak mawiali starzy, jeśli ci Bóg błogosławi, wszystko ci się zdarzy,
-bez Boga ani do proga,
-kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi,
-późno przychodzącym kości,
-Nie wskazuj łapą, jak gadasz papą, czyli ustami,
-Nie ciesz się gagatku z cudzego przypadku,
-jeśli nie uważałeś jak robiłeś, to teraz rób jak uważasz,
-znikła jak kamfora,
-jak ślepy o kolorach lub wiódł ślepy kulawego,
-brudny jak święta ziemia,
-dogadał się jak gęś z prosięciem,
-na frasunek, dobry trunek,
-doczekała się świeczka wieczora,
-kto śpiewa, dwa razy się modli,
-jesteś mi solą w oku,
-lepiej by było uwiązać kamień młyński i zatopić w głębinach morskich
-nie sądź, nie będziesz sądzony-
-co głuchy nie dosłyszy, to zmyśli,

-pracuj, pracuj a garb ci sam wyrośnie,
-śpiesz się powoli,
-niech cię ręka boska broni,
-za nic w świecie,
-pójdę po trupach,
-jak umiesz liczyć to licz tylko na siebie,
-kiszki marsza grają,
-głodny jak lew,
-zjadłabym konia z kopytami,
-nie śpiewaj przy jedzeniu, bo będziesz miał głupią żonę,
-módl się i pracuj,
-nauką i pracą, narody się bogacą,
-ucz się ucz, bo nauka to potęgi klucz,
-rany boskie lub na rany Chrystusa,
-idź do diabła lub do czarta,
-diabelskie nasienie lub z piekła rodem,
-pić na umór,
-pijak ma, pijak da, pijakowi Pan Bóg da,
-pijak ma szczęście,
-na bezrybiu i rak rybą,
-dobrymi chęciami piekło wybrukowane,
-głodny sytego nigdy nie zrozumie,
-śniki, bziki,
-dzieci, dzieci, kara na was leci,
-leniu, leniu idź do cieniu,
-złodziei nie ma, ludzie sami kradną,
-pierwsze koty za płoty, lub pierwsze śliwki –robaczywki,
-komu w drogę, temu czas,
-od piwa głowa się kiwa, od wódki rozum krótki, a od wina głupia mina,
-sto lat, sto lat miły bracie, tam pogoda czeka na cię,
-z Bogiem nie ma żartów,
-śmiejesz się jak głupi do sera,
-w marcu, jak w garncu,
-kwiecień plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata,
-czekaj tatka, latka,
-bez pracy, nie ma kołaczy,
Przypomina mi się nazwa pewnego urządzenia do bicia „szczeplina „, pochodzi z pewnością od słowa dyscyplina a nie od szczepiania to bez sensu by było. Przyrządem tym bowiem przywracano porządek i dyscyplinę niesfornym i krnąbrnym dzieciom. Zbudowany był z trzonka na końcu którego były zamocowane rzemienie. U nas tez przyrząd ten wisiał w szafie i często przez nas był ukrywany, aby przypadkiem nie był użyty.

6. Matka nauczycielka porządku i pilnująca dyscypliny. Nauczycielka religii i modlitwy, strażniczka domowego ogniska.
Orędowniczka w każdej potrzebie.

Przymiotów chyba można by wymieniać tak jak w litanii do Matki Boskiej –nieskończenie. Taka też była nasza matka. Szkoda tylko że niektóre dzieci w tym i moja żona nie zaznały obecności tej osoby w życiu. Wspomnienia nieraz odwołują się do niej. Była przy tym bardzo pobożna i w taki też sposób nas wychowywała. Codziennie odmawialiśmy pacierz ranny i wieczorny nieco dłuższy bo z wierszykami i nieraz z różańcem. Zmęczeni, niejednokrotnie niechętnie modliliśmy się, lecz widząc matkę rozmodloną ze złożonymi rękami, wracała powaga i skupienie, lub mawialiśmy, żaląc się do mamy „mamo spójrz, on mnie rozśmiesza, wskazując na młodszego brata –zawodowego śmieszka. Nauczyła nas nie tylko modlitw tysięcy, lecz ułożeni w łóżkach pod grubymi pierzynami do późna w nocy opowiadała nam bajki, śpiewała stare piosenki i pieśni kościelne z książeczki do nabożeństwa a przede wszystkim kolędy. Mówiła długie wiersze na pamięć. Nie mogę oprzeć się, aby nie przytoczyć kilkunastu wybranych i zapamiętanych modlitw, które niemal codziennie powtarzaliśmy podczas pacierza lub w łóżku.
-Święty Michale Archaniele, broń nas w walce, przeciw niegodziwością i zasadzkom bądź nam obroną...itd
-Myśli, słowa, sprawy moje, poświęcam dla chwały Twojej. O Józefie ratuj nas w życiu, w śmierci, w każdy czas.
-Aniele Stróżu mój...itd.
-Pomnij o najdobrotliwsza Panno Maryjo, iż od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek uciekając się do Ciebie, Twej pomocy wzywając, miał być przez Ciebie opuszczony. Tą ufnością ożywiony o Panno nad Pannami Matko Chrystusowa biegnę do Ciebie, stawam przed Tobą jako grzeszny człowiek, drżąc i wzdychając. Nie chciej o Matko gardzić słowami moimi, ale usłysz łaskawie i wysłuchaj. Amen.
-O Maryjo strzeż serca mego, o Jezu nie wychodź z niego, póki mi tchu życia stanie, nie opuść mnie Jezu Panie.
-Wierzę w ciebie Boże żywy...itd całe do końca akty strzeliste jak w książeczce
-O mój Jezu nie bądź mi sędzią, ale zbawicielem.
-Jezu cichy i serca pokornego, uczyń me serce według serca Twego.
-Pod Twoją obronę, uciekamy się...itd
-Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo. . .
-Wierzę w Boga...itd, Chwała Ojcu i Wieczny odpoczynek...a na końcu A dusze wiernych, zmarłych przez miłosierdzie Boże niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.
-Pobłogosław nas Panie, zachowaj nas od wszystkiego złego i doprowadź do żywota wiecznego Amen

-a jako samego siebie wszystkich miłuję dla Ciebie, ten co czynił mi przykrości odpuszczam dla Twej miłości. Bądź miłościw mnie grzesznemu do poprawy dążącemu.
-Jezu Tobie ja żyję, Tobie umieram, Jezu Twój jestem w życiu i przy śmierci.
-Słodkie serce Jezusa bądź moją miłością.
-Słodkie serce Maryi, bądź moim ratunkiem.
-O Pani moja o matko moja pomnij że jestem Twój. Zachowaj i broń mnie jako rzecz i własność swoją Amen.
-Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha św.... itd
-Jezu, Maryjo Józefie św. wam oddaję serce, ciało i duszę moją.
-Jezu, Maryjo, Józefie św. bądźcie ze mną przy skonaniu.
-Jezu, Maryjo Józefie św. niech przy was w pokoju ducha oddam.
-Pobłogosław Panie nas i te dary, które ze swej szczodrobliwości spożywać mamy, przez Chrystusa Pana naszego Amen.
-Chwała o dziękczynienie bądź w każdym momencie, Jezusowi w najświętszym boskim sakramencie, ile minut w godzinie, a godzin w wieczności, tylekroć bądź pochwalon, Jezu ma miłości
-Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.
-O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy.
-oraz szereg wierszyków, które też przeszły do naszych modlitw. Wierszyki te nauczyła mego młodszego brata Janusza siostra zakonna na religii przedszkolnej. Były takie miłe i słodkie że chętnie recytowaliśmy je. Niektóre jeszcze teraz po tylu latach pamiętam i przekazałem je potem spisane mojej córce do wyuczenia a obecnie słyszę, że mówi je moja wnuczka Ola. Są to już wierszyki wielopokoleniowe. A oto niektóre :
-Do Ciebie Boże rączki podnoszę, o zdrowie mamy i taty proszę, a także proszę niech mnie od złego na każdym kroku Aniołki strzegą.
-Pan Bóg to Ojciec nasz najlepszy, a ja jestem dzieckiem jego, tylko z miłości ku niemu będę unikać złego. A kiedy mi się nie uda i zrobię nie tak jak trzeba, to z żalem serdecznym powiem, przepraszam Cię Ojcze z Nieba.
-Bóg stworzył to dzienne światło co nas ze snu budzi. Bóg dał wodę w źródełkach i na chlebek zboże. Bóg dał ptaszki i drzewka i kwiatki dla ludzi. Bóg co go człowiek widzieć i pojąć nie może. Wszystko od niego o dziecino droga, mów pobożnie paciorek, kochaj mocno Boga.
-Matko Najświętsza, Matko Jezusowa, bądź zawsze dla mnie Polski Królowa, błogosław Matko na całym świecie, wszystkim maleńkim i starszym dzieciom. Naszej Ojczyźnie, rodzinie naszej Matko Najświętsza pomoc wypraszaj, bądź zawsze z nami o ukochana Królowo Polski Najświętsza Pani.
-Ja każdy nowy dzień zacznę paciorkiem Boże, gdy przyjdzie nocy cień to znów swe rączki złożę, boś dobry Pan i Bóg dziękować ci potrzeba, że pośród ziemi dróg, prowadzisz nas do nieba.
-Dobranoc Ci Jezu, skarbie nasz jedyny, przepraszamy Cię za dzisiejsze winy, za Twe łaski dziękujemy, stopy Twoje całujemy, dobranoc Ci Jezu.

I jeszcze bym wymieniał bo to nie koniec, lecz spisałem jedynie te, które w całości jeszcze pamiętam i będę je pamiętać do „grobowej deski „. Jeżeli chodzi o wierszyki i książki to wiele mówiła na pamięć, lub czytała nam te dłuższe, albo wyjaśniała nam po swojemu Pismo Sw, lub Katechizm. Umię do dziś na pamięć np. . ”Powrót taty „, ”Był sobie dziad i baba „. Czytała nam „Calineczkę” Baśnie Andersena, Opowieść o Gerdzie, Królewna Śnieżka, O Krasnoludkach i sierotce Marysi, Cudowna podróż, Pinokio, Roczniki Przewodnika Katolickiego, przeglądaliśmy nawet obrazki z niemieckiego wydania Starego Testamentu

7. Znaczniejsze wydarzenia w obu rodzinach i w mieście. Cyganie przyjechali. Kąpielka. W szkole razem z Krystyną.

Lata pięćdziesiąte, oprócz śmierci Stalina w 1953 roku, śmierci Bieruta, przyniosły i w naszych rodzinach spustoszenie, umierają bowiem kolejno :
moi dziadkowie od strony ojca: Franciszek i Rozalia zd. Rospęk Kempowie
dziadkowie Krysi Szczepan i Maria zd. Dobosz Feigowie, wujek Adam,
ciocia Stanisława –żona wujka Idziego, wujek Idzi, i wielu jeszcze innych z rodziny.
Przypominając sobie rodzinę Krysi, to rodzice i dziadkowie byli bardzo zamożnymi i szanowanymi obywatelami społeczności ostrzeszowskiej
Posiadali Rozlewnię Wód Mineralnych i Piwa, Skup Jaj, Kawiarenkę.
Stary Szczepan Feige miał też dużą fantazję, napisał na przykład na swoim nowym domu – dużej kamienicy nad wejściem taki napis :”Boże dałeś mi wszystko ze swej szczodrobliwości, daj też każdemu, który mi zazdrości”

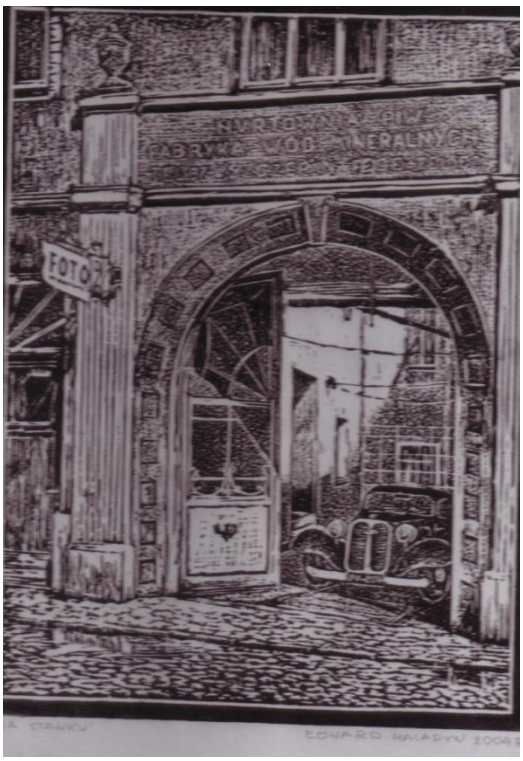

ul. Targowa 4 w którym urodziła się moja żona Krystyna/6. 12.1943 roku/ widok z placu „Na stawku”
Ostrzeszów rycina bramy przy ul. Targowej Nr. 4 wyk. Haladyn a obok dom rodziny Feige

Dla fantazji też a nie dla zysku trzymał w podwórzu kozy, nie wypuszczał je na trawkę. Pamiętam że jadły nawet gazety i szmaty i zalatywało od nich po okolicy niemiłym zapachem. Często bawiliśmy się na pobliskim placyku zwanym „Na Stawku”
Był tam kiedyś stawek, a teraz pod nim przepływa strumyk skanalizowany, który biegnie od podnóża góry zwanej Bełczyna poprzez Kąpielkę i Ogród Jordanowski im. Walentego Dymka i dalej pod owym placem na Stawku i wypływa hen aż pod Klasztorkiem, tworząc staw klasztorny i dalej tworzy większy strumyk zwany Strzegową, być może nazwę nieco przekręciłem, lecz tak ją słyszano. Graliśmy w różne gry :w sztekla, w uganiankę i w piłkę. I właśnie któregoś dnia przekonaliśmy się o tej kanalizacji, kiedy wpadła mi piłka "„Na Stawku "a wypłynęła aż przy zameczku na ul Zamkowej. Była to piłka duża, jedyna jaką wtedy mieliśmy do zabawy. Oprócz Krysi, bawili się z nami jej kuzynowie Stasiu i Jasiu Machałowie i dzieci sąsiadów. Dołączali też z ulicy Łaziebnej i z Sikorskiego, ponieważ domy z tej ulicy podwórkami graniczyły z placem „Na Stawku”.

Wielką sensacją dla nas dzieci było, kiedy zobaczyliśmy jadące ulicą Daszyńskiego tabory cygańskie. Zwykle lokowali się w pobliżu Kąpieliska przy wiatraku na skraju lasku. Tabory miały wozy kolorowe te bogatsze i wozy nie pomalowane te biedniejsze. Na puszystych pierzynach siedziały baby cygańskie w obszernych spódnicach i kiecach oraz z małymi dziećmi cyganiątkami. Budy były oszklone i pięknie malowane przeważnie w motywy kwiatowe i liście. Za wozami podążał zwykle pies i ewentualnie koza, owca lub źrebak. Wisiało też wiadro taki wymborek jak mawiała moja babcia Rozalia czyli wiadro do wszystkiego i miska emaliowana na pomyje i nie tylko. Nocnika nie widziałem nigdy. Te sprawy z pewnością załatwiali wprost do lasu, chociaż kiedy się zwijali to nie było większego po nich śladu. Władze miejskie więc pozwalały na takie wędrowanie po kraju.
Dzisiaj Cyganie przemieszczają się samochodami z obcą rejestracją i wędrują w przyczepach kampingowych. Często my dzieci biegliśmy za tymi taborami i potem tam na miejscu obserwowaliśmy jak się rozbijali i urządzali sobie pobyt, jak palili ogniska, jak się bawili i grali, co robiły dzieci. Co silniejsi młodzieńcy i tacy z marginesu miejskiego wszczynali z nimi wpierw awantury, a potem dochodziło do bójek i nieraz krwawych, łącznie z interwencją milicji. W knajpach, na ulicach, w gospodach zespoły muzyczne dawały popisy nieprzeciętnej wirtuozerii na różnych instrumentach. Zawsze cygańskie zespoły muzyczne prezentowały piękny folklor i wysoki poziom ku zachwycie słuchających. Nieco dalej od obozowiska cygańskiego stał wiatrak a w oddali na horyzoncie widać było najwyższą górę w Wielkopolsce czyli Bełczynę. Na niej często urządzano manifestacje patriotyczne i polityczne. Na jednej z takich manifestacji społeczeństwa ostrzeszowskiego zginął mój kolega Depczyński. Zbyt blisko stał i przyglądał się wybuchom petard wojskowych.

Na Kąpielce czyli Miejskim Kąpielisku położonym w lesie po drugiej stronie autostrady na piaskach przy obecnym Stadionie Miejskim było latem rojno i tłoczno, bo to jedyna w lecie atrakcja w mieście. Całe miasto korzystało z tej chłodnej przyjemności w upalne dni. Ewenementem tego obiektu było dno niecki basenu z czystego piasku, źródlana woda przepływająca upustami i zastawkami, plaża wielka z tym samym czystym i białym piaskiem, przeorywana zawsze przed sezonem. Na zimę woda była spuszczana i dno oczyszczone. Jedynie strużka niewielka płynęła wzdłuż niecki basenu. Wpierw trampolina i pomosty były drewniane a potem betonowe wraz z brzegami i budką ratownika i toaletami. Tam często małą Krysię zabierano i uczono pływać. Taką też pamiętam, bo ciągle przebywałem od małego na tym obiekcie. Na początku chyba jeszcze przed wojną po wodzie pływała łódka z wiosłami, potem łódkę zastąpiła duża bela drewniana do zabawy. Tę belkę dobrze pamiętam. Było to urządzenie wielce niebezpieczne dla nie umiejących pływać a nawet dla takich którzy potrafili pływać. Woda była przez obsługę każdego dnia wieczorem czyszczona z liści i patyków a drobniejsze zanieczyszczenia spływały górą do specjalnych rynienek zabudowanych na obrzeżach basenu.

Krystyna na „Kąpielce" w Ostrzeszowie lata sześćdziesiąte-pod nową trampoliną

Na „Kąpielce" w Ostrzeszowie latem zawsze było wielu chętnych do kąpieli słonecznych i wodnych .Na zdjęciu moja żona Krystyna oraz jej siostra Irena.

Kąpaliśmy się kiedyś wraz z kolegami jeszcze przed Św. Janem i w dodatku wśród szalejącej burzy z wyładowaniami. Kiedy się matka moja dowiedziała, że my się bawimy podczas burzy w wodzie i to na dodatek w czasie zakazanym do kąpieli wraz z innymi matkami przybiegła do płotu basenu i zaczęła się awantura a potem bicie ale już w domu. Lał ojciec na zlecenie matki, kiedy przyjeżdżał na sobotę i niedzielę z delegacji. Było wówczas całotygodniowe rozliczenie. Dzisiaj współczuję mu że miał takie zlecenie za każdym razem. Bolało na pośladkach i nie tylko, bo kiedy się zdenerwował to lał, gdzie popadło a matka musiała interweniować i nazywała zleceniobiorcę mordercą i katem.

Lecz to nasze bicie było zerem w porównaniu do bicia, o którym już wcześniej wspominałem u naszego sąsiada z sieni. Marzyłem ciągle aby wraz z kolegami dostać się kiedyś na ostrzeszowski zameczek. Udało się pewnego razu spełnić to nasze marzenie, bo wrota były otwarte. Wewnątrz nic ciekawego tylko mury i jakieś wnęki i lochy ze schodami aż do góry na miejsce widokowe, skąd roztaczał się przepiękny widok na całą okolicę. Widać było Ratusz i Farę, klasztorek a w głębi Bełczynę, Ostre Góry i Las Klasztorny.
W szkole życie toczyło się normalnie a głównie w otoczeniu moich kolegów z klasy i niektórych dziewcząt w tym i mojej Krysi. Byliśmy w tej samej klasie i nieraz za karę siedziałem obok niej w jednej ławce, bo ze względu na wzrost zwykle siedziała w ostatniej ławce. Ze względu też na wzrost tańczyliśmy razem w jednej parze na lekcjach tańca. Spotykaliśmy się na prywatkach i przyjęciach, w chórze tez śpiewaliśmy w jednym głosie w altach. A propos naszego szkolnego chóru prowadzonego przez kierownika szkoły Jana Kaczmarka to mam wrażenie że reprezentował dość wysoki poziom, bo pewnego razu biorąc udział w latach pięćdziesiątych w przeglądzie chórów szkolnych województwa poznańskiego zajął siódme miejsce za sławnymi już wówczas chórami Stuligrosza i Kurczewskiego z Poznania. Wielkopolska miała zawsze wielkie tradycje dobrego muzykowania i śpiewu. Potem kiedy byłem młodzieńcem już pracującym, występowałem w barytonach w miejskim męskim chórze" Dzwon", prowadzonym przez tego samego chórmistrza Jana Kaczmarka.
Nie pamiętam w której klasie zdarzyło się z naszymi dziewczynami, że chłopcy, którzy mieli rowery podczas wycieczki do Antonina po drodze rozbierali dziewczyny dla żartów. Natomiast ci, którzy nie mieli rowerów tak jak ja,nie uczestniczyli w tych zabawach, bo jechali na miejsce pociągiem. Jednak w świadomości całej grupy było to że i my też braliśmy w tym udział, co było dla nas krzywdzące. Na tej wycieczce w Antoninie, zatłukliśmy kijami wielką żmiję, wylegującą się w słońcu na brzegu lasu. Poćwiartowaliśmy ją na kawałki, które długo jeszcze się ruszały. Żmiję tę znalazł kolega, który oddalił się od nas aby jak to się mówiło w żargonie uczniowskim „odcedzić się" Moim natomiast udziałem było następujące zdarzenie:
Widząc grupkę naszych dziewczyn, skupionych tuż przed lekcją nad czymś ciekawym a dla mnie nieokreślonym, rzuciłem się między nie i wyrwałem to coś jak się okazało książeczkę o interesującym tytule' Okres dojrzewania u dziewcząt" Goniony przez kolegów z klasy uciekłem poza mury szkoły i kiedy zatrzymałem się to już mnie nikt nie gonił. Zdziwiony tym tytułem wróciłem do klasy, a lekcja już się zaczęła. Wychowawca Leon Chojnicki już wszystko wiedział o moim wyczynie. Uderzył mnie kilkakrotnie w twarz jedną ręką a przytrzymywał drugą pod brodą aby uderzenie było skuteczne. To była wypróbowana jego metoda bicia. Wysłał mnie dodatkowo do Kierownika Szkoły na dalszą rozprawę, a ten po wysłuchaniu mnie zdzielił kilkakrotnie kantem linijki po rękach i plecach a potem były z tego siniaki. Dodatkowo sprawowanie było jak zwykle obniżone. Z tym sprawowaniem to było tak, że zawsze ze względu na mój żywy charakter musiało być obniżone. Uczyłem się prawie najlepiej w klasie, lecz sprawowanie powodowało że kolega mój Jurek Stawinoga z drugiej pozycji zawsze mnie wyprzedzał.

Częstym obiektem ataku byłem szczególnie ze strony kilku uczniów repetentów, którzy bili mnie zawsze, kiedy nie dałem im" odwalić" czyli odpisać pracę domową. Zrobiliśmy kiedyś „psikusa" naszemu wychowawcy. Otóż wypełniliśmy zbiorowo słoik ciepłym moczem i z powodu zimy postawiliśmy ten słoik na kaloryferze pod oknem. Po kilku dniach obserwowaliśmy reakcję nauczycieli a zwłaszcza naszego wychowawcę. Reagowali przeróżnie, niektórzy wietrzyli klasę a inni sprawdzali uczniów z bliska. Znudzeni tym stanem rzeczy, bo i nasze nozdrza też były drażnione tym fetorem, postanowiliśmy słoik ten wykorzystać w inny sposób. Wstawiliśmy go do stojącej w klasie szafy, przechylając go, tak aby przy otwarciu jej wypadł. Kredę i szmatkę natomiast schowaliśmy do tej szafy. Stało się tak jak zaplanowaliśmy. Nauczyciel chcąc wyjąc z szafy kredę i szmatkę otwarł ją a cała zawartość słoika wylała się na jego garnitur. Wszystkich chłopców w tym i mnie wysłał znów do Kierownika na rozliczenie. Ten patrzył tylko na mnie, jakbym to ja był znów prowodyrem tego zdarzenia, a ja nie wiem do dziś, kto wymyślił tę głupią historię. Kierownik nie miał akurat czasu aby się z nami rozliczyć i zcedował rozliczenie fizykowi panu Piotrowi Preglowi, który wobec niesfornych uczniów stosował bicie swoją drewnianą laską zakończoną gumą, ponieważ był kiedyś pod Monte Cassino raniony w czasie działań wojennych na tym wzgórzu. Ten zwykle lał, nie tylko za winy popełnione wobec jego osoby, lecz głównie na zlecenie. Nie wyróżniając nikogo z grupy wchodziliśmy pojedynczo bez świadków do sali katowni i przełożeni tradycyjnie przez stołek byliśmy ową laską bambusową bici, a na koniec trzeba było powiedzieć tylko dwa słowa „dziękuję" i" przepraszam", które ciężko przechodziły przez gardło bitego.

Na pewnej lekcji rysunku, prowadzonej przez „świeżo co upieczoną" młodą nauczycielką-absolwentką Akademii Sztuk Pięknych panią Niezabitowską kolega nasz Stanisław, którego nazywaliśmy nie wiem dlaczego „Maciek" zamiast malować zadany temat, gryzmolił coś na ławce zamiast na kartce.

Mając w ręku cienki kij „witkę" do wskazywania nauczycielka lekko uderzyła go upominając o zachowanie dyscypliny na lekcji. Zdenerwowany Maciek wyrwał z jej rąk ową witkę i z całej siły zaczął ją bić tak że ona zaczęła płakać i ukryła twarz w rękach. Natychmiast pobiegła do Kierownika Szkoły a ten już wiedział co robić z takim draniem i komu zlecić rozliczenie. Ten sam kolega wystraszył kiedyś nauczycielkę może tę samą, lokując się w szafie stojącej w klasie. Chrapał i sapał i denerwował nas i nauczycielkę i znów było rozliczenie.

Krysia w domu swoim miała dużo zajęć i obowiązków. Sierota bez matki od małego musiała dodatkowo pomagać swojej starszej siostrze Mieci w wychowaniu jej dzieci, lecz podstawowo musiała pomagać swojemu ojcu w Zakładzie Fotograficznym po lekcjach. Jako jedyny Zakład Fotograficzny w okolicy miał powodzenie i dużo klientów. Pracy było mnóstwo, natomiast po godzinach urzędowania z klientami trzeba było cały materiał obrobić. Filmy wywołać, wyretuszować klisze i wykonać pozytywy, natomiast po tych czynnościach należało co kilka dni posprzątać gruntownie mieszkanie a należy wspomnieć, że podłogi były drewniane, i „szrupakiem" z wodą ją umyć lub wyszorować. Do tego dochodziło mycie korytarzy i schodów aż do dołu. Pod schodami była ubikacja, więc o nią trzeba było również zadbać, aby była czysta a świeży papier na rolce lub gazeta.

Ojciec często wsiadał w „dekawkę” a potem w „Syrenkę” i wyjeżdżał na wioski aby kolejno robić zdjęcia całym rodzinom i z okazji różnych uroczystości i odpustów. Z tych wojaży wracał często „pod dobrą datą” bez pieniędzy a klisze trzeba było wywołać, bo klienci po kilku dniach dopominali się o swoje zdjęcia. Ojciec aż do swojej śmierci był w stanie wolnym i nie ożenił się, ale miał ciągle wielu przyjaciół i przyjaciółek. Żoną mogła być jedynie kobieta, którą Krysia zaakceptowała i która mogła zapewnić jej dobrą opiekę. Nie udało się żadnej spełnić tego warunku i akceptacji małej Krysi, więc do śmierci był sam. Koledzy często go wykorzystywali, bo miał pieniądze, często też go okradali. Zaangażował też córce nauczyciela do nauki gry na pianinie i akordeonie, zresztą tego samego, który uczył mego brata Janusza. Na lekcje gry do niego chodził też siostrzeniec Krysi Piotr, nieco młodszy od swojej cioci Krysi. Między siostrami była duża różnica lat, podobnie zresztą jak u mojej matki w rodzinie, gdzie wychowywała się wspólnie z bratankami i bratanicami pod jednym dachem u swego najstarszego brata Adama. Kiedy mojej Krysi znudziło się granie, symulowała chorobę lub najnormalniej w świecie uciekała przed lekcją na ulicę, podobnie jak to robił mój brat. Ojciec łagodził zdenerwowanie nauczyciela „ćwiartką” a on nie gardził tym poczęstunkiem. Kiedy organista widział Krysię spacerującą ulicami mawiał zwykle że ”zamiast nut szlifuje bruki”. Była ona nad wyraz zdolną i mogła bez nauki grać proste melodie zarówno na pianinie jak i na akordeonie. Ojciec zwykle dopingował ją, obiecując nagrodę za każdym razem, kiedy nauczyła się grać cokolwiek” z kapelusza”. I tak jest po dziś dzień, że co chce to zagra i jest wesoło w domu i na przyjęciu.

Brat mój Janusz jak wspominałem uczył się grać u tego samego pana Waltera na akordeonie, którego rodzice odkupili od samego Juliana Kurzawy, późniejszego wielkiego muzyka rozrywkowego i założyciela głośnego zespołu ”Sami Swoi” i odkrywcy piosenkarki Hanny Banaszak. Nauczyciel był szczególnie nerwowego usposobienia i choleryk do tego stopnia że bił go po palcach i przeklinał podczas grania. Matka często nie mogła słuchać tych strofowań i „lania” więc pomagała mu często w ucieczkach. Kiedy zbliżał się do domu brat przez okno uciekał na podwórze. Trwało to do momentu aż zaprzestano tej nauki i na tym poziomie pozostał. Matka nie pracowała zarobkowo, więc miała dużo czasu dla nas i troskliwie się nami opiekowała. Można by powiedzieć nawet, że była względem nas nad opiekuńcza a to nie zawsze pozytywnie odbija się na wychowaniu. Dumni jesteśmy, że była dla nas dobra i zarażała nas dobrem. Często ze względu na nią staraliśmy się tak postępować, aby jej nie zasmucać i nie przysparzać jej zmartwień. Niestety nieraz nie udawało nam się i wtedy były łzy i narzekania. Ilekroć nabroiłem poza domem a matka dowiedziała się o wybryku, to jedynym sposobem uniknięcia „lania” było uciec na chwilę albo na dłuższy czas z domu. Najczęściej ukrywałem się w ubikacji lub pod schodami w sieni przy kranie z wodą. Uciekałem też do ogrodu gospodarza lub dalej pod mury cmentarza. Kiedy już matce minęło napięcie i ochłonęła z emocji to często zapraszała mnie wołaniem do domu bo było zwykle już bardzo późno. Wówczas wyłaziłem z kryjówki ze spokojem wracałem do domu pewny że już nie oberwę.

Pewnego razu matka sprawdzając jak co dzień czystość naszych nóg, kiedy już leżeliśmy w łóżkach, stwierdziła że mam czyste, natomiast uparta siostra nie miała ochoty swych nóg pokazać i matka zmuszona była ją skarcić, używając tego przyrządu opisanego wcześniej zwanego „szczepliną".

W złości tak jak była odziana a więc jedynie w piżamce wybiegła boso na podwórze a był tam śnieg i mróz i długo musiała ją matka szukać i nawoływać, aż wreszcie po kilku godzinach zmarzniętą przyprowadziliśmy do ciepłego mieszkania. Efektem tego była na drugi dzień choroba, lecz ona swego dokonała. Nerwowe usposobienie mojej siostry wynika z jej trudnego dzieciństwa i okresu okupacji podczas której się urodziła. Ilekroć próbowałem drażnić ją, kiedy nie miała ochoty na zabawę, lub się uczyła to za każdym razem "obrywałem" najczęściej linijką lub przedmiotem który był w jej zasięgu. Ale i tak kochaliśmy się bardzo i pomimo iż mieszkamy daleko od siebie miłość ta nie ustaje. Była bardzo ambitną dziewczyną i wielce usportowiona. Uczestniczyła wiele razy w biegach krótkich i w grach zespołowych. Ambicja nieraz przerastała jej możliwości.

Ilekroć przegrywała, przewracała się na bieżni i skaleczoną najczęściej znosili z bieżni. Zwykle musiała wygrywać, bo to stanowiło zawsze cel jej uczestnictwa.

Razem z kolegami i koleżankami w tym oczywiście i z Krystyną, bawiliśmy się na łąkach za miastem w rejonie cmentarza ewangelickiego i poniemieckiego, gdzie dziś jest osiedle domków jednorodzinnych. Tam niektórzy wypasali kozy, owce, barany, tam też było czynne źródełko i piękna trawa soczysta. W czasie pogrzebów przeszkadzaliśmy tym innowiercom a oni gonili nas i znów były emocje i atrakcja. Najpiękniejsze konwalie rosły właśnie na grobach na tym cmentarzu ze względu na wysokie i gęste drzewa i mur okalający ten obiekt.

Z chwilą gdy na świecie pojawił się nasz brat, często pomagaliśmy matce, opiekując się małym i często wyjeżdżaliśmy na spacery, lub prowadziliśmy małego za rączkę. W tym okresie niestety doświadczyłem wielu bardzo przykrych kontuzji i ran, które pozostały jako ślady do dnia dzisiejszego.

Jako ministrant, o ile mi czas pozwolił, biegłem do Kościoła i pomagałem kościelnemu przygotować naczynia liturgiczne i szaty do nabożeństwa.

Pewnej soboty trafiłem na ślub i to pary młodej z rodziny mojej cioci z Torzeńca tej od wujka Idziego. Po wyjściu młodych z Kościoła wujek zaproponował mi abym razem z nim też pojechał na to wesele i się zabawił. Wesele odbywało się daleko poza Ostrzeszowem na Szklarce Myślniewskiej. Z tej miejscowości pochodzi słynny himalaista zdobywca korony Himalajów, Krzysztof Wielicki rówieśnik mojego brata i Piotra Niesobskiego

Jadąc na bryczce, kiedy kawalkada weselna wjechała w lasy i piaszczyste dukty leśne, aby koniom nieco ulżyć zaproponowano spacer na nogach. Niewielu było chętnych, lecz ja musiałem, ponieważ stałem na stopniach bryczki. W chwili, kiedy podążałem za bryczką pieszo woźnica nagle „podciął" konie a te pocwałowały galopem do przodu, zostawiając mnie samego. Postanowiłem biec ile sił w nogach i płucach i kiedy byłem już blisko i zamierzałem wskoczyć na stopień noga mi zjechała i dostałem się pod drewniane koła bryczki. W rezultacie poczułem potworny ból i zerwane paski sandałów i nie mogłem dalej kontynuować biegu. Do domu było daleko. Bliżej o wiele było na wioskę na której odbywało się to wesele.

Weselnicy pijani już zorientowali się że ze mną dzieje się niedobrze i zawrócili, zabierając mnie rannego z opuchniętą nogą ze sobą. Na miejscu opatrywałem nogę zimną wodą wprost ze studni, lecz nadal wyglądała okropnie i nieciekawie. Była spuchnięta z widocznym wewnętrznym wylewem, cała sina. Dość miałem całej zabawy i wyjąc z bólu całe wesele przeleżałem w stodole na sianie, a rano w niedzielę wujek zawiózł mnie chorego do lekarza i do domu.
Pewnego razu postanowiliśmy wspólnie z moim kolegą Heńkiem urządzić sobie wyścigi biegowe na chodniku naszej ulicy, wyznaczając sobie start i metę. Ambicja mego kolegi była zawsze wygórowana do tego stopnia, że zwykle przerastała jego możliwości i w pewnej chwili, gdy nieco wysunąłem się przed niego w odruchu on podciął mi nogę a ja upadłem w pełnym biegu wprost na bruk i brodą uderzyłem o kamień, w rezultacie czego zabarwiłem twarz i rzeczy na czerwono i w takim stanie pobiegłem natychmiast do Szpitala, który znajdował się nieopodal miejsca wypadku. Tam udzielono mi opatrunku i ranę zaszyto.
Innym razem z tym samym zresztą kolegą graliśmy mecz tenisowy na korcie tenisowym na ogródkach jordanowskich za figurą Matki Boskiej. Ponieważ biskup Walenty Dymek z Poznania był kiedyś założycielem Sodalicji Mariańskiej w Ostrzeszowie a ogródki te były pod jej opieką więc nazwano je po latach aż po dzień dzisiejszy ogródkami Walentego Dymka z tablicą pamiątkową. Rakiety mieliśmy oryginalne, ponieważ ojciec mój z wojaży po budowach, zawsze starał się nam przywieźć klasowy sprzęt sportowy lub modne rzeczy do ubrania.
W pewnej chwili podbiegając do piłki ukrytej w wysokiej trawie, poślizgnąłem się i upadając rozciąłem sobie nogę na dnie od butelki po winie. Rana była dość głęboka i mocno krwawiła, więc byłem znów zmuszony udać się do Szpitala w celu nałożenia opatrunku i usztywnienia nogi. Jak wiadomo noga w kolanie się zgina a rana trudno się goi. Długo trzeba było czekać aż się ta rana zagoiła. W tym czasie więc byłem stałym pacjentem tego Szpitala a siostry Boromeuszki, które jeszcze w tym czasie były w Szpitalu znały mnie nie tylko z tych wypadków, lecz kiedy ojciec malował cały Szpital, ja przynosiłem mu obiad lub śniadanie do pracy. Pewnego razu siostra poczęstowała mnie obiadem, z dziczyzną i pierwszy raz w życiu jadłem zraz zawijany z dzika. Był smaczny, lecz u mamy były one lepsze bo wołowe.
Któregoś lata rodzice postanowili wysłać, mnie na kolonie letnie do Lewkowa pod Ostrów, gdzie było szybowcowe lotnisko Aeroklubu Wielkopolskiego i duża piękna Szkoła Podstawowa w której stacjonowaliśmy.
Idąc kiedyś z kolonistami z naszej grupy na wycieczkę, w pewnej chwili zaimponował mi stóg słomy czy siana na rżysku na polu z wystającym na szpicy drągiem zwanym babą. Dziwiliśmy się po co ten drąg tam wysoko sterczy. Okazało się potem że on powoduje stabilność konstrukcji i jest potrzebny. Należało go więc zrzucić, a odważnych było niewielu bo było bardzo wysoko. Zdecydowałem się wejść na górę i dokonać dzieła zniszczenia. Mimo oporów udało mi się ten długi drąg ze stogu wyciągnąć i zrzucić na dół. Stóg zaczął tracić stabilność i zaczął się chwiać. Moje zejście było więc utrudnione, więc zsunąłem się z wysokości i upadłem na ziemię w rezultacie czego doznałem stłuczenia i zwichnięcia ręki. Zawieziono mnie do Szpitala do Ostrowa i założono gips a po powrocie otrzymałem naganę i zakaz wychodzenia z budynku aż do odwołania.

Chłop na drugi dzień interweniował u kierownictwa kolonii a ja odbywałem już nałożoną karę.
Do znudzenia wystawialiśmy razem z moim najwierniejszym kolegą Heńkiem w bramie i do późna w nocy dyskutowaliśmy na różne tematy a matka zwykle denerwowała się, ponieważ bramę zamykano regularnie o godz, 10 tej i o ile nie zabrałem ze sobą klucza, matka musiała specjalnie wstawać, aby mi bramę otworzyć. Pasjonowały nas różne tematy nie tylko towarzysko –obyczajowe, lecz także techniczne oraz muzyczno-rozrywkowe. Na fali byli wówczas :Cliv Richard, Roy Charles, Luis Armstrong, Nil Sedaka, Paul Anka, Edith Piaf, Eli Fitzgerald, Sydney Bechet, Ricky Nelson, Domenico Modunio, Elvis Presley, Bin Crosby, Marino Marini, Boby Winton, Roy Peterson, Billy Holliday, Billy Dewis, Petula Clark, Ehrta Kidd, i można tak wymieniać w nieskończoność. Te nazwiska przewijały się i wiele z nich mieliśmy nagranych na płytach, które sukcesywnie mój kolega otrzymywał od krewnych z Francji z Pas de Calais, Płyt tych łapczywie słuchaliśmy i uczyliśmy się tańczyć modnego wówczas rock and rolla i innych. Nie było telewizji, więc z przyjemnością chodziliśmy do kina. Karmili nas przede wszystkim filmami radzieckimi tymi z klasyki oraz z okresu II wojny światowej. Nie były najgorsze, lecz filmy kowboyskie były ponad wszystko. Uwielbialiśmy więc oprócz radzieckiej Tatiany Samojłowej i Sergieja Bondarczuka Audrey Hepburn, Marlenę Dietrich, Claudię Cardinale, Kim Nowak, Gretę Garbo, Sofię Loren, Brigide Bardott, Katrin Deneve, Burt Lancastera, Gregorego Pecka, Kirka Duglasa, czy Liz Taylor. Na naszej ulicy, jak się dowiedzieliśmy z ust naszych rodziców mieszkała rodzina o nazwisku polskim, lecz byli Volksdeutschami tzn. takimi, którzy kolaborowali z niemieckim okupantem a po wojnie byli przez nas napiętnowani i wyśmiewani. Ich syn Stasiu chociaż nasz kolega z ulicy to jednak był wielokrotnie prześladowany. Wiele rodzin przykro doświadczyło w okresie okupacji złego ze strony Niemców, więc nie można się dziwić, że po wojnie nienawiść skierowana była również na te rodziny z listy VD. W dzieciach też było zakodowane takie zachowanie.
W otoczeniu starszych kolegów był między nami Jurek Kupczyk ciekawa postać, której pragnę poświęcić nieco uwagi. Nie tylko jemu, lecz także jego rodzinie.
Jego brat Bogdan nasz rówieśnik był spokojnym chłopcem i bardzo oczytanym, tak jak zresztą cała rodzina. Była to rodzina kolejarska, . Ojciec ich pracował na Kolei przy telegrafie, potem był emerytem, lub rencistą ze względu na chorobę płuc i nie pracował. Cała rodzina namiętnie czytała książki i non stop okupowali miejską bibliotekę i nawet nieraz wózkiem dziecinnym książki te przywozili do domu i je „pożerali”. Jurek potrafił nawet czytać przy jedzeniu nie zwracając uwagi na to co się wokół niego dzieje i co wkłada do ust. Nie mogłem wyjść z podziwu jak mógł dwie czynności wykonywać jednocześnie. Kiedy ukończył Szkołę Podstawową i otrzymał świadectwo ze średnimi ocenami, na pewien czas stracił się nam z oczu i naraz na feriach pokazał się w pięknym białym mundurze kadetów z kordzikiem u boku i lśniącymi złotymi guzikami. Były to czasy, kiedy na wzór radzieckich kadetów powołano w Warszawie podobną Szkołę, wychowującą przyszłych oficerów Wojska Polskiego. Do tej szkoły mogli dostawać się wyłącznie uczniowie z celującymi stopniami na świadectwie. Widocznie Jurek potrafił zaimponować Komisji rekrutacyjnej i dostał się do tej wyjątkowej Szkoły.

Był na tyle oczytany że dał sobie radę i nas zadziwił. W tym mundurze był naprawdę przystojnym i urzekająco pięknym żołnierzykiem i młodzieńcem. Szkoła nie trwała długo więc i on nie dokończył tej edukacji.
Pracował potem w obstawie premiera Cyrankiewicza w rządzie a teraz jest na Zachodzie w zielonogórskim i rzeźbi w drewnie przeróżne figury duże i małe i urządza wystawy. Wiele takich rzeźb stoi w jego rodzinnym Ostrzeszowie w ciekawych punktach miasta i przed zameczkiem kazimierzowskim też.
Gdy zbliżały się Święta Wielkanocne wypadało do domu narwać bazi, które zastępowały palmy palestyńskie i jerozolimskie, którymi żydzi witali Chrystusa, gdy wjeżdżał na osiołku do Jerozolimy. Tegoroczne były już rozwinięte, więc wybrałem się wraz z kolegami poza miasto na z góry upatrzone miejsce. Drzewo to graniczyło z płotem pewnego gospodarza, właściciela dość groźnego psa uwiązanego przy budzie u płotu. Kiedy udało mi się wejść na płot a potem na drzewo nagle krucha gałąź złamała się i spadłem z drzewa wprost na psią budę z której wyskoczył wściekły pies i rozerwał mi nowe ubrane pierwszy raz spodnie. W efekcie jedna nogawka była długa a druga skrócona do kolana. i w takim stanie musiałem iść do domu przez całe miasto, ku wielkiej uciesze moich kolegów. Na domiar złego gospodarz gonił mnie z kijem i rzucał za mną kamienie. Udało mi się wyjść z tych opałów, lecz trzeba było wracać do domu. Pomyślałem, że matka będzie wielce zatroskana i zdenerwowana i aby jej uniknąć tego napięcia, udałem się do wujka Ludwika znakomitego zresztą krawca w tym mieście, aby go poprosić o artystyczne zacerowanie tej nogawki. tak aby matka nie poznała. Wujek miał naturalnie z tym wielki problem i matka poznała się na tej kombinacji i było kazanie i lament bo pieniądze „poszły w błoto „Matka musiała mi nowe spodnie kupić, bo nie mógłbym w czym iść na święta do Kościoła.
Siedząc pewnego razu w klasie usłyszeliśmy syreny alarmowe i wyjące karetki pogotowia i milicyjne. Nie zważając na to że była lekcja, wyskoczyliśmy z klasy i pobiegliśmy na miejsce wypadku bo było blisko na ruchliwej „autostradzie" przy jedynym domu zwanym „Willa-Alfa". Już zwłoki zabitego nieszczęśnika umieszczali w karetce pogotowia, a po wypadku został doszczętnie rozbity motocykl i wielka kałuża krwi, którą człowiek łopatą zgarniał do wykopanego dołu. Straszny widok dla nas dzieci. Okazało się że był to ksiądz- kolega szkolny mojego ojca a rodzina jego mieszkała po sąsiedzku na naszej ulicy. Biedak jechał na motocyklu taki szmat drogi do domu do swojej matki z lekarstwami i niemal pod samym domem zginął w tak głupi i banalny sposób. Widoczność drogi głównej zasłaniały krzaki na skrzyżowaniu i nie widział nadjeżdżający pojazd, którym był samochód ciężarowy. Kierowca tego samochodu rozpaczał i rwał włosy z głowy i niestety efekt był taki że człowiek już nie żył. Potem był pogrzeb a zwłoki leżące w domu przez trzy dni w upalne dni trzeba było obkładać lodem aby się nie psuły, a i tak nieprzyjemny zapach dolatywał do nosa modlących się na różańcu ludzi. Myśmy wrócili do szkoły i była awantura, lecz nam się nie chciało z tego wszystkiego uczyć.
Pewnego razu dowiedzieliśmy się w szkole, że na pobliskich polach wylądował przypadkowo dwupłatowiec zwany przez nas „kukuruźnikiem" wraz z szybowcem. Zostawiliśmy lekcje i znów pobiegliśmy zobaczyć te podniebne maszyny.

Pilotowi nic się nie stało a dla nas była to kolejna atrakcja i sensacja. Obiecał nam że podczas najbliższego święta lotnictwa zabierze nas i polecimy pod chmury.
Ojciec mój jak wspominałem już pracował jako malarz w wielu firmach bądź na wyjeździe, bądź na miejscu, malując albo meble albo mieszkania albo obiekty przemysłowe i konstrukcje stalowe i wielkie zbiorniki.
Trafił pewnego razu na robotę w miejscowym kościele Farze tej zabytkowej świątyni z czasów Kazimierza Wielkiego. W tym czasie trzeba było w Farze przeprowadzić konserwację ścian i położyć izolację pionową ze względu na grzyb jaki się już od dawna pokazywał. Ojciec wraz z ekipą, przygotowując grunt pod malowanie, podczas skrobania ścian trafił na jakieś dziwne malowidła stare freski z początków budowy tej świątyni. Były to sceny z Biblii. Po ściągnięciu konserwatora zabytków i historyków stwierdzono, że są to cenne zabytkowe freski i należy je poddać konserwacji szczegółowej. Zjechało się więc wielu konserwatorów z Krakowa i Poznania i na rusztowaniach wykonywali swoją żmudną pracę. Odsłonięte malowidła można teraz oglądać w tym kościele. Nie są piękne, lecz na pewno stare i zabytkowe o dużej wartości historycznej.
W kościele tym ponadto znajduje się tablica pamiątkowa ku czci św. Maksymiliana Kolbego, który w czasie okupacji zaraz na początku w obozie w Ostrzeszowie przebywał, wywieziony z Niepokalanowa wraz z 34 zakonnikami. Obóz ten mieścił się w obecnym Liceum Ogólnokształcącym. W Ostrzeszowie przebywali również jeńcy wojenni z Norwegii i na domu w którym przebywali także widnieje tablica pamiątkowa.
Ze szkołą często braliśmy udział w różnych akcjach o charakterze gospodarczym jak sadzenie lasu, ziemniaków, zbieranie stonki ziemniaczanej czy przy wykopkach. Starsi pomagali też nieraz przy żniwach na wioskach i w Pegeerach.
Do lasu chodziliśmy z leśniczym i nauczycielami aby sadzić las sosnowy bo tylko sosny mogły na piaskach ostrzeszowskich rosnąć. Chłopcy przez cały dzień przy pomocy specjalnych narzędzi w postaci klina wykonywali otwory w ziemi natomiast dziewczęta sadziły sadzonki i przygniatały ziemią. Dziś są to już olbrzymie drzewa a nasza Polska jest przez to bardziej zielona i piękniejsza. Stonka na pegeerowskich kartofliskach jak głosiła propaganda i afisze pokazała się zrzucona przez amerykańskich imperialistów na komunistyczną Polskę. Na plakatach byli oni malowani jako wrogowie socjalizmu.
Pewnej zimy zbliżały się Wojewódzkie Igrzyska Harcerskie w Chodzieży i nauczyciel wuefu kompletował drużyny i ekipę na te Igrzyska, Trafił akurat na nas, bawiących się i rozgrywających mecz hokejowy na stawie u Wilka. Tych najlepszych sobie wybrał i kazał się przygotować, wyznaczając konkurencje dla każdego. Mnie też wybrał i byłem z tego bardzo dumny. Zresztą jeżeli chodzi o sporty to jakiego bym się nie chwycił to byłem dobry lub najlepszy. Przygotowałem sobie więc sprzęt sportowy i dresy i razem z kolegami pojechaliśmy na te Igrzyska. Brałem udział w slalomie hokejowym na czas między słupkami na wielkim jeziorze w Chodzieży. W czasie wyścigu zerwała mi się, moim zdaniem solidnie umocowana łyżwa i było po zawodach, ale radziłem sobie dobrze do chwili tej awarii. Po Igrzyskach zwiedzaliśmy miejscowe Zakłady Porcelany i Porcelitu i otrzymaliśmy z tej porcelany pamiątki z napisami okolicznościowymi.

Mały zajączek do dziś gdzieś poniewiera się na półce. Bratem wspomnianego Jurka Kupczyka był Bogdan, który po ukończeniu Szkoły Podstawowej zniknął nam z oczu i uczęszczał do Szkoły Zawodowej Drukarskiej i w Drukarni pracował jako zecer. Czytał wiele książek i kochał je, więc przy książkach pozostał. Pewnego razu wracając późno z pracy zażył kąpieli w wannie i tam też pozostał, umierając chyba na atak serca i znaleziono go dopiero nad ranem nieżywego. Szkoda tego człowieka, bo był to dobry i uczciwy kolega i wzór do naśladowania. Bratem natomiast mojego kolegi Heńka był o kilka lat od nas starszy Zenek późniejszy ksiądz i kanonik / niedawno zmarł/, którego babcia wołała zwykle „Zyniu". Ukończył Liceum z wyróżnieniem i celującym świadectwem dojrzałości i otrzymał glejt uprawniający go do wstępu na wszystkie wyższe uczelnie w Polsce bez egzaminów. Było to w tych czasach niezwykle rzadkie i wyjątkowe zjawisko. Dziś jest to bardziej popularne, bo poziom nauczania jest ogólnie niski, niestety. Dumny z tego faktu Dyrektor w tych czasach przeważnie prokomunistyczny, wręczając mu niezwykłe wyróżnienie, został wielce zaskoczony odmową ze strony Zenka. Odważnie i z determinacją stwierdził że jego powołaniem jest pójście do Seminarium Duchownego, ponieważ zamierza zostać księdzem. W mieście zawrzało i w końcu tak też było. Widzieliśmy go potem w sutannie i w tonsurze, bo w tych czasach księża nosili wygolone kółeczka na czubku głowy zwane tonsurami.
W Kościele usługiwał w czasie wakacji i był wzorem dla nas ministrantów.
Będąc jeszcze uczniem a i też jako ksiądz był wszechstronnie uzdolniony również sportowo, a szczególne osiągnięcia miał jako bramkarz miejscowej drużyny piłkarskiej. Obdarzony dużym refleksem, wysoki wzbudzał podziw widzów i kibiców. Często na wakacjach zamieniał sutannę na dres sportowy i stawał do bramki, aby zasilić drużynę i był bardzo dobry w tym fachu. W wakacje któregoś lata widzieliśmy go ubranego w letni strój ZMPowca z furażerką na głowie. W tych latach modne było angażowanie uczniów do pracy przy wielkich budowach komunizmu jak Nowa Huta, Pałac Kultury i Nauki czy odbudowywanie zniszczonej Warszawy. W latach późno pięćdziesiątych Polskę zalała fala repatriantów ze Związku Radzieckiego. Byli to nasi rodacy, którzy doświadczyli złego ze strony sąsiadów. Sponiewierani przez los bez środków do życia wracali na ojczyzny łono i trzeba było ich przygarnąć i przyjąć jak braci. To też robiło się w mieście. To wschodnie zawodzenie dziwiło nas tubylców, lecz szybko oswoiliśmy się z tym i asymilacja przebiegała sprawnie. Otrzymali od władz miasta mieszkania oraz pracę i mogli egzystować w nowej rzeczywistości. Przybywali w różnych okresach lub rzutach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpocząłem naukę gry na skrzypcach u Pani Baranowskiej prywatnie, bo szkoły muzycznej w mieście nie było. Krysia też wówczas chodziła na naukę gry na pianinie do Pani Bielawskiej.
Zanim zacząłem naukę u Pani Baranowskiej próbowałem nauki gry u Pana Zborowskiego organisty z fary. Jego surowość i wymagania przerastały wszystko i nie dawałem sobie rady. Ponadto płataliśmy różne figle temu człowiekowi wspólnie z kolegami, oczekującymi na kolejne lekcje. Pamiętam kolegę z Grabowa dziś lekarza, uczącego się u niego gry na akordeonie, przyniósł kiedyś w futerale swojskie wino, aby po lekcjach wspólnie wypić.

Niestety przy otwieraniu rozlało się i była wielka awantura. To między innymi spowodowało, że musiałem od niego odejść. Pani Baranowska była ciągle zachwycona moją grą, a ja w niej nic specjalnego nie widziałem. Jednak przydała mi się znajomość nut i gry, ponieważ kiedy potem próbowałem gry na gitarze to łatwiej mi przychodziła nauka. Skończyłem swoją grę na obu instrumentach na poziomie podstawowym, lecz kiedy trzeba było zabawić przy stole biesiadników to nigdy nie odmawiałem.
Do dziś dnia kolędy śpiewamy przy wtórze pianina i gitary w otoczeniu naszych dzieci i wnuków i nieraz znajomych. Urządzamy nawet wieczory kolędowe i jest wtedy radośnie i nastrojowo.
Z kolejnego rzutu repatriantów w mieście pojawiła się rodzina, której nikt nie akceptował i była nad wyraz nieżyczliwa i konfliktogenna. Po wyprowadzeniu się naszego sąsiada wspomnianego rzeźnika, który swego syna wiecznie bił, dostaliśmy właśnie tych ludzi jako sąsiadów i od tej chwili matka moja i my również nie mieliśmy spokoju i była z nimi ciągła udręka i nieporozumienie. Podobno gospodarz zrobił to celowo, ponieważ narzekaliśmy nieraz na poprzedniego sąsiada. Okazało się że i sobie zrobił na złość. Była to rodzina wielodzietna a matka była szczególnie wrogo nastawiona do kogokolwiek. Nazywana była przez sąsiadów różnymi przymiotnikami negatywnymi. Był to dla mojej matki zawsze temat wielce drażliwy, więc nie będę opisywał o tym, bo jeszcze by moja mama w trumnie się poruszyła, a modle się ciągle o spokój jej duszy.

8. Koniec edukacji w Szkole Podstawowej. Wybór dalszej edukacji. Krysia w Liceum. Ostatnie wakacje. Wyjazd do Rybnika. Krysia na Śląsku Podjęcie nauki w Technikum Fototechnicznym w Katowicach Piotrowicach. Początek nauki w Niższym Seminarium Duchownym OO. Franciszkanów w Rybniku.

Jest rok 1957. Kończy się rok szkolny i moja edukacja w Szkole Podstawowej w Ostrzeszowie. Zaczynają się wakacje a ja jeszcze nie dokonałem wyboru szkoły średniej. Przeglądając gazety i informatory, natknąłem się na adresy szkół :Technikum Geodezyjnego i Technikum Kolejowego we Wrocławiu. Spiesznie więc sporządziłem odpowiednią dokumentację i osobiście zawiozłem do wybranych szkół. Na egzaminy udałem się wraz z matką i zdałem oba, ponieważ były akurat w różnych terminach. Niestety nie mogłem kontynuować nauki, ponieważ nie dostałem się do Internatu, a na prywatną kwaterę nie było nas stać. Wróciłem smutny do domu i któregoś dnia wpadł mi w ręce rocznik Przewodnika Katolickiego, który matka skompletowała i skrzętnie je zbierała od kilku lat, aby potem dać do oprawy, aby służyły na długie lata. W czerwcowym wydaniu w rubryce oferty i reklamy znalazłem adres i ogłoszenie o uruchamianiu Niższego Seminarium Duchownego OO. Franciszkanów w Kobylinie w tym roku. Zebrałem dokumenty i po dłuższym zastanowieniu się i przemyśleniu zdecydowałem się wysłać je na ten adres. Odpowiedź otrzymałem z Rybnika, ponieważ właśnie tam uruchamiano to Seminarium. Edukację tę nie wybrałem z pobudek drogą namawiania, lecz była to świadoma i przemyślana decyzja, ku wielkiemu zdziwieniu i zakłopotaniu moich rodziców.

Religijność moja wynikała z pobożności zarówno dziadków ze strony ojca jak i przede wszystkim mojej matki. Ojciec był nieco powściągliwy w praktykach religijnych, chociaż był też ministrantem i ponoć jak dowiedziałem się od jego brata później, że też próbował wstąpić do zakonu. Rodzice mego ojca Franciszek i Rozalia byli bogobojnymi ludźmi i praktykującymi katolikami. Szczególnie babcia Rozalia była gorliwą i praktykującą katoliczką na granicy dewocji nawet. Ponoć kiedy dzieci były jeszcze małe to wszystkie zabierała do Kościoła i mimo złej pogody wyczekiwała kościelnego pod bramą Kościoła. Sama należała do III Zakonu św. Franciszka i była tercjarką i gdy umarła to pochowano ją na jej życzenie w habicie franciszkańskim ze sznurem i różańcem u boku jak prawdziwą zakonnicę. Takie były wówczas zwyczaje. Modliła się gorliwie, lecz w życiu nie bardzo miała ta modlitwa swoje odzwierciedlenie. Była surowa, krytyczna, potrafiła uzewnętrzniać swoje nerwy, obmawiać drugich i źle o nich świadczyć. Dziadek natomiast mniej był zaangażowany religijnie, lecz był uosobieniem anioła i chodzącej dobroci i łagodności. Po prostu godny naśladowania. Ilekroć kiedy pod koniec życia szedł stróżować do Mleczarni, spożywał posiłek często ze smażonych ziemniaków na boczku czy smalcu z cebulką. Pachniało wówczas wszędzie i nawet na korytarzu. O ile pojawiłem się w tym czasie u niego to nie mogłem nie poprosić go o spróbowanie tej wieczerzy i z rondelka stojącego na piecu pomagałem mu a on był wielce ucieszony, że może wnuka poczęstować. Od babci najbardziej, szczególnie zimą, smakowały jabłka z szuflady wyciągnięte lub orzechy włoskie z podwórzowego drzewa, przeznaczone wyłącznie na święta.

Pierwsze z dzieci miało być zgodnie z tradycją poświęcone Bogu a urodziła się jedyna córka – nasza ciocia Maria, która nawet próbowała zostać zakonnicą, lecz niestety też się nie udało i do końca życia, a żyła 94 lata postanowiła być panną co jej się udało. Kolejnym dzieckiem był syn, któremu nadano imię Jan. Ten też próbował zostać duchownym. Doszedł nawet w swej edukacji dość daleko w Seminarium Duchownym OO. Salezjanów w Warszawie, lecz niestety też zrezygnował. Kiedyś nie wystarczały chęci, potrzebne były pieniądze na edukację, a tych było ciągle mało, zważywszy że babcia była kobietą niepracującą, a jedynie dziadek musiał utrzymywać całą rodzinę.

Szkołę Podstawową ukończyłem z dość dobrymi wynikami, podobnie zresztą jak i Krystyna. Ona zaraz po wakacjach udała się do miejscowego Liceum, lecz kiedy dowiedziała się że w Katowicach Piotrowicach jest Technikum Fototechniczne jej wymarzone Technikum ze względu na chęć pracowania w zawodzie fotografa przy ojcu w jego zakładzie, natychmiast po skończeniu pierwszego roku w Liceum przeniosła się do Katowic, lecz niestety musiała od nowa zacząć, ponieważ były rozbieżności programowe między szkołami i przez to straciła rok, a w dodatku jeszcze jeden, bowiem od tej pory nauka w Technikum trwała już 5 lat a nie jak do tej pory 4 lata. Absolwenci Liceum więc o rok wcześniej rozpoczynali naukę na studiach wyższych. Uczyła się w Katowicach, natomiast mieszkała u swej siostry Ireny w Chorzowie Mieście na głównej ulicy Wolności. Siostra Irena kiedyś nie mogąc wytrzymać ze swym ojcem, wyjechała na Śląsk a zapoznawszy Staszka Widerę po ślubie zamieszkała na stałe w tym mieście. Staszek pracował w Hucie Batory a potem w hucie Florian.

Skończył Technikum Hutnicze w Chorzowie, natomiast Irena pracowała jako pomoc dentystyczna u swojego wujka w Łagiewnikach. Miała w tym domu opiekę i dobrą kontrolę przy odrabianiu lekcji. We wrześniu więc zgodnie z planem wraz z matką, wielce zafrasowaną udaliśmy się pociągiem do Rybnika, celem podjęcia nauki w wybranym przeze mnie Seminarium. Zastaliśmy na miejscu samego O. Rektora Tytusa Semkło, który uspokoił matkę i zapewnił, że synowi będzie dobrze i włos z głowy mu nie spadnie a co będzie dalej z jego nauką i powołaniem to „wola boska „bo takie jest chyba „zrządzenie boskie „Seminarium zwane Kollegium mieściło się przy Klasztorze i Kościele OO. Franciszkanów w parku przykościelnym i ogrodzie.

Wychowankowie Niższego Seminarium Duchownego OO. Franciszkanów w Rybniku z O. Rektorem Tytusem Semkło. Stoję przy obrazie z lewej jego strony u góry

Nowo uruchomione Collegium było czyste, zadbane i wyposażone we wszelkie podstawowe wygody. W budynku tym mimo że obok był Kościół, znajdowała się specjalnie dla zakonników i dla kolegiatów kaplica ze św. Franciszkiem obok ukrzyżowanego w ołtarzu. Tam codziennie trzy razy rano, w południe i na wieczór odprawialiśmy wspólnie z „fratrami" modlitwy niektóre w j. łacińskim a niektóre w j. polskim. Rano naturalnie przed nauką była msza św. i modlitwy przed nauką, a potem śniadanie w refektarzu.

Codziennie rano kiedy tylko obudziliśmy się i otworzyliśmy swe zaspane oczy, pozdrawialiśmy się wzajemnie słowem ”Ave” tzn. bądź pozdrowiony, życzę ci zdrowia, witaj Fratres, byli to nieco starsi młodzieńcy, którzy byli już ubrani w habitach i mieli olbrzymie franciszkańskie tonsury na głowach. Habity związane były sznurami z trzema węzłami oznaczającymi: posłuszeństwo, miłość i cnotę, oraz dużym różańcem u boku. Habity miały kaptury oraz różne schowki pod pachą i nie tylko na drobne rzeczy i na chusteczkę do nosa. Byli oni po Nowicjacie czyli okresie próbnym i po ślubach i po postulacie, natomiast musieli skończyć szkołę średnią, ponieważ kiedy oni wstępowali do Zakonu, nie było Niższego Seminarium i uzyskaniu świadectwa dojrzałości oni szli dalej na Filozofię do Opola a potem na Teologię do Katowic Panewnik aż do święceń kapłańskich i zakonnych, natomiast cywile tacy jak my musieli wpierw odbyć Nowicjat roczny czas próby i modlitwy.
W tych latach niestety skończenie tego Collegium dawało jedynie maturę prywatną nie honorowaną przez władze oświatowe polskie. Trzeba było zdawać maturę państwową jako ekstern ze wszystkich przedmiotów ogólnokształcących. Zostając w zakonie matura „prywatna” wystarczyła do dalszej edukacji i święceń.
Po latach mogę stwierdzić jedynie, że zostanie zakonnikiem nie było moim powołaniem. Chciałem tylko nieco ustatkować się i osiągnąć pewien wysoki poziom wykształcenia, co zresztą sądzę że mi się udało. Seminarium to jak i inne prowadzone przez duchownych, gwarantowało taki poziom. Oprócz przedmiotów ogólnokształcących z przewagą dochodzących nauczycieli z miejscowego Technikum Górniczego oraz Liceum świeckich osób uczyli nas zakonnicy na przykład: j. niemieckiego, łacińskiego, greckiego, fizyki i religii. Znani ogólnie na wysokim poziomie wykładowcy, którzy wcześniej jak i potem wykładali w Wyższym Seminarium Duchownym w Katowicach. Główną siedzibę i Prowncjałat franciszkanie mieli w Katowicach Panewnikach. Duży Klasztor z kilkumetrowym św. Franciszkiem na dachu oraz wspaniała bazylika pod wezwaniem św. Ludwika dominuje nad zabudowaniami panewnickimi do dziś i jest ozdobą Sanktuariów na Śląsku i nie tylko.

9. Życie w Seminarium. Matura „prywatna”. Śmierć ojca. Matura „państwowa” w Poznaniu. Podjęcie pracy na Poczcie. Praca w służbie zdrowia. Krysia w Ostrzeszowie po maturze. Moje znajomości z dziewczynami.

Na pierwszym roku byliśmy sami, natomiast co roku przybywała nowa klasa, lecz w sumie trwało to kilka lat i dziś w tym miejscu jest świecka szkoła. Klasy wyposażone były w podstawowe pomoce dydaktyczne jak zresztą w każdej porządnej szkole. Sypialnie natomiast z łóżkami piętrowymi i ubikacjami i łazienkami na każdym korytarzu, nie sprawiały nam trudności w codziennym ich używaniu i w życiu wspólnotowym. Jeżeli choroba grypowa lub inna zakaźna typu angina złapała kogoś, to było pewne, że i reszta też podda się tej chorobie i jeden zarazi pozostałych tym wirusem. Specyficzną metodę leczenia aplikowali nam przełożeni.

Chorzy na komendę i pod nadzorem dyżurnego jeszcze zdrowego lub wytypowanego spośród chorych po wypiciu dużej ilości herbaty lipowej z miodem lub z sokiem malinowym z cytryną lub witaminą C i po zażyciu aspiryny lub piramidonu(polopiryny) dokładnie przykryci pod szyję zmuszeni byli do pocenia się aż do wykręcania bielizny i pościeli. Po wyznaczonym czasie na komendę wstawało się, zmieniało pościel i piżamę na suchą i po umyciu się w zimnej wodzie i wytarciu suchym ręcznikiem kładło się ponownie tym razem lekko się przykrywając i tak do następnego pocenia. Dyżurny w tym czasie szeroko otwierał okna i wlatywało zimne świeże powietrze, a resztki zarazków ulatywały hen daleko. Takie ćwiczenia przeprowadzane były cyklicznie aż do całkowitego wyzdrowienia. Na komendę mierzyliśmy temperaturę ciała i zapisywaliśmy w dzienniczku choroby, zażywaliśmy lekarstw i piliśmy herbatę przed następnym poceniem. Była to bardzo skuteczna metoda leczenia i trwająca stosunkowo krótko. Co odważniejsi puszczali sobie krew z nosa, bo to ponoć też pomagało, tak jak dawniej wypędzano chorobę pijawkami. Tę metodę leczenia teraz też i ja stosuję, kiedy choroba mnie złoży, z tą tylko różnicą, że nie puszczam sobie krwi, bo jest to sposób brutalny i jest to nieprzyjemne i bolesne.
Do dziś dnia na pamiątkę zostawiłem sobie podręcznik Goliasa do nauki języka greckiego. Mam też podręcznik do nauki języka łacińskiego ze słownikiem oraz wiele materiałów do nauki języka niemieckiego oraz niewiele z języka rosyjskiego. Zapominam już z dnia na dzień to co się tam nauczyłem, bo z nich na co dzień się nie korzystało- nie ma okazji i potrzeby. Ale co się zdobyło to się ma.
W tej specyficznej szkole i internacie były dyżury; w sanitariatach, u O. Rektora w celi przy podlewaniu kwiatów i porządkach, w sali gdzie odbywała się nauka własna i w klasach. Sprzątaczek nigdy nie było więc o porządek dbaliśmy my sami. Sobota szczególnie była dniem porządków generalnych i wtedy w ruch szły szmaty, miotły wiadra pasty i środki odkażające. Wszędzie było czysto i nie do pomyślenia aby ktoś czymkolwiek zaśmiecił korytarz czy jakiekolwiek pomieszczenie. Pomieszczenia w sobotę po skończonej pracy były sprawdzane przez powołaną komisję porządkową. Koledzy w tej szkole byli z całej niemal Polski od Pomorza aż po góry. Pamiętam że byli tam chłopcy z Brodnicy, Wejcherowa, Pakości, Białegostoku i Łap, z poznańskiego Jarocina, Ostrzeszowa, Kobylina, i ze Śląska. Byli też górale z Nowego Sącza i Limanowej oraz jeden nawet z Jarosławia. Na lekcjach wf. chodziliśmy na boisko Technikum Górniczego w Rybniku, ponieważ nauczyciel również i tam uczył, a my nie mieliśmy takiego zaplecza do ćwiczeń. Chodziliśmy także latem na basen kąpielowy odkryty na Paruszowiec. Zawsze w grupie, nigdy indywidualnie. Z profesorem wf. wyjeżdżaliśmy na wycieczki w góry i zwiedzaliśmy okoliczne zabytki poznając kulturę regionalną zwiedzanych terenów i krajobrazy. Zakazem było wychodzenie z budynku na miasto, więc każde nasze wspólne wyjście, dawało nam okazję, aby zwiedzić miasto i o ile się udało kupić w kiosku Ruchu czasopismo kolorowe, tygodnik np. „Panoramę", której czytanie było zabronione. Mogliśmy jedynie czytać dzienniki popularne o zasięgu ogólnopolskim. Oglądanie telewizji było rzadkością, a wszystko pod nadzorem duchownego i wyłącznie publicystyki i dzienników, a nieraz programów popularno- naukowych

Gazety kolorowe oglądaliśmy w nocy pod kołdrą i przy latarce kieszonkowej. O godz. 22. 00 była cisza nocna i gaszenie świateł. Rano o godz. 6. 00 pobudka „Ave Maryja „, toaleta i modlitwy w Kaplicy, potem było śniadanie. W czasie rekolekcji całotygodniowych w okresie Wielkiego Postu przed Wielkanocą co roku nie mogliśmy ze sobą w ogóle rozmawiać, a jedynie spotkawszy kolegę, lub zakonnika, można ich było pozdrowić jakimś nabożnym pozdrowieniem. Modlitwy były indywidualne i zbiorowe a O. Prefekt głosił kazania i wykłady na tematy religijne. Na boisku rozgrywaliśmy mecze i uprawialiśmy lekkoatletykę. Jak już wspominałem mecze piłki siatkowej i w tenisa stołowego, ale już na terenie ogrodu klasztornego. Na początku zaproponowano nam z miejscowego ogrodu przy Klasztorze urządzić boisko. Jakże wielka frajda była dla nas, kiedy można było po zbiorach zatratować zieleń do gołej ziemi. Wkrótce było gołoborze i pustynia jak po najeździe hunów czy tatarów. Ustawiliśmy bramki i było boisko do piłki nożnej. Na jesieni w przygotowanych uprzednio i wymytych beczkach deptaliśmy umytymi nogami kapustę wraz z marchwią i jabłkami. W refektarzu, gdzie spożywaliśmy posiłki wisiał wielki krzyż. Z piwnic, gdzie była kuchnia dyżurni przy pomocy dzwonka i windy znosili posiłki na stoły wcześniej przygotowane z talerzami i sztućcami. Surówki i szpinaku było zawsze tak dużo, że musiano korzystać z wielkich mich emaliowanych. Jeden z nas podczas posiłku musiał czytać coś z literatury religijnej a wszyscy byli cicho bo była zasada iż jedynie „religiosum colloguamur” tzn. rozmawiamy wyłącznie na tematy religijne. Przed i po posiłkach były stosowne modlitwy do odmówienia. Były też podwieczorki z ciastem, owocami i słodyczami. Nauka własna była obowiązkowa i czy chciałem czy też nie, musiałem się uczyć. To wychodziło nam jedynie na dobre i dawało efekty, że poziom nauki był bardzo wysoki. Zresztą we wszystkich zakonach, prowadzących tego typu szkoły był wysoki poziom. Dydaktycy potrafili skutecznie uczyć i mieli duże doświadczenie w edukowaniu. Najtrudniejsza dla nas była jednak greka- przeklęta przez nas od początku do tego stopnia, że postanowiliśmy po zakończeniu nauki spalić ostentacyjnie wszystkie zeszyty i książki na stosie przed szkołą, jak to zrobił chwalony przez nas sławny grek Omar, kiedy w łazience podgrzewając sobie wodę używał papirusów słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej i przez to przeszedł do historii. Nie zdążyliśmy tego zrobić a ja zabrałem sobie greckie książki i preparacje do domu na pamiątkę. Łacinę mieliśmy codziennie tak jak j. polski, więc dużo jej opanowaliśmy. Na koniec czytaliśmy nawet książki Cycerona” Oratio guarta” czy „Bellum Jugurtinum” o wojnach Hannibala i jego syna Jugurty. Oprócz wspomnianego O. Rektora Tytusa Semkło, O. Tadeusza Goja - Prefekta pamiętam Ojców, którzy przewijali się przez Rybnik w tym czasie: O ile Klasztor prowadził Parafię, to musiał być i Proboszcz i pomocnicy. Proboszczem w tym czasie był wpierw O. Marek a potem O. Justyn Widuch. Naszym spowiednikiem czyli o. duchownym był wpierw O. Barnaba Stokowy a potem O. Ferdynand. Gwardianem był O. Józef Zając. O. Marek był ponadto uzdolnionym muzykiem, lecz nie śpiewał, ponieważ zamiast tchawicy miał włożoną platynową rurkę. Przez ten Klasztor przewijali się O. Teofil Zawieja, O. Tarsycjusz Waszecki, późniejszy autor wielu ciekawych książek o tematyce religijnej oraz autor modlitewnika sławnego na cały kraj a

mianowicie „Pokój i dobro „służącego tercjarzom do modlitw, O. Florian Smolnik, oboje pochodzący z Rybnika, gdzie mieli swoje prymicyjne uroczystości. Wspomniany już wcześniej O. Makary Żogała, który uczył nas greki, łaciny i fizyki. Większość z nich już nie żyje, a groby ich można odwiedzać na cmentarzu przy bazylice w Panewnikach. Ilekroć jestem w tym Sanktuarium to zapalam świeczki na grobach moich znajomych franciszkanów a przede wszystkim na grobie O. Rektora Tytusa, któremu wiele zawdzięczam i dziękuję Bogu że pojawili się oni na mojej drodze i edukacji. i że mogłem ich poznać. Klasztor odwiedzali również często O. Damazcen, O. Damian Szojda późniejszy Prowincjał. , O. Hieronim Dubis, O. Euzebiusz Wieczorek, który w bardzo młodym wieku umarł nagle, O. Anzgary, O. Franciszek Potocki, O. Chryzostom, O. Mikołaj, O. Mieczysław Wnękowicz itd. Do tzw. ”Klauzury” nie mieliśmy dostępu bo to część Klasztoru wydzielona wyłącznie dla zakonników. Każdy z nich był wołany bądź przez furtiana, bądź przez Gwardiana tzn. przełożonego Klasztoru gwizdkiem o odpowiedniej modulacji np. jeden ciągły gwizdek oznaczał konkretnego zakonnika itd. Był to skuteczny i niezawodny sposób porozumiewania się między sobą. Wśród zakonników byli braciszkowie, którym nie dane było kończyć studiów teologicznych i święceń kapłańskich i oni byli przeznaczeni do posług różnych w Klasztorze: w kuchni, na furcie klasztornej, w refektarzu, w ogrodzie w zakrystii na organach i w gospodarstwie przyklasztornym. Natomiast ci ze święceniami mieli też swoje zadania: uczyli religii, prowadzili Parafię, rekolekcje, spotkania z poszczególnymi wspólnotami modlitewnymi, i z młodzieżą i dziećmi itd. Rozjechaliśmy się po skończeniu Seminarium w różne strony. Kilku jednak skierowało swe kroki do Nowicjatu do Kobylina na okres próbny, aby dalej żyć życiem franciszkańskim i świadczyć ludziom seraficki „Pokój i dobro”. Z kolegów moich Krystian Hyla wpierw był franciszkaninem, potem wystąpił i święcenia odbył w Seminarium Duchownym we Wrocławiu i obecnie jest sekretarzem Sadu Biskupiego przy Arcybiskupie Gulbinowiczu we Wrocławiu. O. Kazimierz Falkus od wielu już lat jest na misjach w Boliwii. O. Fidelis Obracaj jest wraz z O. Tarsycjuszem w Górkach Wielkich koło Skoczowa na Parafii. O. Gawlik oraz Szajda oboje są w Panewnikach w Parafii pw. św. Antoniego a ten ostatni wykłada nawet filologie klasyczną w Wyższym Seminarium Duchownym w Katowicach O. Stencel i O. Mieczysław Wnękowicz są w Panewnikach i mają każdy swoje zadania do spełnienia.

Z pobytu w tym wyjątkowym miejscu i czasie, w tej kuźni charakteru i edukacji przypominam sobie wiele zdarzeń ciekawych oraz mądrości życiowych i zwyczajów, głównie pochodzących ze Śląska i dla mnie o tyle odmiennych, że wielu z nas pochodziło z różnych regionów kulturowych Polski. Oto na przykład: W dni krzyżowe i Św. Marka wczesnym rankiem poboczem drogi na Osiedlu wyruszała procesja z Kościoła w modlitwie o urodzaje. Gwiazdorów z poznańskiego zastąpiło dzieciątko pod choinką. W uroczystość Św. Agaty święcono chleb w kościele aby potem w domu się nim podzielić. W Św. Jana Chrzciciela święcono w kościele wino a ksiądz dawał każdemu je do spróbowania po mszy Św. W Święto Trzech Króli święcono kredę, wodę i mirrę, czyli te dary, które w tradycji przynieśli dzieciątku magowie. Błogosławieństwo krtani i gardła w Św. Błażeja. Rano budzono nas pozdrowieniem „Ave” a od godz. 22. oo była cisza nocna i milczenie.

Posłuszeństwo wobec O. Rektora i Prefekta była absolutna. Na zadanie przez nich polecenia słownego należało odpowiedzieć „tak lub" nie" a nie jak zwykle mówiono :"dobrze", ponieważ określenie dobrze czyli opinia o jakości wykonania należała wyłącznie do zleceniodawcy a nie do wykonawcy. Był to też pewien element wychowawczy dla młodzieży. Kiedy przychodził czas wakacji, wpierw zanim wróciłem do domu, każdorazowo odwiedzałem wujostwo w Katowicach Dębie. Kuzynowie Krzysztof i Zdzisław obecnie mieszkają w Niemczech w Dusseldorfie. Jeden jest geodetą a drugi lekarzem chirurgiem. Z nimi więc przez kilka dni obcowałem zwiedzając okolice Wesołego Miasteczka, Stadionu Śląskiego oraz ZOO i Planetarium. Chodziłem z nimi do kina i na mecze.
Po powrocie do domu zaczęły się spotkania z kolegami i wracały dawne gry i zabawy. Zaczęły się też pierwsze umizgi i randki ze znajomymi koleżankami i tymi poznanymi przypadkowo, ponieważ mojej Krysi jeszcze nie było, bo musiała dłużej o rok uczyć się w Technikum. W moim przypadku kończyły się na spacerach i miłej rozmowie na przeróżne tematy bez elementów oznaczających miłość i kochanie. Krystyna w tym czasie interesowała się innymi kolegami z miasta a więc Mietkiem oraz Markiem, który w tragiczny sposób zginął na motorze podczas brawurowej jazdy niedaleko swojego domu.
Na któryś z kolei wakacjach wspólnie z moimi kolegami, przechodząc przez Park Miejski „odbiło nam" i postanowiliśmy zabić nudę i złapać kurę, których dużo chodziło sobie po parku. Koledze uczęszczającym do Technikum Weterynaryjnego poleciliśmy ją przygotować do skonsumowania i zabić. U kolegi Heńka w mieszkaniu akurat nie było rodziców postanowiliśmy wyprawić ucztę zakrapianą winem i piwem. Przygotowaliśmy duży garnek i wrzuciliśmy złapaną i zabitą kurę wraz z jarzynami, aby dodatkowo był rosół. Pozostali koledzy przynieśli wino i piwo i miała być koleżeńska libacja. Niestety błąd w sztuce, kura była za stara i nioska i po ugotowaniu za twarda nie do spożycia. Popiliśmy więc wino rosołem i koniec zabawy. Ktoś kiedyś zaproponował kolejne głupie wybryki. Otóż do otwartych okien postanowiliśmy wrzucać sól w torebkach i czekaliśmy za rogiem ulicy na rezultaty naszych wygłupów. Po czasie zjeżdżała się milicja a nas już tam nie było. W kawiarniach szczególnie w „Piekiełku „i „Zamkowej" okupowaliśmy wszyscy stolik i zamawialiśmy całą blachę ciasta oraz syfon ze szklankami dla wszystkich i przy tym syfonie przesiadywaliśmy do późnego wieczora. Stąd takich młodych ludzi w mieście nazywali „syfoniarzami „
Kiedy nie było pieniędzy, to wystarczył sam syfon z wodą sodową.
Po powrocie z wakacji, znów wracała normalność i rygor szkolny. Wobec fratrów często spoufalaliśmy się a zdaniem przełożonych tacy w habitach i z tonsurami powinni być traktowani jako namaszczeni i nietykalni i ogólnie szanowani, a dla nas byli to ciągle zwykli ludzie i nasi rówieśnicy. Pewnego razu zjeżdżając na poręczach schodów trafiliśmy na nich schodzących w dół z modlitw, ze świeżo wygolonymi tonsurami. Jeden z kolegów zaczął fratra klepać po tej goliźnie i widział to zakonnik O. Przełożony i zaczęło się kazanie i kara bo było to przestępstwo nie do wybaczenia.

W okresie po Bożym Narodzeniu w miejscowej kaplicy przerobionej na salę gimnastyczną odwiedzał nas św. Mikołaj z prezentami, który u boku miał zawsze laskę i dwóch rozszalałych diabłów, którzy nie oszczędzali się i „lali" gdzie popadło, bez względu na zasługi. W kaplicy tej stała zwykle stara fisharmonia na której próbowaliśmy grać i improwizować. Mieliśmy zresztą dość oryginalną orkiestrę prowadzoną przez prof. Mańkę z Rybnika. Oryginalna bo grał każdy na takim instrumencie jaki posiadał lub jaki znajdował się w tym Klasztorze. organista w Kościele Pan Warchoł ciągle musiał używać pompki do powietrza które wdmuchiwał do przełyku i do płuc, ponieważ był chory na astmę. Pewnego razu byliśmy świadkami pożaru kościoła w tym mieście tego najokazalszego p. w św. Antoniego o bardzo strzelistej i wysokiej wieży, stojącego na górce w kierunku. Paruszowca. Wszystko było doskonale widoczne bo była noc. Pożar strawił dach i uszkodził ową gotycką wieżę.
Języka rosyjskiego uczył nas na początku prof. Tomanowski, niedoszły aktor operowy i artysta pochodzący z kresów. Jako repatriant przybył do Rybnika i uczył nas skutecznie, lecz był dla nas za cierpliwy i za dobry. Najmilej odbywała się lekcja, kiedy przyszło mu wspominać stare czasy i śpiewał wówczas wszystkie rosyjskie piosenki a przy tym ze wzruszenia zwykle płakał a my byliśmy tym przejęci i też wzruszeni. Z tych lekcji języka i śpiewu pozostało mi wiele piosenek w pamięci. Po nim j. rosyjskiego uczyła nas również na wysokim poziomie prof. Ochojska z Rybnika. Języka polskiego uczył też dochodzący z Rybnika prof. Alfred Mura i zrobił nam kiedyś lekcję z kaligrafii, ponieważ nie mógł znieść naszych gryzmołów w zeszytach. Matematyki uczyła nas siostra ze Zgromadzenia SS. Urszulanek. Surowa i bardzo wymagająca. Wielką wiedzę posiadała prof. Sołtys z Rybnika, która wykładała geografię i geologię a potem astronomię. Prefektem naszym czyli opiekunem na co dzień był O. Tadeusz Goj zakonnik/ zmarł niedawno temu/. Wymagający lecz o dobrym sercu. W ogóle pobyt w tym Collegium wspominam z sentymentem i wzruszeniem. Dodatkowym moim zajęciem poza lekcjami były gazetki i reklamy, afisze i wszelkiego rodzaju napisy i dekoracje oraz gra na skrzypcach i gitarze w orkiestrze. Tak dalece się angażowałem, że nauka zostawała w tyle i o ile w Szkole Podstawowej akcje moje ciągle rosły to w tym Collegium stopniowo malały a u prof. Mury zmalały do minimum, że kiedy pisaliśmy próbną maturę to powiedział nawet że „dobrze że jesteś w ostatniej klasie, bo gdyby była jeszcze jedna to z pewnością byś tej szkoły nie skończył w terminie „. Zdałem egzaminy i uzyskałem świadectwo dojrzałości, lecz niestety tylko „prywatne „z prawem wstępu na wszystkie wyższe uczelnie katolickie w Polsce. Kiedy wróciłem do domu, natychmiast podjąłem pracę w okienku pocztowym kasowym w Urzędzie Pocztowo Telekomunikacyjnym w Ostrzeszowie. Tam mogłem się zahaczyć, ponieważ Naczelnik Wyduba był bardzo religijnym i praktykującym katolikiem i po prostu mnie jak syna przygarnął do siebie. Pracowałem z wielką ochotą za marne wtedy grosze. Pamiętam pierwszą wypłatę 925 zł. Po roku załatwiłem sobie pracę jako inspektor orzecznictwa administracyjnego i statystyki medycznej w Przychodni Obwodowej w Ostrzeszowie. Nazwa długa i skomplikowana a praca mniej, ponieważ była to po prostu praca polegająca na kontrolowaniu personelu medycznego przy wystawianiu zwolnień lekarskich tzw. „L4"i prowadzenie statystyki medycznej na poszczególne gałęzie gospodarki i według chorób i zawodów itd.

Ponieważ nie mogłem się zwolnić z Poczty, więc zdecydowałem się na porzucenie pracy i z tym piętnem chodzę do dziś i miewam kłopoty. Bez zwolnienia przeszedłem do innej pracy lepiej płatnej i na lepsze warunki i mniej odpowiedzialnej, bo z dala od pieniędzy. W tym czasie postanowiłem złożyć egzamin dojrzałości eksternistyczny w Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego w Poznaniu i w wyznaczonym terminie udałem się do stolicy Wielkopolski bezpośrednio z uroczystości pogrzebowych mego ojca, który nagle 13 czerwca 1962 zmarł na ostrą białaczkę naczyń limfatycznych. A było to tak: Całą zimę 1961 na 1962 jak zresztą każdy malarz nie miał pracy. Tuż przed ostatnim zjazdem do domu ojciec przebywał u swego kolegi z czasów okupacyjnych pana Ostrowskiego w Miłosnej pod Warszawą i tam był wraz z nim zatrudniony przy malowaniu i konserwacji ciekawych zabytkowych budowli. Pewnego razu otrzymał zlecenie odnowienia domu marszałka Piłsudskiego w Sulejówku. Ponieważ ulubionym kolorem wystroju w tym domu marszałka był kolor niebieski, więc cały dom we wnętrzu ojciec pomalować musiał na ten kolor. Był z tego powodu dumny i się chwalił. Była to wyjątkowo surowa i ciężka zima nazwana zimą stulecia. Zachorował ponadto na zapalenie płuc i ledwo co wyszedł z tej choroby. Potem wiosną wyjechał do swego kolegi z czasów okupacji do Warszawy Sulejówka gdzie kolega ten mieszkał i razem pracowali odnawiając kościoły. Wrócił kiedyś bardzo zmęczony i chory i kiedy położył się to było coraz gorzej. Gorączka, poty, mary senne, bredzenie i trzeba było czym prędzej wołać lekarza do domu. Ponieważ w służbie zdrowia pracowała również moja kuzynka Maryla, więc po znajomości udało się ściągnąć do domu lekarza na wizytę. Po badaniu lekarka Aurelia stwierdziła że stan jest poważny i ze względu na brak miejsca w miejscowym Szpitalu, zdecydowała się napisać na zleceniu „dyfteryt" chorobę zakaźną i w ten sposób znaleźć miejsce w Szpitalu Zakaźnym. Karetka na sygnale wywiozła mnie wraz z chorym ojcem do Wołczyna na Opolszczyznę. Przyjechaliśmy w nocy i zaraz odbyło się bardzo bolesne badanie, po którym ojciec bardzo krwawił. Po stwierdzeniu, że jest to ostra postać białaczki i nie do uratowania. Ojciec bardzo ciężko oddychał, męczył się i pocił aż do rana, lecz nie w Szpitalu w Wołczynie a w Kluczborku, bo to jednak nie była choroba zakaźna. Razem z ojcem majaczącym ulokowano nas w małej oddzielnej izolatce i tam też zakończył swój żywot. Zanim zasnął śmiertelnym ostatnim snem, patrzył na mnie jakby mi chciał co ważnego powiedzieć. Ledwo coś zrozumiałem z jego szeptu, „abym się zajął Matką". Ciągle płacząc ścisnął mnie w pewnej chwili mocno za rękę i zasnął. Czuł chyba zbliżającą się śmierć. Zresztą dotarło do niego, zanim wywieźli go do Szpitala, ponieważ udał się z matką do znajomego lekarza do Ostrowa, a on powiedział jednoznacznie „Staszku coś ty sobie narobił, ty jesteś skończony „i z tą wiadomością pożegnał się z kolegą lekarzem. Modliłem się o zdrowie ojca i o szczęśliwy koniec, i w tej modlitwie pozostałem ,aż do momentu kiedy nad ranem o godz. 5. 25 ciężko
westchnął i był już koniec, dusza uleciała a ciało zostało.

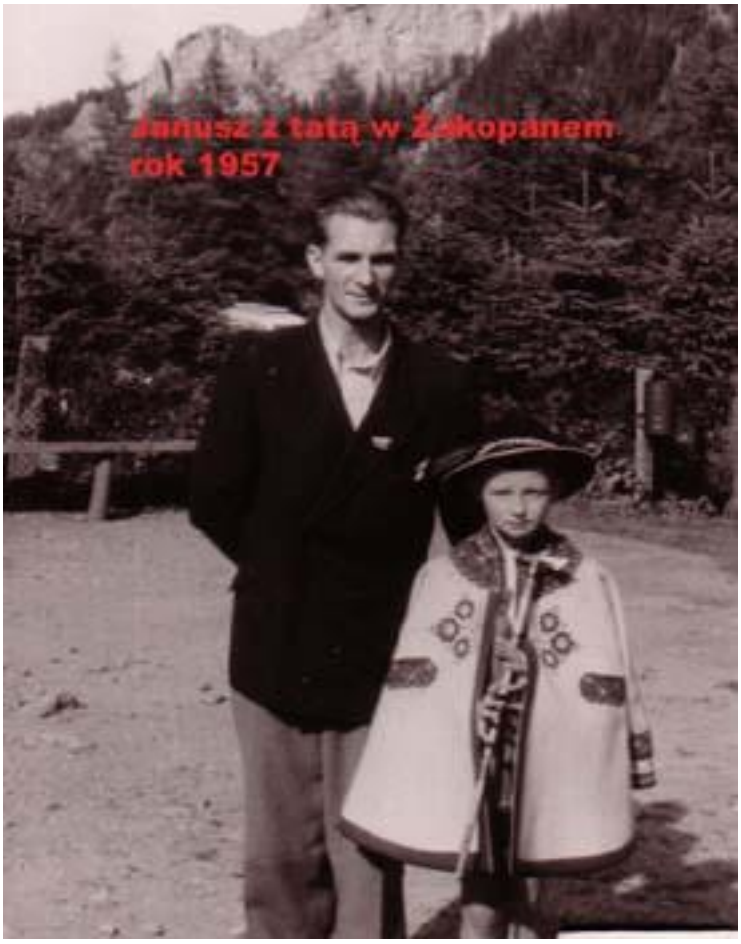

Zrozumiałem że naprawdę ojciec nie żyje. Jak oszalały wyskoczyłem ze Szpitala i pobiegłem wprost przed siebie byle gdzieś do Kościoła, aby ściągnąć na siłę księdza z posługą z Panem Jezusem i chorych namaszczeniem z olejami św. Trafiłem na Kościół i akurat szedł Ksiądz otworzyć drzwi Kościoła. Poprosiłem go aby udał się do mego konającego ojca, wiedząc że on już nie żyje. Kiedy oboje weszliśmy do tej salki, gdzie leżał mój ojciec, zastaliśmy puste łóżko a w miejscu gdzie leżał ojciec była odciśnięta wielka żółta plama mokra od potu, tego ostatniego śmiertelnego. Niesamowity widok. Ojca znaleźliśmy już w kostnicy szpitalnej, gdzie ksiądz odprawił swe modły a ja natychmiast udałem się do Administracji Szpitala gdzie poinformowano mnie, że z przewiezieniem zwłok będą kłopoty i bez plombowania trumny się nie obejdzie. Zwłoki należy ponadto przewozić specjalnym transportem i w żelaznej trumnie. Do dziś mam w oczach widok kostnicy, w której bez trumien jeszcze leżały zwłoki na kratkach ściekowych, przykrytych jedynie prześcieradłami z widocznymi gołymi nogami od przodu do wejścia.

Dopiero po odkryciu poznałem mego kochanego ojca i szczerze się wtedy popłakałem. Był przecież młody bo miał 47 lat w pełni sił mężczyzna, a umarł na taką chorobę, że nawet i dziś trudno jest leczyć tę białaczkę, że jedynie przeszczep szpiku kostnego daje pewne szanse i ratunek, lecz w tych czasach o tym się nie śniło jeszcze. Zaraz też pośpiesznie udałem się pociągiem do domu i tam z pomocą wujka, pracującego w Kaflarni zamówiliśmy Stara i razem z moim wiernym kolegą Heńkiem udaliśmy się po zwłoki- lecz już z trumną i plandeką, aby tę trumnę w drodze powrotnej przykryć.
Po przyjeździe na miejsce mimo uwag ze strony Administracji Szpitala zrobiliśmy wszystko po swojemu i na nasze ryzyko. Owinęliśmy i opasaliśmy trumnę taśmą i daliśmy pieczątkę, okrywając trumnę plandeką. Na górze obok trumny ułożyliśmy się, aby wiatr nie zwiał plandeki i tak udało nam się dojechać na miejsce. W domu była rozpacz wielka i matka często traciła przytomność. , bo dla niej właściwie utrata i śmierć ukochanego męża, i żywiciela rodziny była wielkim ciosem. Ojciec osierocił bowiem oprócz mnie, uczącą się siostrę i 12 letniego brata Janusza. Tłumy wielkie żegnały mego ojca w jego ostatniej drodze na cmentarz.
Na tzw. „stypie" nie byłem, ponieważ musiałem się skupić, aby na drugi dzień udać się do Poznania w celu zgłoszenia się na egzamin dojrzałości, zgodnie z zawiadomieniem.
W Poznaniu nie było łatwo, ponieważ był to egzamin z zakresu szkoły średniej i ze wszystkich przedmiotów, za wyjątkiem wf. W moich myślach mieszało się wszystko bo dodatkowo dochodziło napięcie i emocje związane ze śmiercią mego ukochanego ojca. Dzięki znajomym i dobrym ludziom na czas pobytu w Poznaniu otrzymałem klucze od mieszkania jakiegoś oficera wojskowego z czynnej służby, bo było chwilowo puste, ponieważ ciągle gdzieś wędrował po poligonach.
Miałem spokój i mogłem się skupić i jeszcze trochę poduczyć.
Pamiętam egzamin i pytania np. z biologii o budowie gołębia i jamochłonów, z geografii o tworzeniu się ziemi i erach geologicznych i kosmosie oraz o gospodarce Peru. Teraz sobie nieraz myślę jakież musiałem mieć doskonałe przygotowanie, które wyniosłem z Collegium OO. Franciszkanów, skoro dałem sobie doskonale radę na tak trudnym egzaminie i go zdałem, uzyskując świadectwo dojrzałości „państwowe". Po udanym egzaminie wszyscy zdający udali się do lokalu i delektowaliśmy się pamiętam wpierw kremem Marschalla a potem golonką po poznańsku z chrzanem, piwem i kiszoną kapustą gotowaną.
Szczęśliwy wróciłem do domu i mogłem już ze świadectwem „państwowym" dalej uczyć się i pracować. Zaplanowałem zresztą, że dalej będę się dokształcał.
Dostałem też list od Prefekta Seminarium O. Tadeusza z zapytaniem czy zamierzam dalej kontynuować u nich naukę i iść dalej już jako zakonnik zgodnie z powołaniem. Musiałem z bólem odpisać że ze względu na śmierć ojca i konieczność zajęcia się pozostałymi domownikami jako jedyny żywiciel rodziny, nie mogę dalej iść drogą powołania. Siostra Danuta jeszcze uczęszczała do Liceum a brat mój miał niespełna 12 lat. Smutno było w domu. Matka załamana a życie musiało się toczyć dalej bo „tempus fugit „czas ucieka jak mawiali Rzymianie.

Pracowałem już w służbie zdrowia i praca była przyjemnością i dawała mi pewną satysfakcję, jednak nie na długo, bo za rok przeniosłem się do pracy na „górkę” do Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego, późniejszego „Fumu” Zakładu produkującego sprzęgła elektromagnetyczne i luzowniki i hamulce dla przemysłu maszynowego. i na eksport do Związku Radzieckiego. Zaraz też podjąłem naukę w pomaturalnej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu na Worcella. Szkołę tę ukończyłem bez problemów i uzyskałem dyplom technika ekonomisty ze specjalnością gospodarka przedsiębiorstw przemysłowych.

Pracując w Przychodni Obwodowej w Ostrzeszowie w ramach społecznych malowałem dość wielkich rozmiarów baner z wizerunkiem Lenina do wykorzystania na frontonie Przychodni podczas pochodu 1 majowego.

Pracując w Przychodni na ul. Zamkowej a raczej Gen. Świerczewskiego z pieniędzmi na prywatne osobiste wydatki nie było problemu. Wpierw razem z kolegami odwiedzaliśmy naszą koleżankę bogatą córkę znanego dentysty, która ochoczo nas obdarowywała pieniędzmi bez żadnych zobowiązań. Potem jednak chciało się ich mieć więcej, więc mając dostęp do recept i pieczątek i recept wypisywanych na wszelki wypadek przez lekarzy „in blanco”, wybieraliśmy z kartoteki osobę posiadającą rentę i wypisywaliśmy drogie lekarstwa a następnie poprzez znajomości w Aptece realizowaliśmy je biorąc pieniądze zamiast lekarstw i dzieliliśmy się tym łupem z aptekarzem. Obie strony na tej transakcji musiały skorzystać. Był to więc ekwiwalent pieniężny za niezrealizowaną receptę i lekarstwa na niej wypisane. Niestety było to dalece nieuczciwe, ale co się nie robiło by mieć „lewe” pieniądze.

Z kierowcą karetki pogotowia i innymi kolegami z ulicy udaliśmy się kiedyś za jego namową na wiejską zabawę do Bierzowa, wioski oddalonej od Ostrzeszowa o kilkanaście kilometrów. Niestety nieodpowiedzialny kierowca nam się tak „zaprawił" że nie był w stanie jechać z powrotem a my musieliśmy rankiem w chłodny dzień spoceni iść pieszo do domu. Była to dobra zaprawa i nerwy nas roznosiły, tym bardziej, że ten samochód był do innej dyspozycji i mogła z tego wyjść awantura. Ten kierowca często był niedysponowany- delikatnie mówiąc, i jako kawaler szalał z wieloma dziewczynami i któregoś dnia rankiem miarka się przebrała i ze skutkiem natychmiastowym został zwolniony z pracy, bo zastano go kompletnie upitego wewnątrz samochodu –karetki z którą całą noc gdzieś „urzędował „. Jako komisja inwentaryzacyjna wyjeżdżaliśmy do wiejskich ośrodków zdrowia gdzie po kontroli przyjmowani byliśmy obfitymi poczęstunkami suto zakrapianymi alkoholem przez miejscowych kierowników i dlatego musiało wszystko „grać" i nie było manka.
Zdarzyło mi się kiedyś być też „niedysponowany" po kolejnych imieninach kolegi do tego stopnia że wiele nie wiedziałem co się wokół mnie dzieje. Byłem umówiony z koleżankami z pracy jako członek delegacji na wesele koleżanki, które odbywało się na wsi odległej o kilkanaście kilometrów od Ostrzeszowa.
Koleżanki, widząc mnie w takim stanie, nie miały ochoty w takim towarzystwie jechać na wesele. Pojechały więc beze mnie, mimo że im przyrzekałem że będę się „trzymał" i nie popełnię żadnego „fo-pa". Ja natomiast pojechałem następnym autobusem i dałem im przykład dobrego zachowania zgodnie z obietnicą i nie miałem na drugi dzień „kaca". Na tym weselu wiejskim byłem świadkiem bójki dwu rywali, którzy okładali się batami jeden drugiego o jakąś kobietę. Był to żałosny widok i wzbudzający litość.
Przed kolejnym pochodem 1 majowym zaplanowano wystrój całego gmachu Przychodni, więc zobowiązałem się w czynie społecznym namalować wielką planszę kolorową na płótnie z wizerunkiem Lenina. Malowidło robiło wrażenie i było tak wielkie, że malować musiałem na drabinie.
Będąc członkiem administracyjnym Komisji Lekarskiej pewnego razu lekarz zaproponował mi czy nie zechciałbym sobie pooglądać nagą kobietę podczas badania. Speszyłem się na tą propozycję, lecz ciekawość była większa niż obiekcje. Czekaliśmy oczywiście na młodą, a kiedy weszła do środka, nakazał aby się rozebrała do badania i wtedy rzeczywiście widziałem pierwszy raz nagą kobietę jak ją" Bóg stworzył". Na drugi raz wchodząc do gabinetu ginekologicznego po podpis lekarza –członka komisji trafiłem też na rozebraną kobietę ułożoną na specjalnym koźle ginekologicznym. Dla młodego człowieka były to widoki niesamowite i wzbudzały niezdrowe myśli i emocje.
Od dłuższego czasu zaczęła się mną interesować pewna starsza o wiele ode mnie koleżanka z pracy, żyjąca w początkowej separacji ze swoim mężem –kierowcą w Pogotowiu Ratunkowym. Umówiliśmy się nawet kilkakrotnie, lecz ja początkujący w sprawach sercowych i z wielkimi brakami i doświadczeniem –nie wiedziałem jak postępować z taką doświadczoną kobietą i wiele spraw jeszcze nie rozumiałem. Ona natomiast żywiła wielką nadzieję że będzie miała przygodę ze mną. Unikaliśmy jedynie spacerów w pobliżu dróg, tam gdzie mogła pojawić się karetka pogotowia w której mógłby jechać jej mąż.

Ponieważ coraz głośniej między ludźmi było o naszym „romansowaniu „, więc pośpiesznie przerwałem tę znajomość i zaniechałem tych spotkań a w końcu przeniosłem się do innej pracy.
Równolegle „romansowałem" z córką znanego adwokata. Była to bardzo uczciwa i dobra dziewczyna, notabene wychowanka sióstr Sacre Coer w Pobiedziskach koło Poznania, lecz była to krótka znajomość, ponieważ „randki" zazwyczaj odbywały się w domu w obecności jej rodziców. Rzadko byliśmy sami. A w dodatku nie bardzo udawało mi się ją okłamywać że nie mam innej dziewczyny. Następną znajomość zawarłem niemal z marszu i przypadkowo. Idąc z kolegami ulicą zaczepiliśmy trzy ładne i zgrabne dziewczyny, które na kilka dni przyjechały z Ostrowa Wlkp. do Ostrzeszowa do swych krewnych. Każdy wybrał sobie jedną, a mnie przypadła Maryla, najbardziej ułożona i spokojna dziewczyna. Była na tyle dobra i rozsądna, że nawet żywiłem z nią pewne nadzieje. Pisała do mnie często wierszem i miała piękny styl pisania. Kiedy ujrzałem jednak swoją dawną znajomość i koleżankę ponownie w mieście to od razu przestałem myśleć o swojej Maryli i zacząłem interesować się wyłącznie Krystyną. Napisałem do Maryli list przepraszający i dziękczynny za wszelkie dobro jakim mnie w tak krótkim czasie obdarzyła i za wszystkie miłe chwile spędzone razem.
Już na pierwszej randce z Krysią próbowałem ją pocałować choćby w czoło ot tak z sympatii, a ona obcesowo obeszła się ze mną wówczas i odpowiedziała „Oj kochanie z tym to nie do mnie mój drogi !". Okropnie się wtedy zawstydziłem i jeszcze bardziej zmobilizowałem się, aby tym bardziej ją zacząć zdobywać. Odprowadzając ją do siostry na pobliską ulicę powtórnie próbowałem ją wtedy pocałować i znów się nie udało. Chłopcu, chyba każdemu takie zachowanie imponuje i zarazem dopinguje go do coraz to odważniejszych poczynań w celu zdobycia serca wybranki. Postanowiłem wówczas, aby za wszelką cenę ją zdobyć. Czy tej dziewczynie zależało na mojej osobie ? Do dziś tego nie wiem. Z doświadczeń minionych razem i spędzonych chwil jeszcze z okresu Szkoły Podstawowej mogę sądzić że nie. Wiem tylko, że chyba dobrze postępowałem w przyszłości, że wreszcie przystała na moje propozycje i została moją żoną na całe życie. , bo pisząc te wspomnienia upłynęło nam razem przeszło 53 lat małżeńskiego dzielenia się troskami i radościami. Była piękną, szczupłą, atrakcyjną, wysoką, blondynką. Czego więc jeszcze więcej chcieć?. Była tak dalece szczupłą, że mogłem ją prawie oboma rękami objąć w pasie. Nie miała nigdy czasu na swoje sprawy osobiste. Pracowała do nocy w Zakładzie Fotograficznym swego ojca Franciszka, lecz po pracy, kiedy już dość długo naczekałem się, udawało nam się razem pójść na kolację do Restauracji lub na ciasto i wino do Kawiarni zwanej „Piekiełkiem".
Technikum Fototechniczne ukończyła z rewelacyjnymi i dobrymi ocenami i dobrym świadectwem dojrzałości. W szkole musiała wiele razy jako praktyk fotograf dawać lekcje pokazowe w swoim fachu. Na koniec nie miał kto wykonać tabla, a wszystkie zdjęcia przekazano Krystynie, lecz po rozjechaniu się do domów, sprawa stała się z biegiem czasu nieaktualna.
W Technikum wszyscy obowiązkowo musieli w ramach programu uczestniczyć w spektaklach teatralnych i operowych, czy też w koncertach muzycznych w Filharmonii. Zorganizowali też naukę prawa jazdy, a Krystyna mimo że je uzyskała w roku 1962 to na dobre jeszcze nie zasiadła za kierownicą pojazdu, aby samodzielnie kierować samochodem.

Zrażona kilkakrotnie jazdą kontrolną problemy i kompleksy przerastały chęci prowadzenia pojazdu. Któregoś dnia odwiedził ją kolega szkolny z Katowic na swoim motorowerze.
Już pierwsza jazda Krystyny zakończyła się uderzeniem nomen omen w okno wystawne z trumnami na sąsiedniej ulicy. To jeszcze bardziej wprawiło ją w kompleksy i przesądy. Mając lęk przestrzeni od dziecka tj. od chwili, gdy całkiem maleńką wrzucono ją przypadkowo do wody na basenie kąpielowym i dlatego też nie można się dziwić że ma całe życie problemy w tej dziedzinie. Często wydaje jej się że jadąc ulicą nie zmieści się obok przejeżdżającego z drugiej strony pojazdu. Pewnego razu nie mając prawa jazdy i żadnego doświadczenia w prowadzeniu pojazdów, za namową kolegów wsiadłem po wypiciu kilku kieliszków wina na motocykl. Nie upewniłem się gdzie jest sprzęgło, hamulec i jakie czynności należy wykonać aby się zatrzymać, ruszyłem w drogę na pełnym gazie „podwójnym". W jednej chwili znalazłem się w opałach i ogarnięty strachem zbliżałem się nieuchronnie do bardzo ruchliwej „autostrady poznańskiej", zapominając, gdzie jest hamulec czy gaz. Musiałem jak widać z woli Bożej jeszcze żyć, bo kiedy minąłem ową ruchliwą arterię, nagle poczułem, że powoli wytracam prędkość i pojazd zwalnia bieg. Mimo jednak, że szumiało mi wino w mojej głupiej głowie, modliłem się po drodze i udało się, i jak tu potem nie mówić „Dzięki Bogu".

10. Moje zaloty i odwiedziny Krystyny w jej domu na Targowej. Sport i rozrywka w moim życiu w tym okresie. Praca Krysi u ojca. Ślub. Ucieczka z domu rodzinnego na Śląsk.

Zanim na dobre zacząłem z moją Krysią „chodzić" próbowałem innych znajomości, lecz były to z reguły przelotne i krótkotrwałe. Zaimponowałem swej Krystynie, odwiedzając ją w czasie kiedy leżała w Szpitalu chora lub na obserwacji na nerki. Zaskoczona była wielce, ponieważ nie spodziewała się tej mojej wizyty.
Kiedy byłem obłożnie chory i leżałem w domu, odważyła się niejako w rewanżu, odwiedzić mnie i przyniosła ponadto przez siebie wykonaną kopię powiększenie zdjęcia mojego ojca, oprawione oraz portret ślubny moich rodziców z czasów okupacji, wykonane solidnie i precyzyjnie z małego zdjęcia. Były to dowody nie tylko rewanżu, ale też zwiększonego wzajemnego zainteresowania się. Momenty te były przypieczętowaniem początku trwałej znajomości z tą osobą. . Od tego momentu myśli moje przestawiły się na dobre w stronę Krystyny i odtąd spotykaliśmy się prawie codziennie, niestety ku wielkiemu niezadowoleniu jej ojca Franciszka. Planował bowiem dla niej innego bardziej pasującego do jego usposobienia człowieka, ze wszystkimi złymi nawykami i charakterem, który byłby w przyszłości jego kumplem do wszystkiego. Jako stary wdowiec, miał wiele niedobrych przyzwyczajeń i chętnie zaglądał do kieliszka, a ja natomiast unikałem picia i poważnie traktowałem znajomość z moją dawną od lat obserwowaną koleżanką. Kiedy zaplanowałem oświadczyny, znów były nieporozumienia, a kwiaty wnosiłem do domu w torbie w ukryciu, natomiast wręczony koniak przyszłemu teściowi nie został przyjęty. Zrozumiałem, że jestem po prostu "persona non grata" w tym domu.

Zaangażowanie i szczera chęć kontynuowania znajomości ze mną ze strony Krystyny, przezwyciężały te trudności i upokorzenia. Matka po śmierci swego nieodżałowanego męża i mojego ojca Stanisława nie mogła się „pozbierać" w nowej rzeczywistości. Sama nie pracowała i otrzymała bardzo niską rentę rodzinną. Moje zarobki prawie wszystkie oddawałem matce, by mogła utrzymać dom i się wyżywić.
Pewnego dnia a raczej wieczoru, jak zwykle codziennie odwiedzała grób swego męża na cmentarzu i niefortunnie upadając na sąsiedni grób, uderzyła się w głowę o jego róg i natychmiast cała zalała się krwią. Nie namyślając się dłużej, otarła głowę fartuchem i biegiem udała się do Szpitala przebiegając przez sąsiadów ogrody i pola na skróty. Dopiero na progu Szpitala straciła przytomność z upływu krwi. Po opatrunku, ogoleniu głowy i szyciu, wróciła do domu, szczęśliwa, bo mogło być gorzej a nawet tragicznie. Tak zresztą zawsze się pocieszała w trudnych dla niej momentach. Upływ krwi był tak duży, że często potem mówiła, że wypadek ten spowodował, iż wysokie ciśnienie na które od dawna chorowała unormowało się od tego momentu i odtąd z tym ciśnieniem nie miała problemu.
W tym okresie mojego życia uprawiałem różne sporty w miejscowym Klubie Sportowym Piast, ale przede wszystkim intensywnie uprawiałem grę w piłkę siatkową
Byłem jak zwykle w sportach, wyróżniającym się zawodnikiem. W wielu rozgrywkach po całym województwie doprowadziliśmy drużynę do III ligi, lecz na krótko, bo potem wyjechałem z Ostrzeszowa na Śląsk. Była kiedyś taka sytuacja, że prawie do rana po dancingu ze swą dziewczyną nie byłem w stanie cokolwiek robić, bo nawet umysł nie był sprawny a na drugi dzień całkiem rano umówiony byłem na wyjazd na kolejny mecz piłki siatkowej. A niestety beze mnie nie mógł się on odbyć. Nie udało się kolegom wyciągnąć mnie z łóżka rano, więc pojechali sami, a honor zespołu musiał ratować trener, który jako szósty zagrał w meczu. bo byłby walkower dla zespołu.

W pochodzie 1 majowym maszeruję z flagą klubową z prawej strony ,a pochód prowadzi Andrzej Modrzewski , w głębi prezesi klubu sportowego" Piast" i działacze.

Spacery tzw, „randki" z Krystyną odbywaliśmy głównie na poboczu „autostrady" nie bardzo ruchliwej w owym czasie arterii miejskiej bo samochodów wówczas nie było za wiele. Randkowaliśmy również alejkami spacerowymi w lasku klasztornym lub w samej okolicy Klasztoru. Ilekroć całowaliśmy się namiętnie, spacerując alejkami, to przejeżdżający kierowcy z zazdrości używali klaksonów swoich aut. Były to dla nas bardzo przyjemne i niezapomniane chwile bo szczerze kochaliśmy się niezakłamaną miłością wzajemną i już wtenczas na poważnie.

Z tych czasów pamiętam nasze fajfy, zabawy i dancingi, zawsze przy doskonałej kapeli o której już wspominałem a więc: Włodka Rejmoniaka, Wiśniewskiego klarnecisty, Julka Kurzawy, Mietka Organiściaka czy Cześka Bojszczaka znanego potem barda i malarza i wielkiego ekscentryka ostrzeszowskiego środowiska artystycznego. Zabawy ponadto odbywały się w Domu Działkowca na miejscowych ogródkach działkowych przy Fabryce Chemicznej „Biolabor" lub na wyznaczonych placach miejskich w tym kilkakrotnie na ogródkach im. Walentego Dymka, gdzie były korty tenisowe i Przedszkole.
Tuż po oświadczynach a jeszcze na kilka miesięcy przed zaplanowanym ślubem, udaliśmy się wraz z Krystyna do panienki częstochowskiej, do Częstochowy, aby Jej polecić i przyrzec, że w przyszłości będziemy razem, aby nam błogosławiła w naszej dalszej wspólnej drodze życiowej. Było to bardzo wzruszające i emocjonujące wydarzenie, ponieważ było autentyczne, spontaniczne, prawdziwe i szczere. Po drodze, przesiadając się w Wieluniu, urządziliśmy sobie przejażdżkę autentyczną bryczką konną przez całe miasto. Było to bardzo romantyczne przedsięwzięcie, ale czego się nie robi dla miłości jak brzmi któraś ze znanych piosenek Jaremy Stempowskiego. Nie miałem co ukrywać przed tą osobą, ponieważ nic szczególnego i poważnego nie wydarzyło się z innymi przygodnymi znajomościami, zanim na poważnie o Krystynie pomyślałem.
Po mieście tak małym jakim był Ostrzeszów, krążyły ustawicznie przeróżne plotki i niedomówienia o mnie i trudno mi było niejednokrotnie oczyścić się i wybronić z tych pomówień. Pewnego razu spotkał nas idących razem nasz wspólny kolega Zdzichu i w żartach. lecz z całkiem poważną miną ostrzegł Krystynę, że powinna bardziej uważać na mnie, bo widzi mnie ciągle romansującego z innymi dziewczynami i dlatego jestem bardzo niebezpieczny.

To podziałało na moją Krystynę jak przysłowiowa „płachta na byka” i były w związku z tym liczne niedomówienia a nawet nieporozumienia, , zanim wytłumaczyłem swoją niewinność i szczere zamiary wobec Krystyny.
W pracy” na górce” tzn. W Ostrzeszowskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego bo tak potocznie mówiono, było ciekawie i interesująco, . Starsi moi koledzy pracowali w różnych technicznych działach a ja wpierw zatrudniony w biurze, w księgowości, w Dziale Gł. Mechanika i Gł. Technologa, w Dziale Normowania Pracy, często zaglądałem w proces technologiczny, bo był wielce dla mnie ciekawy. Eksperymentalny i doświadczalny proces produkcji sprzęgieł elektromagnetycznych, hamulców i luzowników. Zapoznawszy się z tym procesem, z obróbką skrawaniem i cieplną obróbką chemiczną tzw. galwanotechniką coraz bardziej wciągała mnie ta praca.
Wszystkie problemy zakładu były udziałem nas pracujących w tym początkującym i raczkującym zakładzie na tym terenie. Wyrósł on później na czołowy zakład produkcyjny w okolicy i w kraju z produkcją wyłącznie na rynek rosyjski w ramach RWPG. Kiedy upadł „sojuz nieruszymyj” i „siadła „produkcja na eksport w „Fumie” to zakład chylił się ku upadkowi, w rezultacie dziś niewiele z tej świetności pozostało. Po prostu strzępy dawnego giganta.
Odwiedzaliśmy się wzajemnie często i poznawaliśmy się, mimo że od dziecka znaliśmy się. Zdecydowaliśmy się w końcu pobrać i wyznaczyliśmy sobie termin ślubu na ostatni dzień roku 1964. Wyjechaliśmy do Bytomia po garnitur i przy okazji odwiedziliśmy siostrę Krystyny Irenę w jej mieszkaniu w Wirku czyli Rudzie Śl. 10
Byli to wielce życzliwi dla nas ludzie, gotowi i chętni do daleko idącej pomocy w każdej potrzebie zarówno ze strony jej męża Stanisława jak i ze strony Ireny. Tam też wiele rzeczy omówiliśmy, związanych głównie z przyszłym przyjęciem weselnym.
Wreszcie nadszedł ten wielki dla nas dzień. Ojciec jak wspomniałem nie był z tego związku zadowolony i w różny sposób okazywał tę swoją dezaprobatę. Ceremonia ślubna wpierw jak zwykle odbyła się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Ratuszu w Ostrzeszowie, a potem w kościele farnym. Świadkami naszymi na obu tych uroczystościach byli: mój wierny od lat kolega Heniek Jonaczyk jako wojskowy, bo w tym czasie odbywał akurat służbę wojskową oraz szwagier mąż najstarszej siostry Krysi Mieci Czesiek Niesobski.
W tym dniu mimo zimy ulewa przygniatała nas do ziemi a parasolka była trudna do utrzymania w ręku. Wesele odbyło się w niewielkim gronie w Zakładzie Fotograficznym ojca na Targowej.

Jednak już na drugi dzień były nieporozumienia i zgrzyty ze strony teścia, który ciągle był nie pogodzony z tym stanem rzeczy. Robił swej córce wymówki, był złośliwy i wrogo nastawiony. Ilekroć przygotowaliśmy mu posiłek, to o ile był przykryty, aby nie wysechł, to nawet go nie odkrył. Matka moja jak zwykle dobroduszna i pełna poświęcenia przynosiła nam osobiście dziennie posiłki do Zakładu, zawsze świeże dania obiadowe.
Żona w tajemniczy sposób przed swym ojcem dawała zawsze jakieś napiwki mojej matce jako zapłatę za te usługi. Pieniędzy zresztą było zawsze mało, Brat mój Janusz chodził jeszcze do szkoły i należało go też utrzymywać.
Krystyna wyjątkowo dobrze radziła sobie w swym wyuczonym zawodzie w Zakładzie ojca FOTO FEIGE. Była tak dobra, że klienci ciągle pytali się o „tę młodą" bo chcieli aby ona wykonywała im zdjęcia, bo są „nowoczesne" i ze względu na proponowane modne pozycje i ujęcia, jak i ze względu na oświetlenie i oryginalne tła w kompozycjach i ujęciach atelierowych. Doskonale retuszowała, bo dawniej w technice fotograficznej ta robota była najważniejsza i wymagająca znajomości ciała jak i dużej precyzji wykonania. Była to ciężka i bardzo żmudna i mozolna praca siedząca. Ilekroć pytali o nią klienci, ojciec odpowiadał ze złością „że jej nie ma w domu". W Zakładzie tym również pracowała najstarsza siostra żony Mieczysława, lecz mając swoje dzieci i męża i ogród i dom mniej zajmowała się Zakładem w tym okresie, oddając inicjatywę młodszej o wiele siostrze Krystynie. Ojciec Franciszek nadal nie zmieniał swego nastawienia do młodych i nawet rozpuszczał pieniądze na lewo i na prawo, a pracownice musiały zdjęcia wykonywać „za darmo". O ile były potrzebne pieniądze to zdobywano je podstępnie.

Na domiar złego ojciec Krystyny nieraz potrafił uderzyć moją żonę za byle jakieś niedociągnięcia w pracy lub w domu. Żona moja ukrywając przede mną te niemiłe zdarzenia, przejmowała się, bo była ambitna i pracowita. Śniła często po nocach i budziła się z płaczem. Z pewnością w snach powtarzały się te zdarzenia i była taka reakcja. Było więc nie do wytrzymania. Pracy i wymagań dużo a satysfakcji, zadowolenia i podziękowania ani za grosz ze strony tego niedobrego człowieka. Po latach wspomina, że nie było tak źle z tym ojcem i nieraz miał chwile dobrego i przyjaznego uniesienia i dlatego że tych momentów było mało, więc z gruntu rzeczy to pamięta się w sposób szczególny.
Pewnego razu podczas pobytu w Ostrzeszowie wujka Vogla z Nowego Tomyśla i zawsze kochanej siostry Ireny ze Śląska mój teść wywołał kolejną awanturę w domu a powodem znów była jakaś błahostka i pewne niedociągnięcie w pracy, bo porządku wielkiego wymagał a sam nic nie robił w domu i nie dawał dobrego przykładu.
Wujek rzadki i wyjątkowy gość w tym domu zdziwiony tą nagłą zmianą atmosfery i gwałtownością teścia, przygarnął żonę do swego serca jak dziecko i wypowiedział myśl i konstatację, która utkwiła nam na całe życie i nieraz jest powielana we wspomnieniach przez moją żonę, a mianowicie :"Dziecko moje drogie, zawsze myślałem że nie mając rodziców jest się nieszczęśliwym bo wcześniej ich straciłem, ale nigdy nie przypuszczałem że mając ojca można być jeszcze bardziej nieszczęśliwy i tak poniżony". Ten fakt jeszcze bardziej zdecydował żeby wyjechać z tego domu gdzieś w nieznane i uciec od tego złego człowieka.
Ze względu na podłość zachowania i doznane przykrości wobec mojej osoby oraz wobec mojej żony nie będę się rozpisywał, bo z pewnością większość nie uwierzyłaby w to co piszę .

I tak oto minęło „Moje dzieciństwo i młodość w Ostrzeszowie". Niespodziewany przymusowy i nagły nasz wyjazd –ucieczka z domu rodzinnego na Śląsk przerwał to beztroskie, sielskie-anielskie życie w tym mieście.
Zaczęły się obowiązki małżeńskie i rodzicielskie i życie na serio. Życie biegnie „tempus fugit" i nie da się go zatrzymać Zegar czasu nieubłagalnie „chodzi" do przodu.
Żyję sobie szczęśliwie na Śląsku Opolskim wspólnie z tą samą żoną Krystyną, z tą samą dziewczyną z dużą białą kokardą we włosach z piaskownicy Ochronki SS. Nazaretanek z Ostrzeszowa.
Mamy dwójkę dzieci: Iwonę i Tomasza, którzy mają po dwoje dzieci a naszych wnuków: Aleksandrę, Mikołaja, Anię i Pawła.
Obecnie jesteśmy na emeryturze, ja po przepracowaniu 41 lat w elektrowni Blachownia, natomiast żona Krystyna w Biurze Projektów przy Zakładach Azotowych w Kędzierzynie Koźlu.
Mimo że upłynęło od tamtych ostrzeszowskich lat wiele czasu, to często wraca się myślami do przeszłości i ilekroć odwiedzam to urocze miasteczko Południowej Wielkopolski to nostalgia pobudza wspomnienia i powoduje że wzruszam się i tęsknię. Wzruszenia powodują że wrażeniami i wspomnieniami chcę się podzielić z czytelnikami.
O ile pobudzę w Was estetyczne wspomnienia i emocje to będzie to moją wielką satysfakcją i dumą.

Kemkon.prv.pl

MOJE MIASTO NIE Z WYBORU

Moje miasto nie z wyboru **Kędzierzyn** –**Miasto Możliwości** pełne specyficznego uroku, zieleni, betonów i rozświetlone nocą. I choć zapachy drażnią moje nozdrza na drugi dzień spłukane rzęsistym deszczem a zza chmur wyglądające słońce oczyszcza powietrze powodując, że w tym mieście chce się żyć .
W mieszkaniu trzypokojowym ,zamkniętym w betonach wysokich „Boninów" żyję wraz z moją kędzierzyńską rodziną szczęśliwie i bezpiecznie już pół wieku.
Pewnie przyjdzie cza ,że swe kości złożę na Kuźniczkach w moim mieście nie z wyboru.
Dzieci urodzone tutaj dawno ,już wyszły z domu a my zostaliśmy z żoną we dwoje sami.
Kędzierzyn- Miasto Możliwości udowadnia swoją nazwę , ponieważ cała nasza rodzina od lat związana była i jest z tym miastem, pracując, ucząc się na miejscu.
Jeżeli studia pokończyliśmy w Opolu, w Gliwicach , czy w Katowicach to wróciliśmy do pracy w Kędzierzynie Koźlu .
Odgłosy, stuki, wszechogarniający śmiech i krzyki dzieci między blokami uświadamiają nam że żyjemy w wielkiej aglomeracji osiedlowej w moim mieście.
Był listopad roku 1966 kiedy pierwszy raz zobaczyłem to moje miasto przyszłości.
Pociągiem z przesiadką w Gliwicach dotarłem do Kędzierzyna, w tych latach jeszcze nie połączonego z Koźlem.
Dworzec duży z wieloma peronami i okazałymi zabudowaniami , pamiętającymi lata dwudzieste- przedwojenne.
Jesienny, dżdżysty listopad nie nastrajał gościa optymistycznie.
Po zwiedzeniu kilku ulic w obrębie dworca ,skorzystałem z posiłku w barze „Górniczy" i miejscowej hali sportowej udałem się do Elektrowni Blachownia. Okazało się że dotarcie do niej było nie lada sztuką, zważywszy na fakt że w tych latach jedynie PKS i transport zakładowy pozwalał na przewóz do tego miejsca.
Wsiadłem więc z powrotem do pociągu i wysiadłem na stacji Blachownia, bo tam już było widać dymiące trzy kominy Elektrowni. Czwarty ten najwyższy nie „kopcił" ponieważ był w budowie.
Na zaimprowizowanym przystanku stacyjnym wysiadłem, ale do Elektrowni nie można było z tego miejsca się dostać, bo nie było wtedy przejścia z Zakładów Chemicznych do Elektrowni, więc wsiadłem znów do pociągu jadącego w kierunku Gliwic i wysiadłem na stacji Sławięcice, a stamtąd pokonując dość długą trasę, obok ruin obozu koncentracyjnego filii obozu Auschwitz ,natrafiłem na przystanek PKSu, który podrzucił mnie w pobliże Elektrowni.
Praca w budującej się wówczas Elektrowni a raczej Elektrociepłowni i „mieszkanie resortowe" w Kędzierzynie dopełniła szczęścia i spełnienia naszych marzeń.
Wcześniej w Pawilonach Leśnych Instytutu Spawalnictwa w Sławięcicach mieszkaliśmy przez rok.

Bliskość Elektrowni dała o sobie znać już pierwszej nocy,/ kiedy to przybyliśmy z Hajduk z" familoków" należących do Huty Batory,/ głośnym , przerażającym „alarmem" . w piżamie wyskoczyłem „jak oparzony" z ciepłych pieleszy i złowrogi, ogłuszający hałas przestraszył mnie „do szpiku kości".
Czy to wojna, czy koniec świata? Okazało się, że w tym miejscu to zwyczajne zjawisko niemal codzienne, kiedy to Elektrownia, nie posiadająca wtedy urządzeń tłumiących wylot pary/ wydmuchy/ uwalniając parę w powietrze przy awarii lub uruchomieniu, dawała mieszkańcom o sobie znać.

Uspokojony, wróciłem na swoje posłanie, a hałas po chwili umilkł.
Jedynym sposobem dostania się do Elektrowni ze Sławięcic był kursowy PKS, albo zakładowa „stonka" czyli Star 20 z plandeką i ławami na" pace".
Miasto Kędzierzyn przypominało wówczas wielki plac budowy, podobnie jak moja Blachowniańska Elektrociepłownia.

Prace społeczne w Elektrowni Blachownia

W kilku miejscach rosły „jak na drożdżach" nowe bloki. Ulica Wojska Polskiego rozkopana. Nie było jeszcze ani Hali Sportowej ani Krytej Pływalni.
Pierwsze mieszkanie „resortowe" otrzymaliśmy w świeżo co ukończonym bloku na ulicy Wojska Polskiego 52 d /10 na 3 piętrze. Not u ani Policji jeszcze w tych latach jeszcze nie było. Vis a vis budował się blok elektrowniany.

Bloki na ulicy Wojska Polskiego

Po kilku latach bez problemu zamieniliśmy mieszkanie w nowopowstałym „Boninie” przy ulicy 9 maja 1. Wokół bloku chaos, piasek ,odłamki betonu i topole wysmukłe, wysokie. Pracę żona dostała niemal „z kopyta” w Biurze Projektowo Konstrukcyjnym Zakładów Azotowych.
Jest rok 1968 październik . W miejscowym Szpitalu na Judyma rodzi się nasz syn. Rodzinka w komplecie.

Na zdjęciach niżej:
Dzieci i personel Żłobka w Kędzierzynie oraz dzieci w Przedszkolu Miejskim

Dzieci uczą się w Szkole Podstawowej Nr. 9, potem w Liceum w Kędzierzynie i w Sławięcicach, a po studiach wracają do Kędzierzyna i do dziś tutaj pracują.

Rodzą się wnuki, które wzorem swoich rodziców tutaj chodzą do Przedszkoli, do tej samej Szkoły Podstawowej Nr. 9 a na naukę pływania do Krytej Pływalni, która wybudowana została w latach 70 tych, w ramach budowy Elektrociepłowni Blachownia IV. Wnuki idą w ślad swoich rodziców uprawiając pływanie, a aktualnie w woj. Opolskim w okręgu na poszczególnych dystansach są najlepsi i ciągle „biją” rekordy życiowe i okręgowe

Na Krytej Pływalni/lata 70 te/ na apelu na początek nowego roku szkolnego w 9 tce Zieleń w Kędzierzynie Koźlu z lotu ptaka

Niemal od początku istnienia Pływalni udzielaliśmy się wraz z żoną jako sędziowie pływania a od 30 lat jesteśmy sędziami klasy związkowej.
W latach 70 tych wspólnie z kolegami miłośnikami motoryzacji założyłem wpierw Koło Automobilklubu Opolskiego przy Elektrowni Blachownia , a następnie Automobilklubu Kędzierzyńsko Kozielskiego, w którym jestem do tej pory jako aktywny działacz i organizator sportu samochodowego w nawigacji. Jestem współorganizatorem 67 rajdów nawigacyjnych samochodowych.
Od lat 70 tych jestem tez członkiem Zarządu Ogrodu Działkowego „Energetyk”. Byłem też przez kilka kadencji z-ca prezesa tego Ogrodu.
W latach 70 tych, kiedy powstała komunikacja miejska, mogłem bez przygód i stresu dojechać do pracy. Nie tylko PKS owskie rejsowe kursy przewoziły pracowników, ale miejskim też można było dostać się do pracy.
Do momentu przejścia na emeryturę, po przepracowaniu 42 lat ,pracowałem w Elektrowni Blachownia, która w latach 60 pracowała na maksimum swojej mocy czyli produkowała 415 MW energii i ciepło dla sąsiednich Zakładów Chemicznych.
W latach 60 tych w Kędzierzynie powstały osiedla XXV lecia czyli te na którym obecnie mieszkamy.
W latach 80 tych budownictwo przeniosło się za lasek po drugiej stronie Alei Lisa i w latach 90 tych powstało osiedle Piastów, Powstańców aż do ulicy Królowej Jadwigi i prawie do śluzy na Kanale Gliwickim

.
Lasek przyosiedlowy kiedyś a obok ulica wojska Polskiego i bloki w których mieszkaliśmy w latach 60 tych, niżej uroczystość Św. Mikołaja w hali sportowej a obok rodzinka na placu zabaw w lasku przyosiedlowym.

Chór „Cantabile" z lat 90 tych

Pięknieje to" moje miasto nie z wyboru" „Miasto Możliwości".
Połączone w latach 70 tych z sąsiednimi osiedlami i miastem Koźle stało się wielką aglomeracją miejską. Powstała sieć komunikacji miejskiej, Hala Sportowa jedna i druga, Pływalnia, banki, markety wielkowymiarowe, „orliki" ,lodowiska i skatparki . Pięknieją ulice, place, chodniki a ostatnio miasto wzbogacają liczne ronda a wcześniej obwodnice miejskie, które rozładowały transport z pominięciem Kędzierzyna.

Żona w pracy w Biurze Projektowo Konstrukcyjnym w Zakładach Azotowych
A obok stoję przed Elektrownią Blachownia w której przepracowałem prawie 40 lat

Mój Bonin przy ulicy 9 maja a niżej Pływalnia w Kędzierzynie Koźlu

Powstają też piękne i okazałe kościoły na Pogorzelcu, na Piastach , w Azotach i Blachowni, a także odnowiony stary kościół w Koźlu, okazała galeria „Odrzańskie Ogrody” wzbogaciły architekturę miejską.
Miałem okazję podziwiać moje miasto z balkonu 10 tego piętra wieżowca. Byłem pełen zachwytu i upajałem się widokiem miasta, zwracając szczególną uwagę na otaczającą roślinność i soczystą zieleń i całe rozlewisko Odry i Kłodnicy.

Gęste zadrzewienie i korony drzew zasłaniały niejednokrotnie zabudowania , place i ulice.
Plany są obiecujące, bo przewiduje się budowę kolejnej obwodnicy północnej do Ujazdu, oraz budowę wielkiego kompleksu rekreacyjnego przy nowej hali sportowej, łącznie z bogato wyposażonym Aguaparkiem. Na Osiedlu Piastów natomiast na istniejącym kompleksie rekreacyjnym planuje się budowę tężni solnej.
Dobrze, spokojnie i pewnie żyje się w „Mieście Możliwości" czego dowodem jest wiersz ułożony przeze mnie.

Kędzierzyn- miasto możliwości

Kędzierzyn- moje miasto możliwości
Jest dla mnie domem, religią, miłością
Pięknieje i na ogół ma się dobrze,
Sukcesy w przemyśle widać na co dzień

Dobrze się tu czuję, nie tęsknię za innym
Dzieci tu wzrastały, zdrowe wnuki są
Gościem byłem, a teraz domownikiem
Wielkie blokowiska nie straszą pustką.

Oaza spokoju na pustyni zła,
Którego graffiti na murach straszą
Jest tu radośnie, sielsko i ciekawie
Chce się tu żyć i swą przyszłość tworzyć

Do Koźla przytulone jednością jest
Z Koźlem związany na dobre i złe
Pionier przemysłu w opolskim regionie
Chemia jest wszędzie, bo możliwości ma

Miasto możliwości na pracę i cud
Zaskakuje nowymi pomysłami
Jest barwne, choć bloki z betonu stoją
Zielenią utkane, wokół pełno wód

Miasto możliwości, wciąż bliżej Unii
Dotacją unijną wzrastać powinno
Niech rozwija się ku uciesze ludzi,
Miasto możliwości- to Kędzierzyn mój

Przekomarzały się miejskie kuranty

Jeden zegar na wieży kościelnej u Św. Mikołaja ustawiony wybija godziny od przeszło stu lat. Tak wesoło chwali się ze swej punktualności i przez te sto lat radośnie oznajmia o swoim istnieniu i o swojej ważności.
Wysoko niemal u podnóża szczytu wieży jego tarcza z cyferkami bieli się z daleka a wyrzeźbione kunsztownie wskazówki ta mała godzinowa i ta chuda dłuższa minutowa popychane ukrytym mechanizmem z trybikami, wskazywały ludziom czas i dawały do myślenia że czas szybko upływa i koniec świata bliski ”*Tempus fugit”* mawiali Rzymianie to znaczy „*czas ucieka”* a potem dodawali jeszcze „*carpe diem”* to znaczy że należy dzień wykorzystać, bo czas upływa. A inni jeszcze mówili „*na zegarze czas ucieka, wieczność czeka na człowieka”* Papież nasz ukochany Jan Paweł II pisząc swoje wspomnienia też zwrócił uwagę na ów napis, który widniał na słonecznym zegarze kościółka w Wadowicach, na ścianie vis a vis domu , w którym mieszkał przez wiele lat i uświadamiał temu wielkiemu człowiekowi o tej mądrej prawdzie.

Widziałem pewnego razu, że dowcipna jak zwykle sroka usilnie chciała na kościelnym zegarze czas zatrzymać i siadała na jego wielkich wskazówkach. Zegar zaś nic sobie z tych jej wyczynów nie robił i dalej chodził jak za dawnych lat. Tylko , kiedy zegarmistrz go systematycznie sprawdzał i konserwował na chwilę przerywał swoją pracę i był mu wdzięczny, by potem jeszcze radośniej dawać o sobie ludziom znać, że chodzi i ma się dobrze. Był dumny, że jako jedyny w okolicy panuje i jest bardzo ważnym urządzeniem.
Jego dokładna, niezawodna i sumienna praca sprawiała, że wszyscy w okolicy, według jego bicia ustawiali sobie na ręce oraz w domu swoje zegary. Nawet w urzędach i na kolei zegary ustawiali.

Po wielu latach a może nawet kilkudziesięciu radcy miejscy uchwalili, że na swoim Ratuszu, też ma być podobny zegar. Ratusz zaś stał niedaleko kościoła pw. Św. Mikołaja, może ze 150 kroków nie więcej.

Aby jeszcze bardziej skłócić ze sobą te dwa zegary i aby z zazdrością mogły na siebie spoglądać , patrząc sobie prosto w oczy, radcy postanowili zwrócić jego lico czyli tak zwany cyferblat w kierunku tego na wieży kościelnej. Od tej chwili ten nowy zaczął też wybijać swoje godziny. Dźwięk jego bicia jest inny i bije wyższymi tonami, ale za to jest równie piękny i donośny jak ten stary. Od niedawna chwali się południowym miejskim hejnałem, ułożonym specjalnie dla niego, a ten kościelny jak przed latami bije na „Anioł Pański" . Tylko na jego znak i dźwięk ludzie pobożni, tak jak Ślązacy wstrzymują prace i modlą się do swej niebieskiej Matki i chwalą Ją właśnie modlitwą na „Anioł Pański", modlitwą najstarszą tą ze „zdrowaśkami".
Już nie jest sam w naszym mieście, bo ma rywalizującego młodszego świeckiego brata. Prawie nigdy nie zdarzyło się, by biły one równocześnie. Tak jak nigdy nie ma równoczesnych i takich samych zdarzeń na świecie. Ani też nie ma takich samych ludzi na świecie. Wiedzieli o tym już Rzymianie, kiedy mówili: "Similis simili gaudet" podobnego cieszy podobny. ale tylko podobnego ale nie takiego samego. Wszystko zachodzi jedno po drugim według boskiego zamysłu i porządku.
Młodszy brat zatem ma też tarczę cyferblatową białą i jest większy z pięknie wycyzelowanymi cyferkami i czarnymi ozdobnymi wskazówkami. Widziałem też, że na nim wrony siadały i ludzie miejscowi mówili, że jest niedokładny, „bo go wrony pociskają" . Oba zegary wyniośle tkwią na swoich miejscach i chwalą się swoim specyficznym i odmiennym brzmieniem. Szkoda tylko, że hejnał nie grany jest przez trębacza na trąbce, a podawany jest z taśmy. I tak z oboma zegarami, które ustawicznie biją, kłócąc się między sobą jest radośnie i wesoło w tym zakątku miasta.

Kiedy je słychać to każdy z nas uświadamia sobie, że miasto żyje a my razem z nim i w nim. „Tempora mutantur, nos et mutamur in illis czasy się zmieniają a my razem z nimi albo razem w nich. mawiali Rzymianie. Mieszkam pod lasem a raczej parkiem leśnym między -osiedlowym w wysokich a może najwyższych blokach a i tam można niekiedy usłyszeć jego hejnał a nieraz bicie. Na „Anioł Pański biją dzwony" i właśnie one przychodzą zegarowi na wieży kościelnej z pomocą, aby ludziom głośniej oznajmić południe. Każdą godzinę na obu zegarach dzielą kuranty na kwadranse: w pierwszym biją raz, w drugim dwa razy, w trzecim trzykrotnie, by w pełnej godzinie wybrzmieć czterokrotnie a potem oznajmić ilością bić swoją aktualną godzinę. Jeden bije niższymi a drugi wyższymi tonami. Jak ten na kościele jako pierwszy wydaje swój dźwięk, to ten na Ratuszu po chwili z niewielką zwłoką mu odpowiada. Zdaje się wtedy, że się kłócą a ja Wam mówię że gadają i można by się w tej materii spierać, ale i tak ze sobą gadają.
Było to ćwierć wieku temu.Chorobą złożony leżę sobie w szpitalu, który obok kościoła stoi i patrzę w okno duże przeszklone i widzę tego na Ratuszu a słyszę oba gadające zegary. Jest wtedy radośnie, ale ciągle mi przypominają, że „tempus fugit" czas ucieka, bo znów przez okno mogę z woli bożej oglądać ten świat i że pozwolił mi wrócić do zdrowia, dzięki wiedzy i mądrości w jakie On wyposażył dobrych ludzi w białych fartuchach.
Drzewa jeszcze się nie zielenią, a już wiosna przyszła. Ziemia jest jeszcze spowita warstwą śniegu. Drzewa ogołocone z liści zielonych , pozwalają mi dość dokładnie widzieć ratuszowy zegar, a nawet jego wskazówki i cały cyferblat. W tej chwili właśnie znów zaczęły obaj ze sobą gadać i naturalnie jak zwykle ten na kościele św. Mikołaja rozpoczął rozmowę i jako pierwszy się chwali, by po chwili ten na Ratuszu mu odpowiedział. Liczą godziny, liczą i liczą. I tak już prawie pół wieku ze sobą gadają. Co ja mówię pół wieku to już prawie 80 lat ze sobą gadają, ponieważ zegar na Ratuszu uruchomiono w roku 1926.
Kościół ma o wiele starsze zegary i dzwony, bo już w 1902 zabudowano trzy dzwony Ulricha i od tej chwili uroczyście dzwonią. Pewnie i zegar też jest z tego roku. Na Kościele Sw. Mikołaja do dziś widnieje data budowy świątyni, to znaczy rok 1902 .
Tak regularnie , miarowo i dokładnie kuranty pracują, pchane trybami napędowymi. Ulicą w oddali śpieszą się ludzie, to w jedną , to w drugą stronę. Każdy coś w torbie niesie. Samochody jak zwykle prędkości swoje przekraczają, jadąc w obie strony szeroką ulicą. Nieopodal grupka ludzi stoi, a jeden z nich ręką coś gestykuluje.

Na rowerach jadą, ale tuż przy chodniku a wrony i wróble siadają na dachu sąsiedniego szpitalnego budynku, oczekując jakiegokolwiek pokarmu. I jak tu nie mówić, że „czas ucieka, wieczność czeka na człowieka. „Spieszą się ludzie, liczą godziny...". Jest ranek i samochody różnokolorowe podjeżdżają na przy ratuszowy placyk. Są tam urzędy i biura, gdzie ludzie załatwiają swoje sprawy. Zawsze każdy ma problemy i pilne sprawy do załatwienia.
Zegary zaś swoimi tarczami patrzą na ten zgiełk i dziwią się, po co ten naród tak się śpieszy? I znów biją miarowo i regularnie swoje godziny.

Nie pomagają słowa naszych protoplastów że „śpiesz się powoli, „festina lente” Gonią i gonią bez umiaru i rozsądku. Patrzę na moje miasto z okna szpitalnego. Wczoraj Ania moja wnuczka , aby mnie pocieszyć i rozweselić przyniosła osiołka i konika, które właśnie wraz ze mną patrzą przez okno. Stoją sobie na parapecie okiennym i cieszą mój wzrok. Jest mi lżej znosić chorobę.
W tej chwili właśnie ten sędziwy na Kościele znów zaczyna gadać i zdaje mi się że obwieszcza ludziom ,że czas na załatwienie ważnej sprawy w urzędzie się zbliża a czas ucieka niestety. I tak wkoło i ciągle ze sobą gadają. Nieraz się chwalą jakie to piękne brzmienie z siebie wydają. Mimo że w różnych tonach się chwalą, to każdy jest miły dla ucha, bo każdy o czym innym gada. Jest to swoiste piękno ta różnorodność w jedności , bo oba wskazują godziny i minuty. Ciśnie się to porównanie, przypominając naszego opolskiego Arcybiskupa, który tak pięknie o swoich diecezjanach ze Śląska, ze wschodnich rubieży i z centralnej Polski pochodzących. Żyją w zgodzie i zrozumieniu wzajemnym , mimo takich różnic kulturowych i obyczajowych i stanowią jedność w różnorodności.
Zegary znów gadają a czas ucieka. Biją właśnie dwunastą czyli w samo południe, a ja zaraz odmawiam „Anioł Pański” i myślę o wszystkich zmarłych z mojej rodziny. Refleksją o przemijaniu ogarnięty , myślę o swoim życiu i o tym, kiedy zdrowy wyjdę ze Szpitala.
Ostatnio natrafiłem na informację o powstaniu tej wyjątkowo starej modlitwy i o zwyczaju jej odmawiania. Zwyczaj ten powstał jeszcze za życia Św. Franciszka z Asyżu z lat 1250-1260 . Otóż ten wielki święty, patron Włoch i ekologii zazdrościł muzułmanom ich wielkiej pobożności i zaangażowaniu w modlitwie i to że się pięć razy w ciągu dnia na zawołanie muezzina i modlitwę zwaną ezanem modlą do swego Boga Allaha i wtedy postanowił w samo południe modlić się do swego Boga i nakazał innym swym braciom to robić i tak powstał „Anioł Pański” i do dziś bogobojni ludzie modlą się, kiedy wybije dwunasta w południe.
Jest południe. Na ulicy mimo dżdżystej pogody ludzie idą w jedną i drugą stronę. Jadą z wózkami z małymi dziećmi, albo z nieco większymi, prowadząc je za rączkę. Tylko przerażające dla jednych, albo dla niektórych wybawiające wycie syren karetek pobliskiego Pogotowia Ratunkowego zakłóca tę wielką harmonię miejską i zgiełk południowy.
Dziś od rana słońce wyjrzało zza chmur i natychmiast znikły białe ślady śniegu na ziemi i na dachach. Słońce wyglądające zza chmur zwiastuje niechybnie nieco spóźnioną wiosnę. Znów gadają zegary wpierw ten stary o niskim tembrze i głośniejszy a potem ten mniej donośny , ale nieco cichszy , oba na tyle głośne, że roznoszą swe dźwięki na dużą odległość.
Dziś ten kościelny przypomina mi że jest post i należy oczyścić się z grzechów w konfesjonale a ten ratuszowy, że należy rozliczyć się z fiskusem , czyli rozliczyć zeznania podatkowe i tak przez cały dzień będą mi one przypominały o moich obowiązkach, jeden wobec Boga , a drugi wobec Państwa.
Rano słońce , a potem deszcz a raczej mżawka . Jest dżdżysto, a słońce ukryło się w gęstej powłoce chmur.

Na ulicach ruch pojazdów i pieszych ,zakłócany szaleńczą jazdą karetek. Zegary biją na przemian i znów nas przywołują i tak będzie dopóki będzie człowiek. On to właśnie urządza sobie świat sterowany przemożną ręką Boga. Biją zegary, wyznaczając czas. Biją zegary i przywołują ludzi do zastanowienia się nad sensem istnienia i nad wiecznością. Wielu nie zdaje sobie sprawy, że jest to wyzwanie do opamiętania i do czynienia pokuty za przewinienia w minionym czasie dokonane. Znów daje się słyszeć dialog dwóch sąsiednich i zaprzyjaźnionych ze sobą kędzierzyńskich kurantów. Dialog z niewielką zwłoką czasową, bo nigdy nie uda się je ze sobą zsynchronizować i to sprawia, że możemy je wysłuchać oddzielnie, aby każdy mógł wybrzmieć w swej pięknym brzmieniu, jeden w niskim , a drugi w wyższym tonie.
„Czas ucieka, wieczność czeka" ciągle przychodzi mi ten szczególny i wzniosły slogan, kiedy słyszę bijące zegary. W moim domu, kiedy nie słyszę tego miarowego „tykania" jestem niespokojny a w domu jest głucho i niepewnie.
Moje miasto mimo przeszło swojej wielowiekowej historii jest nadal młode, w którym żyje się dobrze i bezpiecznie. Z dnia na dzień pięknieje.
Które z miast jest starsze Koźle /Kosel/ czy mój Kędzierzyn, bowiem kroniki podają , że już w 1283 roku jest wzmianka o wsi Kandersino a w roku 1845 Kanderzin, w XIX w występuje osada pod nazwą Pogorzelec, w 1540 roku występuje nazwa Kandrzin. Od roku 1975 połączono oba te miasta i powstał Kędzierzyn Koźle, natomiast kościół Św. Mikołaja wg. napisu na Kościele powstał / erbaut/ w 1902 roku , a dzwony Ulricha pewnie w tym samym roku. Ratusz zaś w Kędzierzynie powstał w 1926 roku. Aby dodać blasku i oddać piękno ostańcom stuletniej historii tego obiektu sakralnego z wieżą zegarową, radcy miejscy dopomogli wspaniale oświetlić ten zabytkowy obiekt. Teraz w nocy jeszcze bardziej uwydatnia swą piękność. Odnowiony z zewnątrz, cieszy oko i podnosi estetykę miasta. Budynek natomiast na Placu Wolności z tym mniejszym zegarem, choć jest siedzibą władz powiatowych, nazywamy Ratuszem, ponieważ każde miasto musi mieć Ratusz a w Koźlu niestety brak, mimo pięknego i zadbanego placu w centrum miasta.
Dzwony kościelne uzupełniają ten rytm bijących zegarów. Uzupełniają, bo oznajmiają na pół godziny przed mającym się odbyć nabożeństwem wieczornym, lub w niedzielę rano i przed tzw. Sumą, czyli główną mszą Świętą niedzielna za parafian.
Właśnie jest wieczór i biją dzwony na wieczorną mszę Świętą. Dawniej na 10 minut przed każdą mszą Świętą sygnaturka oznajmiała że czas do kościoła, aby się nie spóźnić. Leżę sobie złożony chorobą i przez okno zaglądam na ruchliwą główną ulicę mojego miasta. Tam w dali dachy domów starego Kędzierzyna i Pogorzelca z tym że tę dzielnicę przysłania nasyp traktu kolejowego i budynków dworca, bo na początku Kędzierzyn był jedynie osadą kolejarzy. W okresie międzywojennym zaczęto budować wielki węzeł kolejowy.
Na lewo wyraźnie widać nowe osiedla mieszkaniowe, budowane kolejno w latach 50 tych, 60 tych, 70 tych i Osiedle Piastów powstałe już w latach 80 tych wraz z Kościołem pw. Ducha Św. i NMP Matki Kościoła z lat 1996 /97

Mieszkam w wyniosłych Boninach, najwyższych w mieście blokach na Osiedlu XXV lecia z reprezentacyjną i dobrze utrzymaną arterią zwaną ulicą Wojska Polskiego, po obu stronach której stoją w rzędzie a to sklepy różnych branż, a to banki i instytucje. Zegary znów się odezwały swoimi znanymi dźwiękami i ze sobą prowadzą dialog, a może przekomarzają się który z nich jest ważniejszy, czy ten o basowym, czy ten o altowym brzmieniu umieszczony na Ratuszu. Kocham swoje miasto, w którym pozostanę z pewnością aż do końca moich dni, a przyjeżdżając kiedyś do niego myślałem, że zatrzymam się w nim jedynie na dwa lub trzy lata, tzn. na okres , kiedy skończę studia.
Biją zegary ,liczą godziny ,każdy z nas się śpieszy. Signum temporis to znaczy znak czasu ,to właśnie zegar z jego zaczarowanymi wskazówkami.
Kiedyś nie było tego urządzenia i życie było znaczone gwiazdami i Słońcem. Było spowolnione , liczone wschodem i zachodem Słońca dniem i nocą oraz wielkością i kształtem Księżyca.
A propos tej planety ;na Śląsku zwanej miesiączkiem ,to ilekroć widzę na nieboskłonie jego przedziwny kształt czasem podobny do litery C a czasem do litery D to przypomina mi się powiedzenie że Księżyc kłamca jak mawiali Starożytni. A dlaczego , bo litera C oznaczała w języku starożytnych crescit czyli rośnie a On na odwrót maleje i powinien być kształtu litery D czyli decrescit, bo słowo to oznacza maleje...Kiedy brzuchem swoim czyli wypukłością przypomina literę D to właśnie rośnie, i czyż ludzie kiedyś nie mieli racji, nazywając Księżyc kłamcą?
W naszym ukochanym mieście te dwa zegary odmierzają czas. Jeden na Kościele z czarnym cyferblatem i tarczą i ten na tzw. Ratuszu z białą tarczą. Oba przecudnej urody i przepięknym tembrze kurantów.
Pędzą gdzieś ludzie w otchłań czasu, liczą godziny,
Nikt nie ma czasu i go szuka, tracą terminy
Świat okiem bożym się nie zmienia, a my w nim tkwimy,
Wiatr przenosi fale i liście, po co gonimy?
Zegar wybija nudnie godziny, śpiesz się powoli
Będzie kiedyś rozliczenie, z naszej niedoli.
Na Anioł Pański biją dzwony, my się modlimy,
Przemija postać tego świata, śmierci nie przegonimy.

Na „Anioł Pański" czyli w południe o godzinie 12 tej oprócz kurantów zegara na kościele bije pośpiesznie jeden z dzwonów Ulricha i to ten najmniejszy. Najczęściej są trzy dzwony duży, średni i mały , które zwykle mają imiona Świętej Rodziny z Nazaretu czyli Józef, Maryja i Jezus a o 12 tej bije właśnie ten najmniejszy czyli Jezus. Zaraz po nim odzywają się kuranty na Ratuszu i wtedy słychać kędzierzyński hejnał, skomponowany wyłącznie dla naszego miasta, wyjątkowy i o szczególnym brzmieniu i melodii.
Kiedy jeszcze przebywałem w Kędzierzyńskim Szpitalu okna mego pokoju patrzyły na ratuszowy zegar, natomiast kościoła nie widziałem. Tuż przy kościele znajduje się od lat stu a może i więcej stary cmentarz.

Kroniki miasta mówią, że jeszcze starszy był tuż przy Spirytusowni a bardziej precyzyjnie vis a vis portierni Miejskiego Zakładu Komunikacji
W miejscu, gdzie obecnie przebiega linia torów PKP i wiadukt. Na tym skwerku właśnie stał drewniany kościółek ozdoba Parku Szczytnickiego we Wrocławiu a obok chowali zmarłych. Obok starego cmentarza – nekropolii przy kościele wciska się dość zaniedbany i zapomniany cmentarz ewangelicki.
A propos etymologii słowa cmentarz. Co to tajemnicze słowo oznacza ?
Wyraz ten pochodzi od słowa *smentek* lub *smętek* bo tak dawniej wyrażano ten stan psychiczny obecnie zwany *smutkiem* , a teren na którym dokonywano pochówków nazywano od tego słowa *smentarz* a z czasem zmieniono „s" na „c" i powstał *cmentarz* . Nekropolie te zwykle powstawały przy kościołach i w starych kościołach takie place przykościelne nazywano cmentarzami. Jeszcze dziś można zobaczyć na placach kościelnych groby, epitafia, szczególnie tych zasłużonych dla kościoła i wiary.
Dziś tutaj nie chowa się zmarłych, bo od wielu lat cmentarz zlokalizowano za miastem na Osiedlu Kuźniczka. Jest to bardzo duża i zadbana kędzierzyńska nekropolia , która w szybkim tempie się zapełnia. Obecnie przygotowano nawet ścianę dla urn, bo coraz więcej zmarłych chowa się w tych naczyniach.
Zegar kościelny „chodzi", dzwony wybijają szczególne godziny i kuranty wywołują godziny, tak jak wybijały za życia tych zmarłych jak i tym jeszcze żyjącym.
Biją właśnie, kiedy leżę sobie w spokoju na szpitalnym łożu. Słyszą je także dusze zmarłych błądzące gdzieś w niebiańskim bycie i dokładnie nie wiemy, gdzie a tylko wiara podpowiada nam o istnieniu życia pozagrobowego dusz.

<u>Życie po życiu</u>
Umarli milczą, bo życie uszło
Słychać tylko złowrogi krzyk wrony
Modlitwą naszą zmarłych wspominamy
Życie po życiu w wierze naszej tkwi
Łatwiej jest nam w tej świadomości żyć.
Zegar wybija godziny żyjącym,
Nieustannie wskazówka, wskazówkę pcha,
Życie po życiu dla wierzących trwa,
Po nas kiedyś zostanie tylko grób.
Nie dla żywych przecież epitafium jest,
Bo życiem jest ono napisane,
Z niego morał dla żywych wypływa
Że żyć można na wiele sposobów,
A umierać na jeden tylko właściwy.
Życie po życiu, czy właściwie jest?
Dręczy nas więc ten tajemniczy byt,
Bo gdyby nie istniał ów duchowy stan,

Próżna by była wiara katolickich dusz.
Rozkruszą się wnet szczątki naszych ciał,
Pozostaną nasze dusze w przestworzach,
Życie po życiu jedynie dla dusz jest,
I w to my katolicy wierzymy.

Z tablic nagrobkowych czyli epitafiów można wiele mądrości zaczerpnąć, szczególnie tych dotyczących życia pozagrobowego i przemijania czyli upływu czasu. Z nich widać bowiem znaczenie czasu i skojarzenie grobów i zegara jest w tym miejscu sensowne i jednoznaczne.
Ilekroć słyszałem bicie kurantów zegara to natychmiast kojarzyłem to z grobami i zmarłymi, i dlatego wcześniej skonstatowałem że zegary tylko dla żyjących są. Umarłe dusze nie mają pojęcia czasu i przemijania.
Dzięki zapobiegliwości władz miejskich w Kędzierzynie Koźlu w ostatnich latach powstało wiele budowli i obiektów handlowych, rekreacyjno- sportowych rozbudowano infrastrukturę parkowo- drogową. Należałoby w tym miejscu wymienić chociażby: parki miejskie, obwodnicę miejską wraz z dwoma rondami, chodniki i miejsca parkingowe w Kędzierzynie i Koźlu, i place zabaw dziecięcych oczyszczalnię ścieków, nabrzeże w Koźlu, rynek w Koźlu, budownictwo mieszkalne, halę sportową oraz odnowiono szereg elewacji budynków i bloków wraz z ich ociepleniem, a w trakcie są obiekty rekreacyjne na osiedlu Piasty oraz budowa węzła komunikacyjnego z Koźlem oraz budowa mostu nad Odrą , i obwodnica północna. To bardzo dużo a miasto pięknieje w oczach i chce się tutaj żyć.
Jeszcze tylko, aby więcej miejsc pracy było dla wielkiej rzeszy bezrobotnych i młodych po szkołach.
Co godzinę zegar bije, nocą i wśród dnia, jak w tej starej i niemodnej piosence naszych babć, *dziwne serce w sobie kryje, dziwne serce ma...*
Zaiste dziwne serce ma, a niektórzy mówią, że zegar ma duszę, a szczególnie te stare bijące kuranty.
Tik tak, tik- tak i tak i tak nieustannie i monotonnie zegar wybija godziny i ten wysoko na Kościele i ten nieco mniejszy na Ratusza czole. Dumnie jest moje miasto z tych bijących kurantów. Jeden hejnałem wita południe a drugi zaprasza na „Anioł Pański”
O czym więc te kędzierzyńskie kuranty ze sobą gadają?
Nas kiedyś nie będzie a one będą ze sobą rozmawiać, mierząc czas.
Ilekroć słyszę ich bicie i widzę ich tarcze z ruchomymi wskazówkami to myślę o upływającym czasie i o przemijaniu. Zadaję sobie pytanie, jak powstało utworzenie kalendarza i kiedy powstały pierwsze zegary i liczenie czasu.
W terminarzykach zapisane daty urodzin ,imienin , święta i uroczystości rodzinne i towarzyskie, na wieżach kościelnych i ratuszowych zegary, w urzędach i domach wiszące i stojące zegary z kurantami i bez. Wszystkie te urządzenia i przedmioty określające upływ czasu otaczają nas i pobudzają myślenie o naszym istnieniu w tak zagonionym świecie współczesnym.

Zdajemy sobie sprawę że jest nam to bardzo potrzebne, bez czego nie moglibyśmy funkcjonować.
I te zegary miejskie pobudzają do refleksji nad przemijaniem, ale tylko u niektórych. Wielu przechodzi obok i nie zadaje sobie tego ciekawego i filozoficznego pytania.
Idę sobie wieczorową porą przez miasto w świąteczny czas, kiedy słupy oświetlone są przyozdobionymi lampkami i ozdobami bożonarodzeniowymi i noworocznymi a po Sylwestrze widać jeszcze ślady po fajerwerkach i nie sprzątnięte konfetti , serpentyny i pęknięte baloniki na sznurkach. Mój mały wnuczek na spacerze chętnie by je pozbierał , aby się nimi pobawić, bo to są kolorowe elementy.
Bije zegar na kościele i znów skoro tylko kończy swój komunikat ten kościelny, zaraz mu ten na Ratuszu odpowiada. Nie kłócą się bo i po co, kiedy prawica świat polityczny teraz opanowała i kościołowi sprzyja.
To owa symbioza sprawiła, że za zgodą władz terenowych Kościół Św. Mikołaja jest wyraziście i pięknie zaakcentowany i oświetlony wielowatowymi jupiterami. Widać kontury i wieżę tego przeszło stuletniego obiektu.
Niestety wstęp do niego z niewiadomych powodów jest ciągle niedostępny dla gości, bo jest całodobowo zamknięty. Otwiera się go wyłącznie, kiedy odbywają się nabożeństwa.
Na Piastach zaś nowy Kościół pw. Ducha Świętego i Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła jest otwarty dla wszystkich. W okresie świątecznym nawet oświetlony i z głośników dolatuje religijna i nastrojowa muzyczka.
O godzinie 12 tej w południe da się słyszeć kędzierzyński hejnał ratuszowy, to naprawdę duża odległość.
Wczesnym rankiem natomiast słychać dzwony z kilku kościołów i nawet z Blachowni. To one budzą mieszkańców do pracy i modlitwy
W naszym mieście po wyborach samorządowych w Ratuszu przy stole obrad nowe władze a zegar na Ratuszu nie zmienił swej tonacji i barwy. Bije i chwali się swoją sprawnością i punktualnością. Zawsze jako drugi oznajmia upływ czasu. Nic go nie obchodzi, że nowi ludzie rządzą. miastem i stanowią o dobrobycie ich mieszkańców, wpływając na piękne jego oblicze.
Nowe władze miasta i powiatu i nowe zmiany w mieście. Widać je z każdym dniem i dlatego moje miasto staje się coraz piękniejsze i zadbane. Nie tylko powstała piękna i okazała hala sportowa przy ulicy Mostowej na Os. Azoty, ale w samym centrum "Manhatan" kupiecki, a dalej park z terenem do ćwiczeń i rekreacji, skatepark, a tuż przy moim 10 piętrowym bloku nie tylko "Orlik" ale nawet sztuczne lodowisko.
Bloki 10 piętrowe ostatnio zmieniły swój wygląd. Zniknął uciążliwy azbest z elewacji. Bloki z różnobarwnymi i ciekawymi elewacjami. Ulica główna tj. Wojska Polskiego stała się nowoczesną arterią miejską.
Wiele atrakcji przysporzyło miastu powstanie sieci dużych centrów handlowych. zarówno w Koźlu jak i w samym Kędzierzynie .Ostatnio ukończono galerię handlową " Odrzańskie Ogrody" tuż za Castoramą przy obwodnicy miejskiej.

Powodzie, które nas dotykają od czasu do czasu zmuszają władze miejskie do ciągłych zmian w infrastrukturze drogowej i obwałowań. Powstały nie tylko obwodnice, ronda, ale przede wszystkim nowe mosty a następne są w planie. Powstanie zbiornika retencyjnego w okolicach Raciborza sprawi, że problem z zalewaniami naszych terenów zmniejszy się radykalnie.
Wiele planów mają władze miejskie w zanadrzu, lecz czy uda się je zrealizować?, zależy od wygospodarowanych środków własnych i unijnych.
W moim mieście żyje się coraz lepiej i choć są ciągłe kłopoty w sferze zatrudnienia, to jednak ze strony władz widać troskę o każdego mieszkańca.
Słychać hejnał z Placu Wolności, to znak że miasto żyje, czas bieży, a my się starzejemy. Zegar na wieży kościelnej nieco spóźniony i tak będą się ze sobą przekomarzać przez następne stulecia.

Foto wspomnienia z Kędzierzyna Koźla

Podczas procesji Bożego Ciała na ulicy Harcerskiej w Kędzierzynie Koźlu w tyle „Boniny ”a wyżej mój balkon w Boninie, na pochodzie 1 maja/lata 70 te/

Dworzec kolejowy w Kędzierzynie lata przedwojenne

Lata sześćdziesiąte w Kędzierzynie Koźlu: przed Przychodnią na ul. Harcerskiej Pochody 1 majowe w mieście w tyle „osiedle XXV lecia lub hala sportowa, Energetycy z Blachowni w pochodzie na ul. Harcerskiej, mój syn w pochodzie na ulicy Wojska Polskiego.

MOI DZIADKOWIE
w czasie wojny

Dziadek mój Konrad urodził 31 marca 1943 roku w Warszawie w szpitalu na Czerniakowie. Jego rodzicami byli Helena i Stanisław. Rodzina mojego dziadka mieszkała w Warszawie, na Woli na ulicy Glogera.
Pradziadek Stanisław był często ścigany przez hitlerowców. Czterokrotnie udało mu się uwolnić z ich rąk i z obozów koncentracyjnych

Pradziadek Stanisław w wojsku polskim a obok jako jeniec wojenny w obozie w Neubrandenburgu

Pradziadek Stanisław w wojsku na kresach wschodnich w KOP Kowno

W kilka dni po napaści Niemiec na Polskę ,pradziadek Stanisław zamiast do swojej jednostki wojskowej na kresach wschodnich w Kownie trafił w ręce Rosjan, którzy też wtedy napadli na Polskę ale ze wschodu. Szczęśliwym dla niego trafem nie podzielił losu Polaków i nie został wysłany do Katynia na śmierć. Rosjanie potem oddali w ręce okupanta hitlerowskiego ,który wywiózł polskich młodych żołnierzy do obozu w Neubrandenburgu z którego uciekł ,chroniąc się pod cysternami kolejowymi, które trafiły na bocznicę kolejową Igefahrbenindustrie w Blachowni Śl. . Stąd również tym samym sposobem przedostał się do Warszawy . Z kolei w łapance, stojąc na ulicach Warszawy ze swoim bratem Janem został schwytany przez żandarmów i poprowadzony na przesłuchanie do kwatery Głównej Gestapo. Zdołał uwolnić się żandarmom ,wyrywając się z ich rąk, ale niestety marynarka z dokumentami została u Niemców ,i dlatego od tej chwili był intensywnie poszukiwany. Jego brata Franciszka Niemcy zamordowali na Pawiaku.
W kamienicy przy Glogera pradziadkowie byli sąsiadami znanej rodziny Dygatów i sławnego pisarza Stanisława Dygata , na którego kolanach często bawił się mój dziadek Konrad. To wydarzenie natchnęło go do napisania wielu opowieści. Na roczek 31.03.1944.r ubrany w pelerynkę z I Komunii Świętej, w kościele na Ochocie odbyła się uroczystość Chrztu Świętego. Dnia 24 kwietnia 1944 roku w Warszawie w tym samym szpitalu urodziła się jego siostra, a moja ciocia Danuta.
Imię mojego dziadka było przemyślane . Otóż na pamiątkę i w dowód wdzięczności za pomoc i umożliwienie ucieczki jego ojcu Stanisławowi z obozu w Lammsdorf/dzisiejsze Łambinowice na Opolszczyźnie/dla wartownika, który mojemu pradziadkowi umożliwił ucieczkę, a który miał na imię **Konrad.**

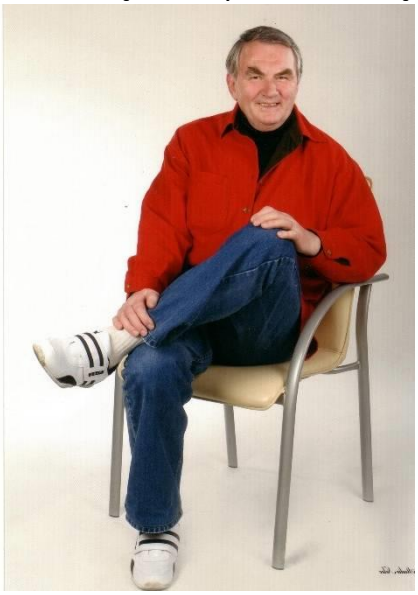

Pierwsze słowa wypowiedziane przez mojego dziadka Konrada to „kibi” czyli kromka chleba, skibka/po poznańsku/ oraz ”sol„czyli cukier. A więc chleb z cukrem z buraków, to podstawowe i chyba jedyne smakołyki dla dziecka podczas wojny. Pewnego razu, moja prababcia spacerowała ze swoim synkiem po parku w Warszawie. Nagle ujrzała chłopca u nóg spacerujących Niemców. Oficer niemiecki powiedział coś do malca, pogłaskał po główce i za odwagę poczęstował dziecko cukierkiem. Być może poprosił o „kibi solą”. Mój dziadek szczęśliwy podbiegł do mamy i pochwalił się słodką zdobyczą. Prababcia na zawsze zapamiętała to wydarzenie, gdyż przeżyła wtedy wielki strach o życie dziecka. Niemcy mogli zabić go bez ostrzeżenia i skrupułów.

Mój dziadek Konrad oraz jego siostra Danuta na Polu Mokotowskim w Warszawie

Dziadek Konrad ze swoją mamą na ulicach Warszawy w czasie okupacji

1 sierpnia 1943r w godzinę „W" czyli 17.00 nastąpił wybuch Powstania Warszawskiego. Panika, strach i niepewność jutra. Ludzie kryli się w piwnicach, aby uchronić życie.
Mój dziadek nie zapamiętał nic z tego wydarzenia. Na prośbę dziadka jego mama na szczęście spisała kronikę wydarzeń z tego okresu. Prababcia Helena opowiadała, że Niemcy zanim zburzyli Warszawę, wygonili ich rodzinę nocą na Zieleniak na Ochocie przy Gazowni u zbiegu ulic Banacha i Grójeckiej i przetrzymywano ich wraz z ludnością Warszawy aż do wywózki na Dworzec Zachodni i do obozu Durlag 121 do Pruszkowa.
Niemcy rozdzielali kobiety i mężczyzn. Mój pradziadek, w momencie rozdzielania mężczyzn od kobiet jeszcze na Zieleniaku przebrał się w suknię i trzymając syna na rękach , uniknął śmierci.W obozie przebywał razem z innymi kobietami, jako chyba jedyny z mężczyzn. Przetrwał tam, aż do wyzwolenia obozu i wraz z całą swoją rodziną powrócił w rodzinne strony. Pod nogi mojej prababci Heleny, trzymającej na rękach swoje niemowlę, maszynista parowozu z nasypu rzucił poduszkę, która ratowała przez cały czas moją ciocię Danutę.

Po zakończeniu wojny ludność mogła wrócić do swoich domów.
Podróż była wyjątkowo ciężka. W odkrytych wagonach towarowych ,przy padającym grubymi płatami śniegu i zimnie stłoczeni wygnańcy podróżowali. W kartonie na sianie leżała moja kilkumiesięczna ciocia Danuta , a mój dziadek Konrad ciągle wołał swoje „kibi solą” bo był głodny.

ze swoimi dziadkami

„Moi dziadkowie w czasie wojny” napisał
Paweł Krupa
Szkoła Podstawowa Nr. 9

KONRAD STANISŁAW KEMPA

MOJE FASCYNACJE I ZAINTERESOWANIA

Kempa Konrad Stanisław

Życiorys czyli moje cv.

Urodzony w piekle i w czepku z wnętrza mojej matki Heleny de domo Malinowskiej i ojca Stanisława dnia 31.marca 1943 roku w Warszawie w Szpitalu na Czerniakowie, chociaż rodzina mieszkała na Ochocie na ulicy Glogera 1 przy Instytucie Radowym im. Marii Curie Skłodowskiej, oraz przy ulicy Korzeniowskiego 5/6
Czas okupacji hitlerowskiej ,czas szalejącego terroryzmu, kiedy likwidowano Getto Warszawskie po heroicznym w nim Powstaniu, jako osesek byłem świadkiem tragicznych losów mojej Stolicy , Powstania Warszawskiego i wysiedlenia ludności po jego upadku. Byłem też małym więźniem obozu Dulag 121 w Pruszkowie.
Matka po porodzie wraca niepewna do swojego domu. Co w nim zastanie, czy zobaczy swego męża? Przecież ten człowiek permanentnie ścigany przez hitlerowców czterokrotnie zdołał się uwolnić z ich rąk i z obozów zagłady. Zmieniał swe dokumenty i nazwisko ze względu na nazwisko Kempa, które od dawna było zapisane u Niemców jako podejrzane i ścigane.
Wraca ze Szpitala Czerniakowskiego z małym dzieckiem opakowanym chustami i w kartonie i zastaje pusty dom. Ciepło i serdeczność ze strony sąsiadki- pani Dygatowej matki sławnego pisarza Stanisława powoduje uspokojenie bijącego i skołatanego serca młodej matki. Po kilu miesiącach ubrany w cokolwiek było pod ręką w towarzystwie 14 letniej Reginy Marzęckiej Drzewieckiej- sąsiadki z parteru oraz przyjaciela mojej cioci Marii-siostry ojca oraz moich rodziców w kościele pw. Św. Jakuba na Ochocie- jedynego chyba obiektu ,który się ostał po wojnie w Warszawie ;odbył się chrzest.
Jest roczek 31.03.1944. . Ubrany w pelerynkę po Reginie mojej chrzestnej ,która była ubrana w nią na I Komunię Św. w tym samym Kościele na Ochocie odbyła się ta uroczystość a potem zdjęcie pamiątkowe wykonane w konspiracji.
Nie czekałem długo , bo już 24 kwietnia 1944 roku w Warszawie w tym samym Szpitalu na Czerniakowie rodzi się moja siostra Danuta.
A propos naszych imion to nie są one przypadkowe, a z dawna uplanowane i przemyślane . Otóż moje na pamiątkę i w dowód wdzięczności za pomoc i umożliwienie ucieczki mojego ojca z obozu w Lammsdorf/dzisiejsze Łambinowice/. W dowód podziękowania dla wartownika, który mojemu ojcu umożliwił ucieczkę, a który miał na imię Konrad. Z dwojgiem małych niemowlaków, osesków, do momentu wybuchu Powstania Warszawskiego matka z wózkiem o trzech kółkach spacerowała niemal codziennie ,w miarę pogody alejkami na Polu Mokotowskim w pobliżu głównej kwatery Gestapo na ulicy Rakowieckiej, gdzie czyhało na spacerowiczów w każdej chwili zagrożenie .
Pierwsze moje słowa to kibi czyli skibka, kromka chleba, oraz sol czyli cukier.

Były to podstawowe i chyba jedyne smakołyki dla zgłodniałego dziecka, którymi matka dzieliła się ze swoimi dziećmi. A więc wołałem ciągle „kibi solą" czyli chleba z cukrem. Tym zawołaniem i z prośbą zwróciłem się pewnego razu do spacerujących alejkami naszymi

oficerów Wehrmachtu. Ku przerażeniu matki,widzącej swego synka u nóg Niemców, nic się złego nie stało, bo oficer coś powiedział do malca , pogłaskał po główce i za odwagę, i śmiałość poczęstował dziecko cukierkiem. Szczęśliwy podbiegłem do mamy i pochwaliłem się słodką zdobyczą. Na spacerek najczęściej zabierałem ze sobą moją ulubioną zabawkę czyli bębenek, którego wykorzystywałem nie jako instrument , ale jako krzesełko do siedzenia, z tym że nie potrafiłem na nim siedzieć i często siadałem zamiast na niego – na ziemię, ku wielkiemu zdziwieniu mamy opiekunki. Ze względu na dwójkę małych dzieci, w wózku o trzech kółkach znajdowała się moja siostrzyczka Danusia a ja tuptałem z mamą przy wózku i prowadzony za rękę.
Godzina" W" czyli 17 ta wybuch Powstania Warszawskiego. Paniką, strach i niepewność jutra. Schodzimy do piwnic, schowani w beczkach po kapuście,wymoszczonych papierami i liśćmi trwaliśmy w trwodze.
Moim szczęściem jest że ze względu na niemowlęcy wiek nie pamiętam nic z tej tragedii. Niemal w sierpniu jeszcze dochodzi do wysiedlenia całej ludności Warszawy, ze względu na zaplanowaną przez Niemców zagładę Stolicy, w odwecie za wzniecone przez Polaków Powstanie Warszawskie.
Wywleczono nas i innych nocą na Zieleniak na Ochocie przy Gazowni u zbiegu Banacha i Grójeckiej i przetrzymywano aż do wywózki na Dworzec Zachodni i do obozu Durlag 121 do Pruszkowa.
Ojciec w momencie rozdzielania mężczyzn od kobiet jeszcze na Zieleniaku przebrany w suknię za kobietę i trzymający mnie na rękach po raz czwarty uniknął śmierci i razem z innymi kobietami, jako chyba jedyny z mężczyzn, ku wielkiej zazdrości niewiast przedostał się do tego obozu i przetrwał aż do jego wyzwolenia.
Wczesną wiosną 1945 roku jeszcze przed wyzwoleńczym majem po wyswobodzeniu obozu cała nasza" warszawska" rodzinka przedostała się do wsi Małszyce koło Łowicza i w domu sołtysa Maciaszczyka przetrwała aż do momentu wywózki otwartymi wagonami przy padającym grubymi płatami śniegu do Zduńskiej Woli a stamtąd do rodzinnego Ostrzeszowa.
Zamieszkaliśmy w pobliżu domu dziadków na ulicy Ogrodowej Nr. 14 obecnie ul. Daszyńskiego , mimo że w tym czasie wiele willi na obrzeżach miasta było pustych, opuszczonych przez urzędników niemieckich.
To miejsce było dla nas przeznaczone i dotrwało aż do śmierci mojej matki to znaczy do roku 1988.
W tym miejscu spędziłem swoje dzieciństwo, Ochronkę SS. Nazaretanek i Szkołę Podstawową Nr. 2.
8 listopada 1950 kiedy miałem 7 lat i już byłem w I klasie zlokalizowanej przy ulicy Zamkowej /wtedy Boh. Stalingradu/ na świecie ku naszemu zdziwieniu pojawił się brat , któremu nadano imię Janusz.
Moje zainteresowania w tym okresie poza sportem to udział w akademiach, przedstawieniach, ogrodnictwie przyszkolnym i chórze szkolnym. Od niemal piątego roku życia jako ministrant posługiwałem w miejscowej farze.
Uczyłem się także prywatnie gry na skrzypcach u pani Baranowskiej.
W szkole uczyłem się nie najgorzej. Byłem zwykle w czołówce tych lepszych, ale ze względu na zachowanie byłem zawsze tym drugim po Jurku Stawinodze.

Zwyczajowo ten drugi też otrzymywał nagrody książkowe na koniec roku, ponieważ w tym czasie nie było świadectw z paskiem.
Kiedy byłem w trzeciej klasie w marcu 1953 roku cały świat komunistyczny przeżył zgon generalisimusa Wisarionowicza Józefa Stalina , za młodu zwanego Soso Dżugaszfili Gruzina z pochodzenia, największego w historii ludzkości tyrana i mordercy.
I nasza cała szkoła zgromadzona na Sali gimnastycznej płacząc wysłuchiwała przez radio transmisji z uroczystego pogrzebu przywódcy komunistycznego Związku Radzieckiego.
Popularność tego człowieka w okresie jego panowania, przechodziła nasze wyobrażenia rozsądkowe. Poza portretami w miejscach publicznych i „ołtarzykach" na korytarzach i świetlicach, książki o nim a szczególnie z czasów młodości były bestsellerami .
Tak więc i ja w prezencie dla swojej sympatii ze szkolnej ławki Krystynie ,podarowałem tę książkę pod tytułem „Soso", którą przechowuję na półce do dzisiaj.
Koniec szkoły i konieczność wybrania sobie kolejnego miejsca edukacji spędzał sen z powiek. Bez namysłu zdecydowałem się na Wrocław i złożyłem podania do Technikum Geodezyjnego oraz do Technikum Kolejowego.
Niestety po zdaniu egzaminu wstępnego ze względu na brak miejsc w internacie musiałem zrezygnować i zostałem w ten sposób „na lodzie".
Przeglądając zbierane przez matkę Tygodniki Katolickie natrafiłem na anons i zapisy do Kolegium OO. Franciszkanów w Kobylinie. Po namyśle zdecydowałem napisać do nich podanie, które zostało przyjęte i po krótkim czasie z Rybnika przyszła odpowiedź zapraszająca mnie do tworzonego tam właśnie Collegium.
Z matką wyruszyliśmy w egzotyczną podróż pociągiem pulmanowskim do Rybnika i po wzruszającym pożegnaniu z matką zostałem tam kolegiatą, i wytrwałem w tym Collegium aż do matury prywatnej, którą zdałem w roku 1961.Zainteresowania moje w czasie pobytu w tej kuźni Augiasza to poza sportem, wystawienniczość , ogłoszenia i reklamy oraz wszelkiego rodzaju gazetki. Często uczestniczyłem w wycieczkach w pobliskie góry oraz do Krakowa, Wieliczki oraz do Katowic Panewnik siedziby Prowincjalatu Franciszkańskiego.
Po zdaniu matury i powrocie do Ostrzeszowa , ze względu na maturę prywatną, która nie miała znaczenia w tych czasach, miałem problemy z podjęciem odpowiedniej pracy, więc za protekcją przyjęto mnie do pracy na Poczcie, gdzie pracowałem przez cały rok.
13 czerwca 1962 roku nagle umiera w Szpitalu w Kluczborku mój ojciec Stanisław.
Diagnoza: Ostra białaczka naczyń limfatycznych.
W tym samym czasie niemal w dzień pogrzebu, musiałem zgłosić się do Poznania w celu zaliczenia egzaminu dojrzałości państwowego jako ekstern
Po zdaniu tego wyjątkowego egzaminu maturalnego, zmieniłem pracę.
Zostałem przyjęty do pracy w Przychodni Obwodowej w Ostrzeszowie jako inspektor orzecznictwa administracyjnego. Następnie podjąłem pracę w Ostrzeszowskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego jako z-ca Gł. Mechanika.

Tam też ukończyłem kurs normowania pracy i pracowałem jako technik normowania pracy. W roku 1964 ukończyłem we Wrocławiu Państwową Szkołę Ekonomiczną i

uzyskałem dyplom technika ekonomisty o specjalizacji ekonomika przedsiębiorstw przemysłowych.
Znajomość i zażyłe kontakty ze swoją przyjaciółką z lat szkolnych z Krystyną wróciły w momencie ,kiedy po ukończeniu w Katowicach Technikum Fototechnicznego powróciła do Ostrzeszowa. Zaręczyny odbyły się w konspiracji, z uwagi na niechęć i brak akceptacji ze strony ojca Krystyny.
Sytuacja ta trwała jednak dość długo , bo nawet ślub mój z Krystyną był nieakceptowany przez teścia. Dnia 31.12.1964 w ostrzeszowskiej farze odbył się ślub i w tym samym dniu w Ratuszu odbył się cywilny.
Krótko trwało przebywanie z tym zniechęconym człowiekiem. Efektem tej niemiłej sytuacji było nagłe i bezkompromisowe opuszczenie domu rodzinnego Krystyny i w nocy wyjechaliśmy Żukiem służbowym na Śląsk do Chorzowa Batorego do Opy Wiktora Widery i tam na poddaszu u niego zamieszkaliśmy tymczasowo, ponieważ zamieszkanie na stałe nie było możliwe, z uwagi na mieszkania służbowe Huty Batory, i zakaz przyjmowania na zameldowanie osób trzecich, nie związanych z Hutą.
Mieszkaliśmy na warunkach tymczasowych, więc o podjęciu pracy nie było mowy, ponadto żona w tym okresie była w ciąży.
Za protekcją szwagra Stanisława Widery dostałem wreszcie pracę w Zakładzie Przerobu Złomu Metali Nieżelaznych w Rudzie Śl Wirku na stanowisku technika normowania pracy.
Często służbowo wyjeżdżałem na delegację do Oddziałów Produkcyjnych do Oławy oraz do Oświęcimia w pobliżu obozu Auschwitz, aby normować pracę szczególnie dla robót nowych nienormowanych jeszcze.
W wyniku przeszkolenia i ukończenia specjalistycznego kursu uzyskałem dyplom technika normowania II stopnia.
10 czerwca 1965 roku przychodzi na świat w tych warunkach w Szpitalu na Strzelców Bytomskich w Chorzowie nasza córka Iwona Małgorzata.
Dziwnym zrządzeniem losu i przypadkiem żona otrzymuje pracę w swoim zawodzie w Instytucie Spawalnictwa w Gliwicach. Niemal od ręki otrzymuje też mieszkanie służbowe w Pawilonach Leśnych w Sławięcicach.
Utrudnione dojeżdżanie do pracy oraz małe dziecko było przyczyną konieczności szukania pracy w pobliżu miejsca zamieszkania. W końcu udało się za namową koleżanki żony podjąć pracę w pobliskiej Elektrowni Blachownia budującej się wtedy Elektrociepłowni Blachownia III w charakterze technika przygotowania inwestycji.
W tej Elektrowni przepracowałem resztę mojej pracy zawodowej aż do emerytury .W tym okresie moja edukacja była bardzo intensywna bo w roku 1974 uzyskałem dyplom inżyniera mechanika energetyka poprzez studia na Wydziale Mechaniczno Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach w Punkcie Konsultacyjnym w Kędzierzynie.
Tuż po ukończeniu studiów podjąłem równolegle pracę jako nauczyciel przedmiotów zawodowych w przyzakładowym Technikum Energetycznym
W Opolu ukończyłem podyplomowe szkolenie i uzyskałem dyplom pedagoga.
We Wrocławiu na Uniwersytecie na Wydziale Prawa ukończyłem Prawo Inwestycyjne na podyplomowych studiach.

Jako inspektor nadzoru w Elektrowni Blachownia poddawany byłem okresowym szkoleniom personelu nadzoru i kontroli oraz BHP i p.poż.
W Kędzierzynie Koźlu otrzymaliśmy mieszkanie resortowe wpierw na ul. Wojska Polskiego a potem na ulicy 9 maja 1/25, gdzie tez mieszkamy do tej chwili.
2 października 1968 roku przychodzi na świat nasz jedyny syn Tomasz Konrad.
Żona otrzymuje pracę w Biurze Projektowo Konstrukcyjnym przy Zakładach Azotowych w Kędzierzynie Koźlu na stanowisku kierownika Pracowni Reprografii a potem jako Kierownik Pracowni Wykończeniowej.
W mojej Elektrowni byłem jednym z założycieli Solidarności, a w stanie wojennym po podpisaniu stosownych pism na MO zostałem zwolniony z aresztu i nie byłem odizolowany jak inni przywódcy Solidarności.
Przez ponad 30 lat byłem we władzach Pracowniczego Ogrodu Działkowego Energetyk a potem Rodzinnego Ogrodu Działkowego i w tych organach trwam do dziś dzień.
Od samego początku Automobilizmu w mieście jestem aktywnym jego działaczem a w Elektrowni Blachownia wspólnie z kolegami założyliśmy koło ,wpierw będące w strukturach Opolskiego Automobilklubu a potem w strukturach Kędzierzyńsko Kozielskiego, bo byłem jednym z założycieli w tym mieście tego Klubu.
Zorganizowałem wspólnie z kolegą wpierw z inż . Markiem Brejwo a potem z inż. Józefem Lipskim 65 Rajdów Samochodowych Nawigacyjnych Energetyków.
Niemal od początku istnienia Pływalni Krytej w Kędzierzynie Koźlu jesteśmy aktywnymi działaczami na różnych płaszczyznach a przede wszystkim jako sędziowie pływania w kategorii związkowej.
W swojej parafii tez aktywnie uczestniczę jako Nadzwyczajny Szafarz Komunii Świętej a wcześniej byłem jej radnym w Radzie Duszpasterskiej i w chórze parafialnym.
Tempus fugit, Tempora mutantur et nos muttamur In illis, i niestety przeciążenie pracą i obowiązkami pozazawodowymi doprowadziły do zawału serca w ostatnich dniach mojej pracy zawodowej.
W odpowiednim czasie i stosownie do mojego wieku przeszedłem na emeryturę, w której trwam do dnia dzisiejszego.
Na emeryturze mam wiele czasu aby zajmować się moją ulubioną działką ogrodniczą, instrumentami muzycznymi oraz prowadzeniem kroniki rodzinnej i budową drzewa genealogicznego rodziny Kempów , Malinowskich i Feigów.
Często uczestniczę w konkursach literackich w dziedzinie prozy i poezji, a za niektóre z moich opowiadań uzyskałem wyróżnienie, z czego jestem usatysfakcjonowany i dumny.
Za moje życie wspólne z Krystyną, które trwa już nieprzerwanie i w miłości przeszło 52 lata uhonorowany zostałem dyplomem uznania i medalem ze strony Prezydenta RP i Prezydenta Miasta , a nawet ze strony Ordynariusza Opolskiego bpa. Andrzeja Czaji.

Moje odznaczenia i odznaki:
Rok 1983 Brązowa honorowa Automobilklubu Opolskiego
Rok 1986 Srebrna Zasłużony dla Energetyki
Rok 1987 Brązowa honorowa PZM
Rok 1988 Honorowa Zasłużonemu Opolszczyźnie
Rok 1999 Srebrna honorowa PZM
Rok 2010 Złota „Zasłużony Działkowiec"
Rok 2010 Złota honorowa PZM
Rok 2011 Brązowy Krzyż Zasługi
Rok 2015 Zasłużony dla Polskiego Związku Motorowego.
Mam dwoje dzieci: Iwonę Małgorzatę Krupę oraz syna Tomasza Konrada
Czworo wnucząt: Aleksandrę Agnieszkę, Mikołaja Tomasza, Annę Marię i Pawła Piotra.

Moje życie „Życie na debecie" opisałem szczegółowo w IV częściach na portalu internetowym pod hasłem" Kemkon.prv.pl.

INSTRUMENTY MUZYCZNE. MUZYKA
MALARSTWO I GRAFIKA
SPORT SAMOCHODOWY NAWIGACJA
KOŚCIÓŁ, DOM, RODZINA
PISARSTWO /PROZA I POEZJA/ GENEALOGIA KRONIKI RODZINNE

INSTRUMENTY MUZYCZNE. MUZYKA

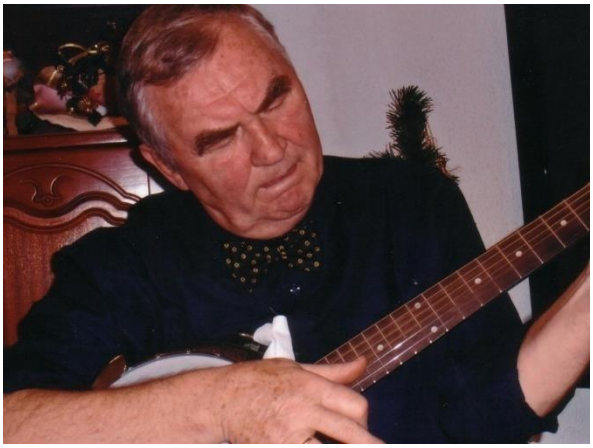

z bębenkiem na Polu Mokotowskim
na dzień przed wybuchem Powstania
Warszawskiego 30 lipca 1944 roku
podobno miałem kłopoty aby na niego
siadać

GEORG NEUMANN Berlin

SilverStar
SilverStar
SilverStar
SilverStar
SilverStar
SilverStar
HOHNER
HARMONICA
DOUBLE-REED 16 HOLE
GOLDEN CUP

Moje instrumenty muzyczne gitara hawajska własnoręcznie wykonana, mandola, bongosy, tarka ,wzmacniacz i banjo własnoręcznie wykonane.

MALARSTWO I GRAFIKA

Dom rodzinny Malinowskich w Torzeńcu

Ogólny widok Ostrzeszowa od strony ulicy Wieluńskiej

U góry autoportrety a u dołu Św. Franciszek z Asyżu, bł Aniela Salawa i wazon z kwiatami polnymi

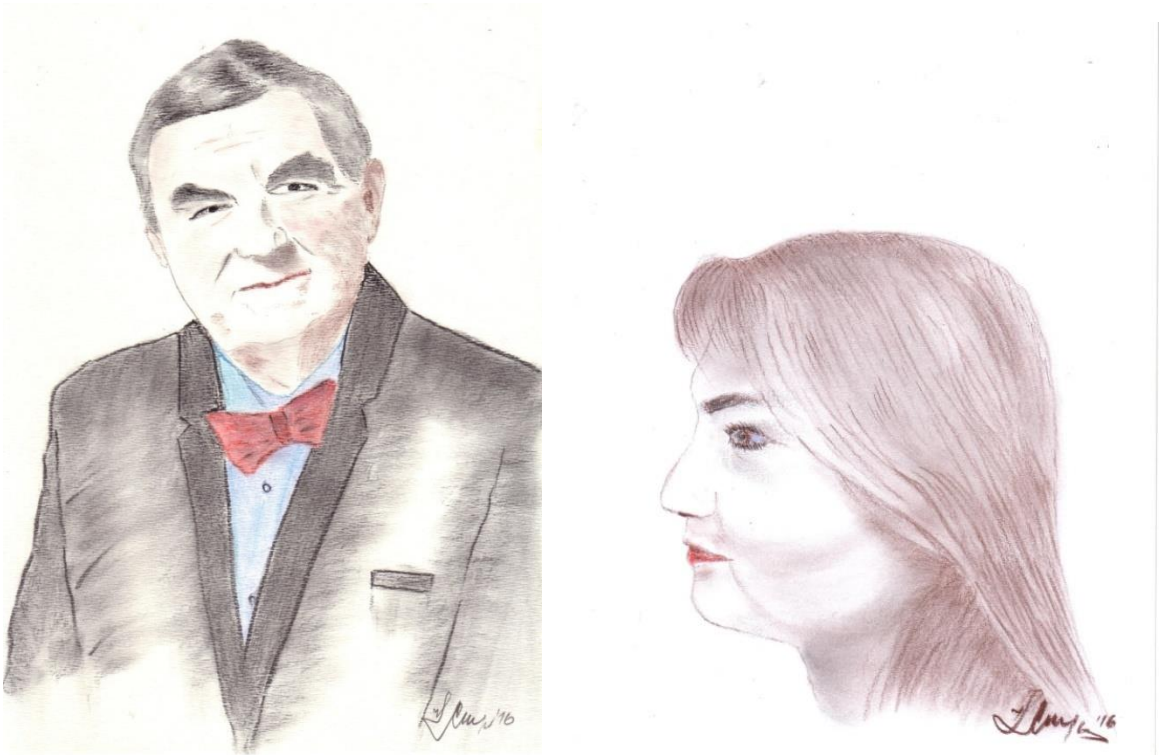

Moja synowa Chrystus z ołtarza głównego kościoła pw. Ducha Św w Kędzierzynie Koźlu niżej autoportret a obok moja wnuczka Ola

Fara 1911 Ostrzeszów

U góry studium tańca nowoczesnego, fara w Ostrzeszowie rok 1911 a niżej Ola w górach Kaukazu/ 2016/ obok brzozy na Aniołkach

Zalew w Kobyłce k/ Kobylej Góry

Mustangi na stepie

Chrystus a obok Św. Franciszek z Asyżu

przy malowidleowidle z okazji 1 maja w Ostrzeszowie lata 60 te a wyżej mustangi na stepiemustangi

Kwiaty polne

Krużganki klasztoru OO. Franciszkanów w Asyżu

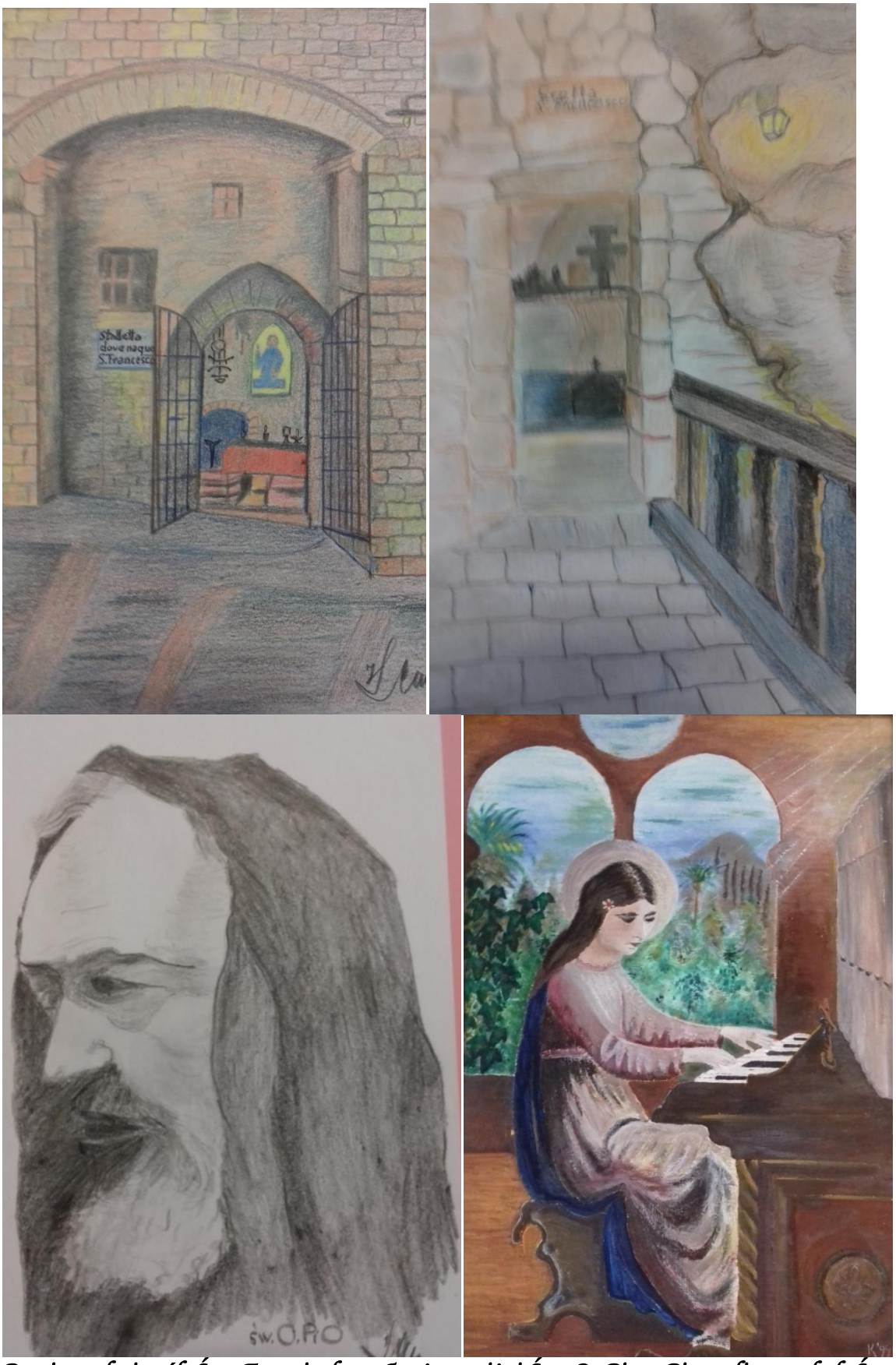

Porcjuncula i grób Św. Franciszka z Asyżu a niżej Św. O. Pio z Pietrecliny a obok Św. Cecylia

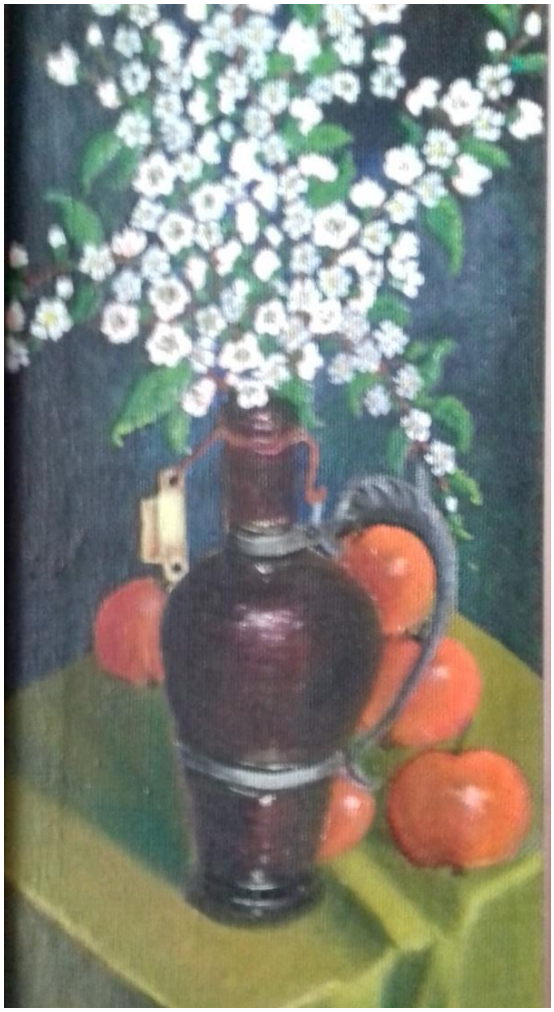

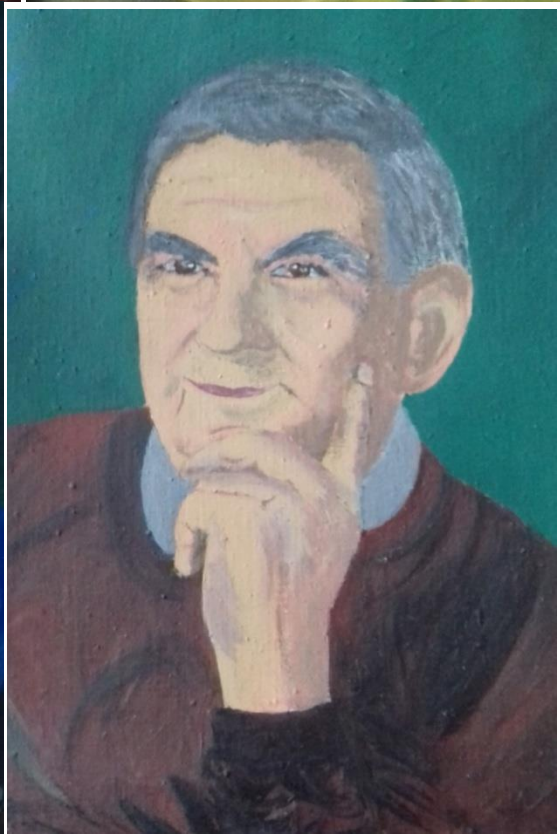

Moja działka a obok owoce jabłoni i kwiaty jabłoni niżej moja żona i obok autoportret

Słoneczniki i Materhorn a niżej zorza polarna i dzikie konie

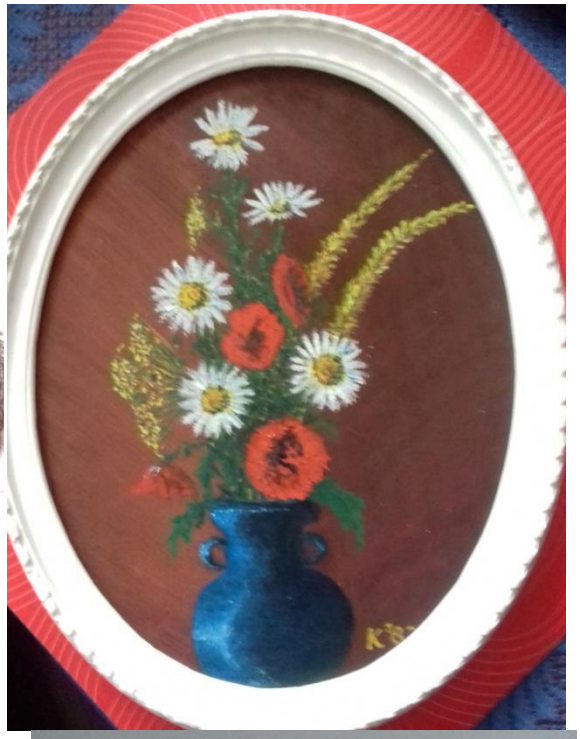

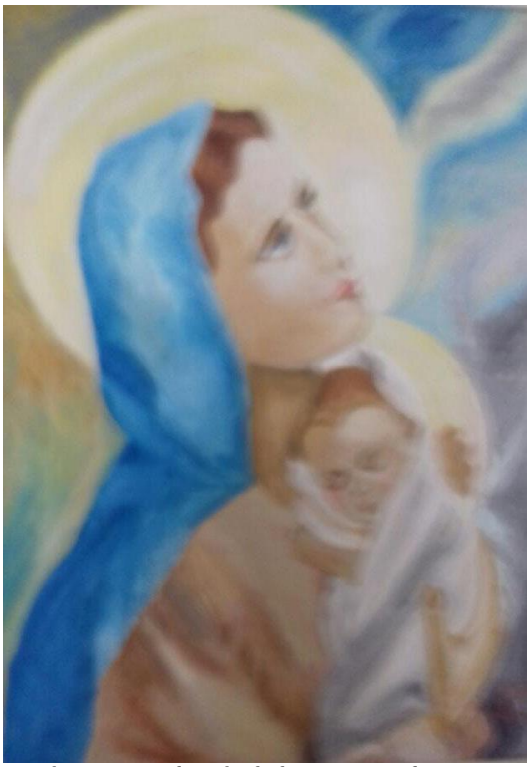

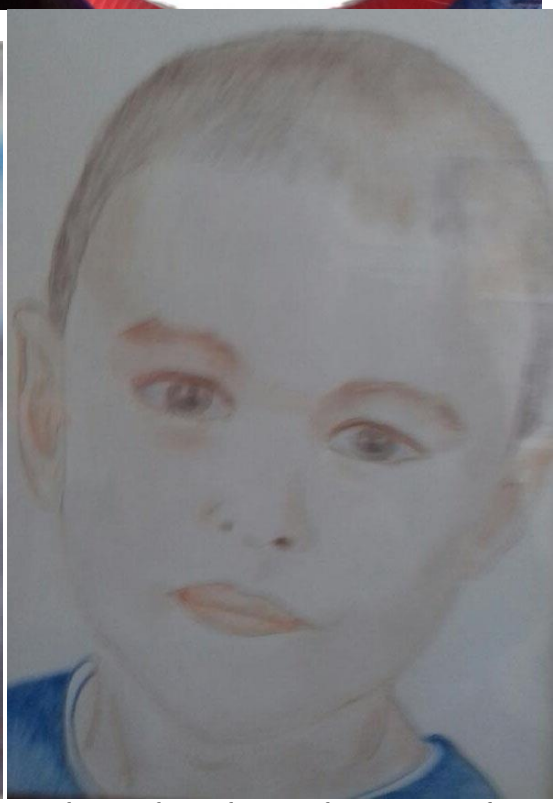

Kobieca uroda obok kwiaty polne niżej Matka Boska z dzieciątkiem i Paweł

Antoni Serbeński przy farze w Ostrzeszowie, niżej wnuczek Mikołaj a obok krokusy w Zakopanem

Antoni Serbeński – malarz na ulicy Garncarskiej w Ostrzeszowie

Wnuczka Ania a obok Katarzyna, niżej wnuczek Mikołaj

Polne kwiaty w wazonie

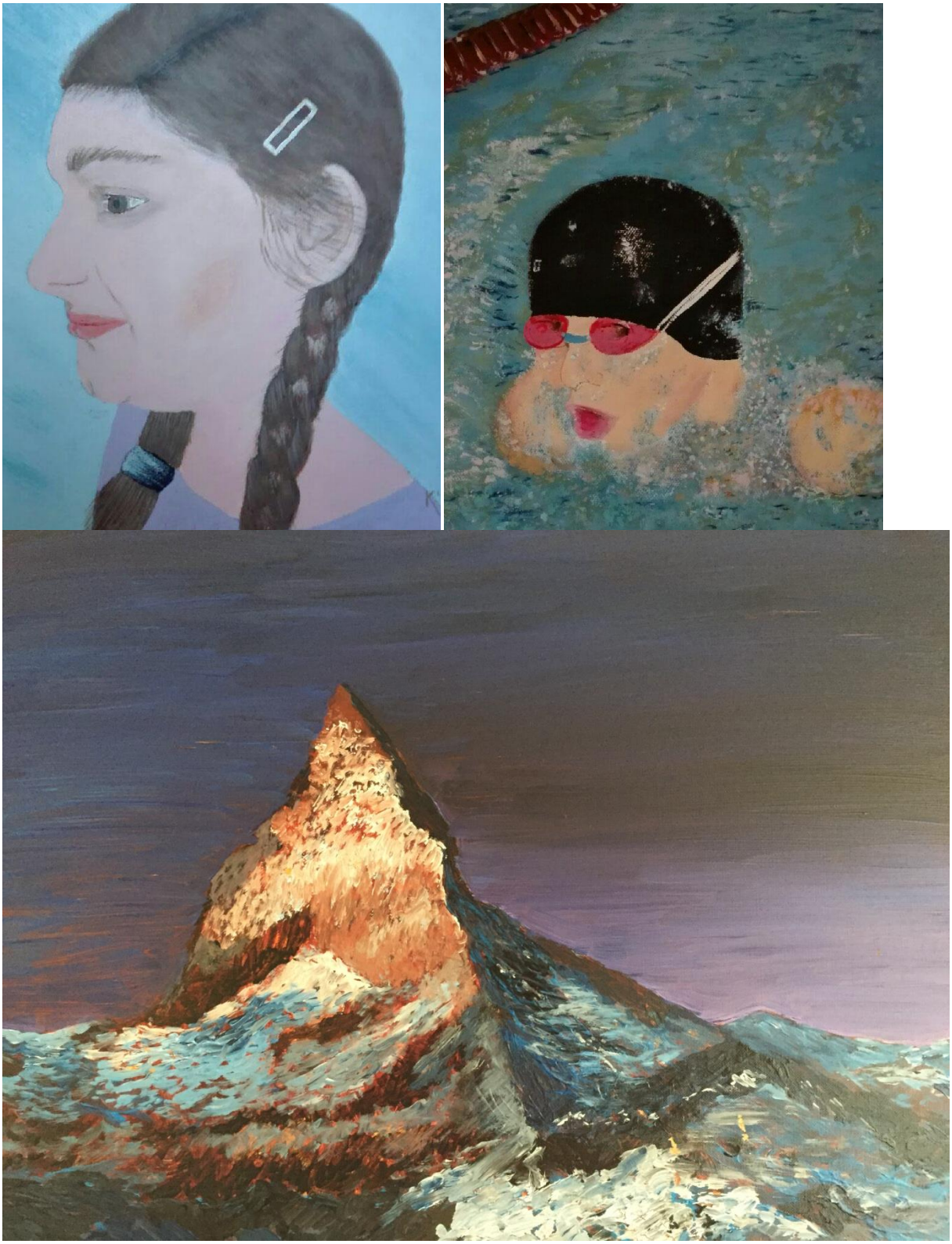

Wnuczka Ania a niżej Materhorn

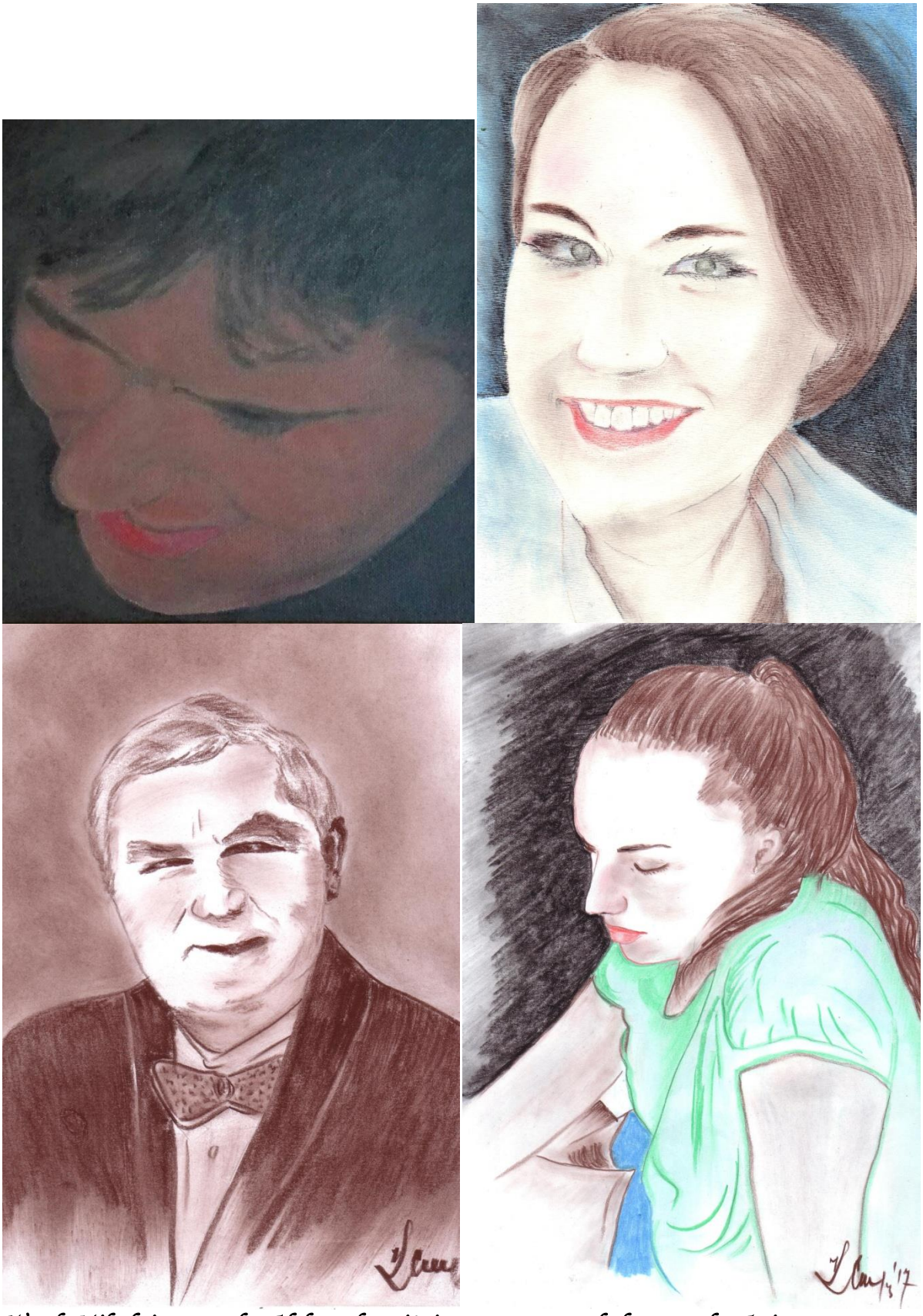

Wnuk Mikołaj, wnuczka Aleksandra niżej autoportret a obok wnuczka Ania

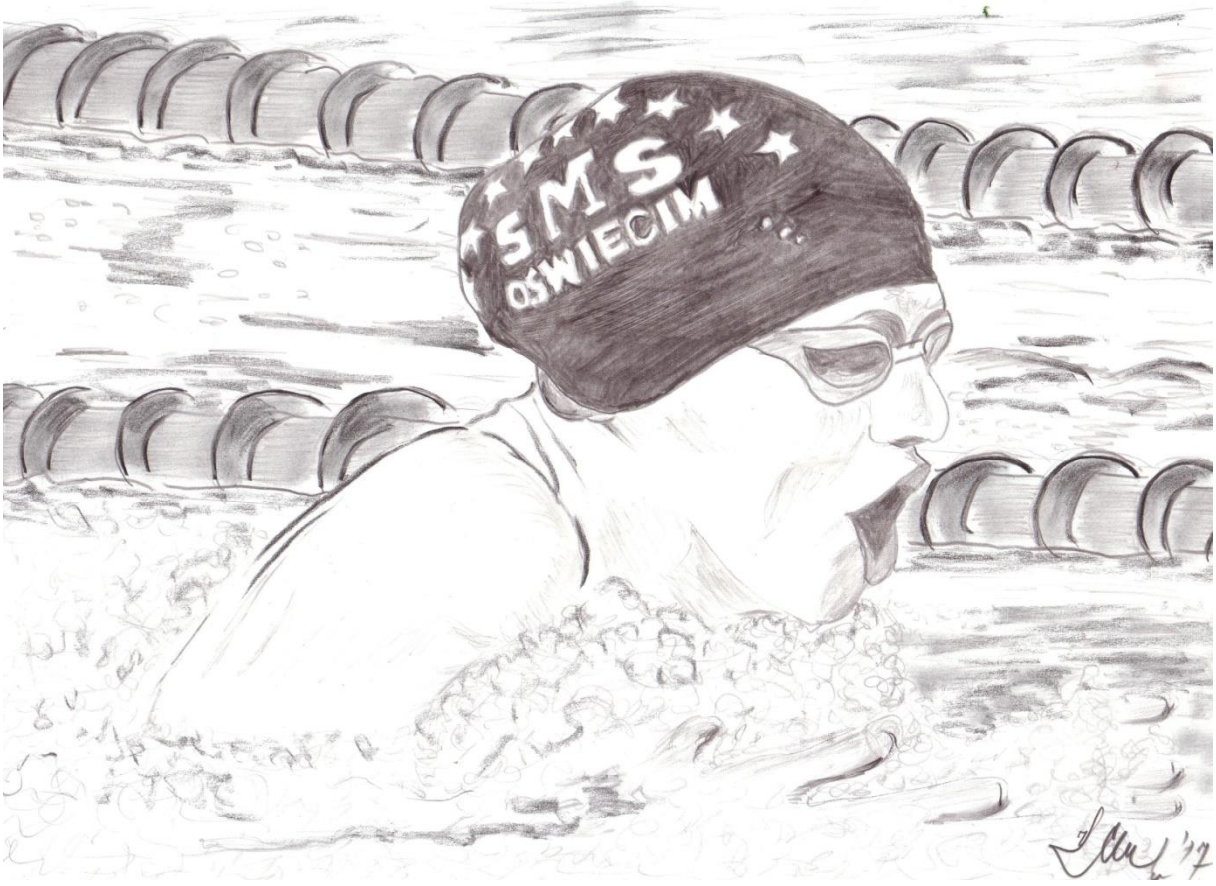

Wnuczka Ania w wodzie a niżej w otoczeniu delfinów

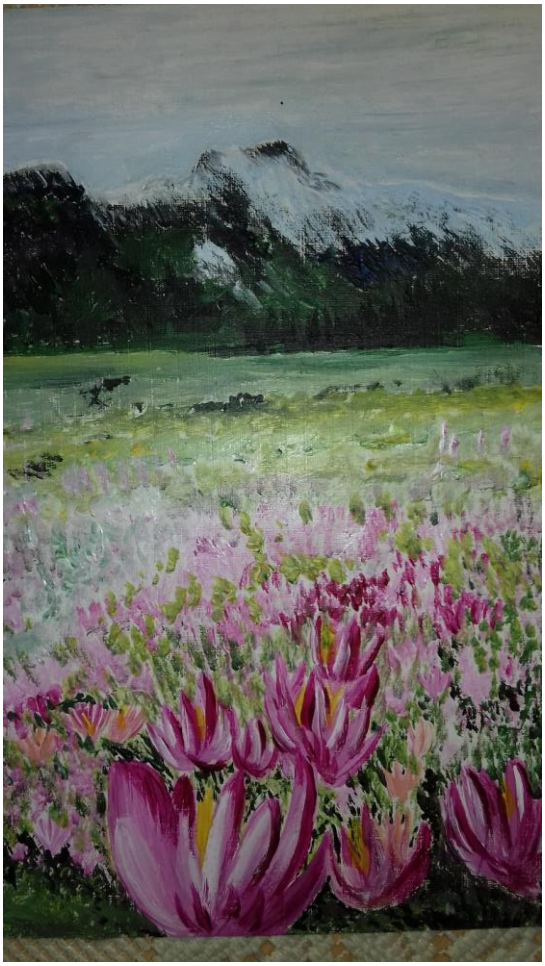

SPORT SAMOCHODOWY NAWIGACJA

Zdjęcie zbiorowe uczestników kolejnego Rajdu Nawigacyjnego Energetyków w Kędzierzynie Koźlu

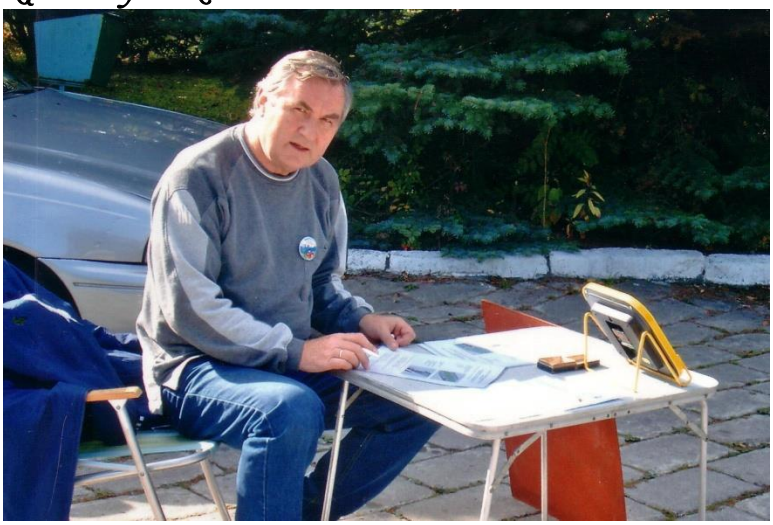

Autor wspomnień na rajdzie samochodowym

KOŚCIÓŁ DOM RODZINA

Kędzierzyńska rodzina podczas uroczystości komunijnych Pawła wnuczka

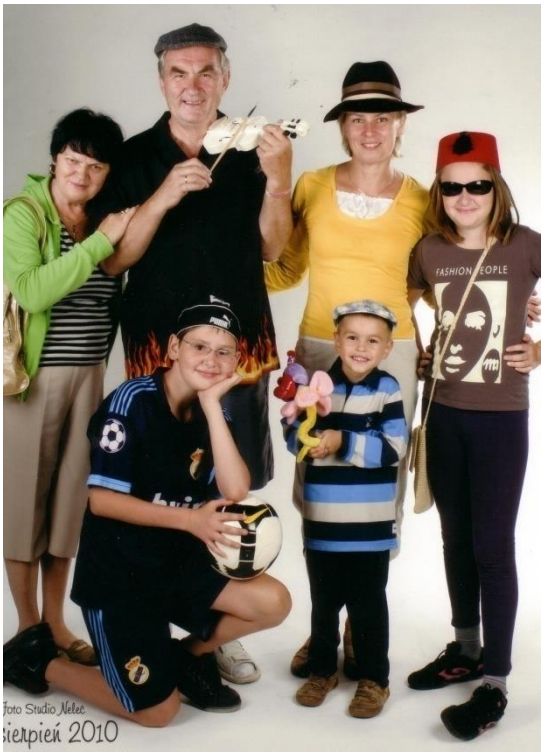

Rodzinka na wesoło a obok nasze 50 lecie pożycia małżeńskiego ,niżej w czasie procesji Bożego Ciała w roli kantora i Szafarza. Obok w czasie eucharystii w Kamieniu Śl.

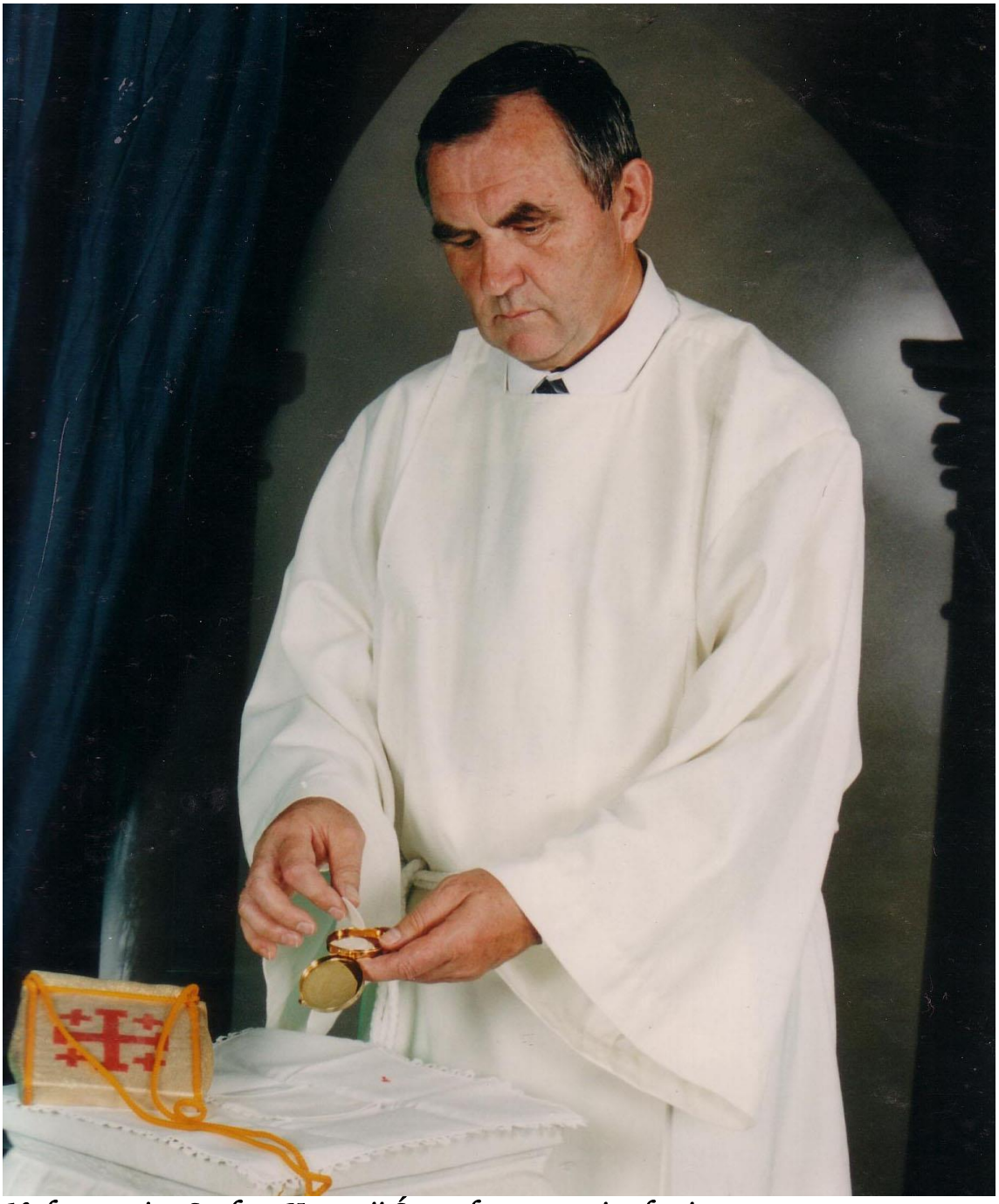

Nadzwyczajny Szafarz Komunii Św u chorego w mieszkaniu

PISARSTWO/PROZA I POEZJA/ GENEALOGIA I KRONIKI RODZINNE

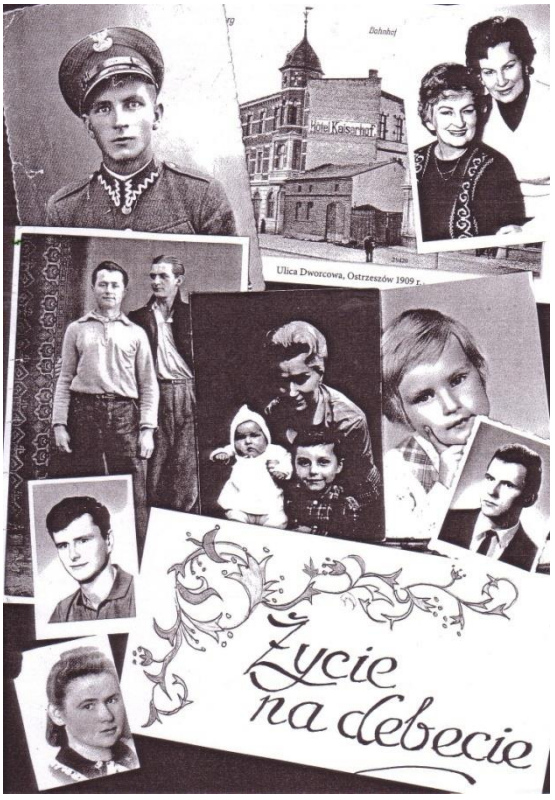

Tabla rodzinne i strona tytułowa wspomnień Kemkon.prv.pl

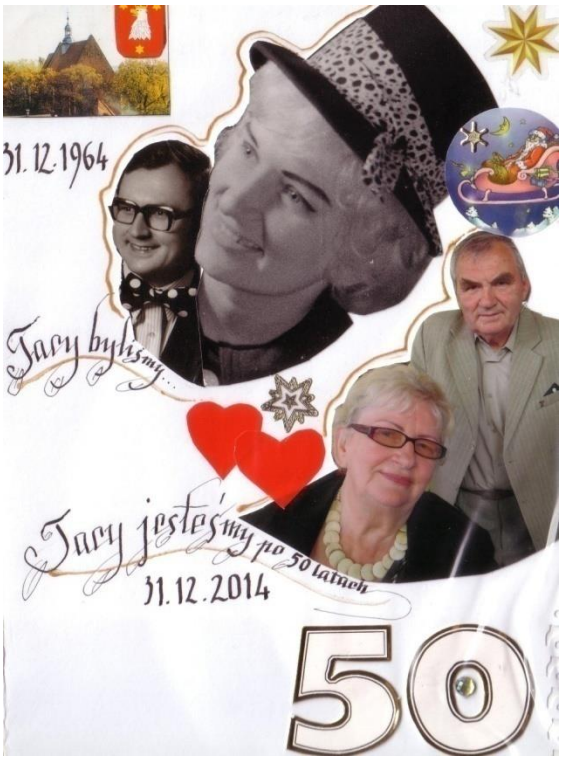

50 lat związani ślubami przed Bogiem

Wspomnienia moje żywią się miłością
Którą swą wybrankę serca darzyłem
Romantyczne emocje, uniesienia
Zrodziły w nas uczucie prawdziwe
Była ciekawa, piękna, zagadkowa
Życie napisało dziwny scenariusz
Rzeczywistość przerastała nas nieraz
Wzloty i upadki też się zdarzały
Trwaliśmy w tym stanie przez tyle lat
Miłość przerodziła się w miłosierdzie
Bo jeden drugiemu w potrzebie służy
Nasze Złote Gody faktem się stały
Choroby rzeźbią nasze charaktery
Wszystko podąża do unicestwienia
Cieszmy się na koniec sobą wzajemnie
Niechaj nam w tym życiu Bóg dopomoże
Życzenia od życzliwych ludzi płyną
A my jak dawniej patrzymy na siebie
Wspomnienia nasze żywią się miłością
Z Bogiem wytrwajmy razem jak najdłużej
Pięćdziesiąt już lat nosimy obrączki
Ślubem i stułą przed Bogiem związani
Przyrzeczeń wierności dotrzymaliśmy
Niech nam się wiedzie przez dalsze trzydzieści lat

Na 50 lecie pożycia małżeńskiego –mąż Konrad

Dorobek pisarski zawarty jest między innymi na stronie internetowej :
Kemkon.prv.pl

Natomiast kilkadziesiąt wierszy na różne okazje chowane są w mojej prywatnej szufladzie i może kiedyś „wyjdą spod strzechy"
Ostatnio moje wiersze doczekały się nawet podkładu muzycznego autorstwa Izy Jasińskiej

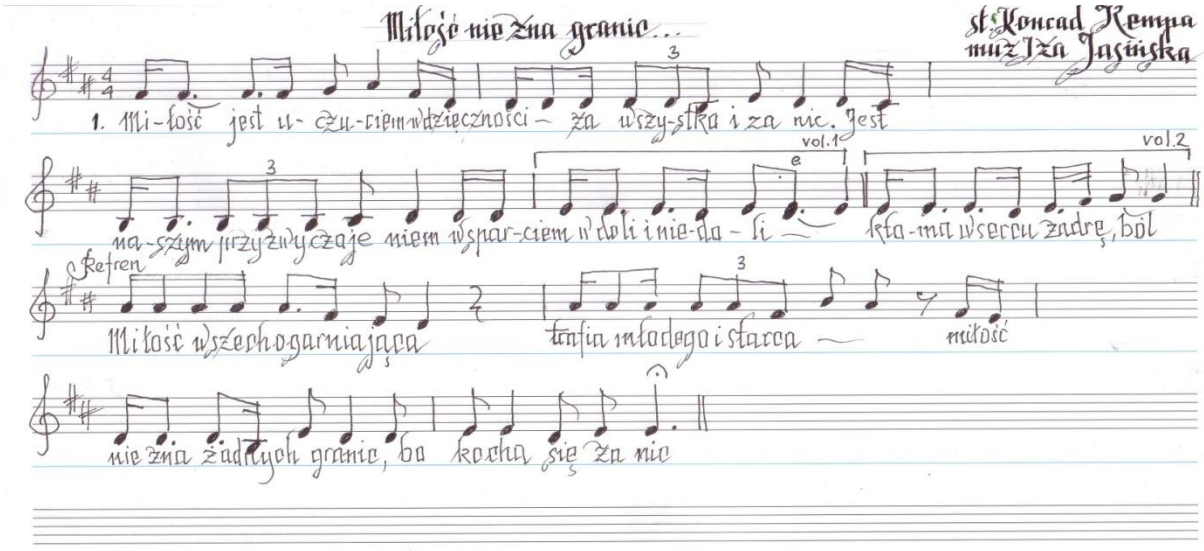

Miłość nie zna granic

1. Miłość jest uczuciem
   Wdzięczności za wszystko i za nic
   Jest naszym przyzwyczajeniem
   Wsparciem w doli i niedoli
2. Miłość jest wpisana
   W nasze serce i istnienie
   Nikt miłości nie zrozumie
   Kto ma w sercu zadrę , ból

Refren: miłość wszechogarniająca
Trafia młodego i starca
Miłość nie zna żadnych granic
Bo kocha się za nic/**bis**/

3. Miłość karmi serce
Szczęściodajnym eliksirem
Serce pełne jest miłości
Bo nie zdradzi drugiej strony

4. Miłość daje wszystko,
   Ale niczego nie żąda,
   Miłość żywi się nadzieją,
   Bez niej życie niemożliwe

Refren: miłość wszechogarniająca
Trafia młodego i starca
Miłość nie zna żadnych granic

Bo kocha się za nic/**bis**/

5. Miłość nie zna granic,
   Bez miłości nic nie jest warte
   Miarą dojrzałej miłości,
   Jest miłość i dobro bez miary

6. Miłość jest jak słońce
   Świeci niezauważalne,
   Miłość wpisana w dekalog,
   Istnieje od zarania świata

Refren: miłość wszechogarniająca
Trafia młodego i starca
Miłość nie zna żadnych granic
Bo kocha się za nic/**bis**/

7.Jest bezwarunkowa
Nie znosi upokorzenia,
Miłość rodzi miłosierdzie,
Jest więc bliska mojej jaźni

Refren: miłość wszechogarniająca
Trafia młodego i starca
Miłość nie zna żadnych granic
Bo kocha się za nic/**bis**/ **Kemkon 2017**

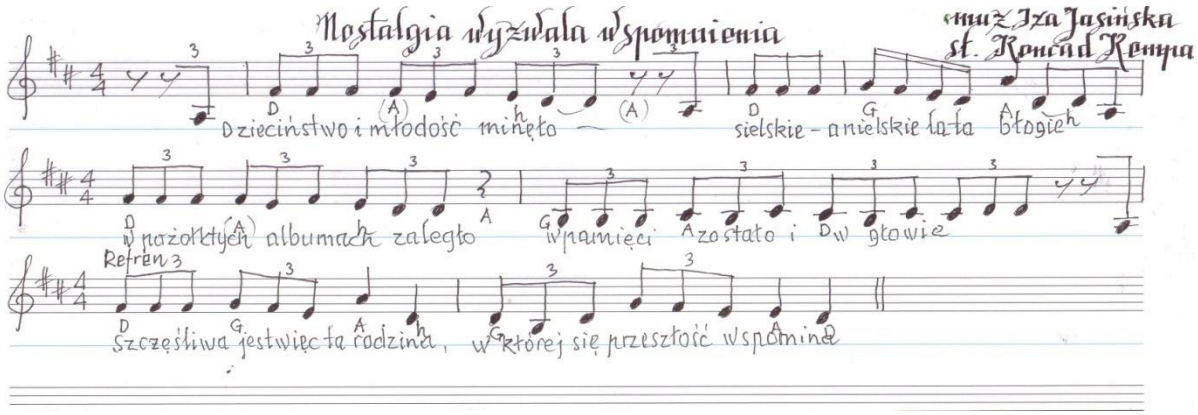

Nostalgia wyzwala wspomnienia

Dzieciństwo i młodość minęło
Sielskie anielskie lata błogie
W pożółkłych albumach zaległo
W pamięci zostało i w głowie Refren: Szczęśliwa jest więc ta rodzina
W której się przeszłość wspomina
Po latach wielu odkopane
Żyje dla tego , kto wspomina
Szczęśliwa jest więc ta rodzina,
W której jest zachowane. Refren:

Nostalgia wyzwala wspomnienia
Za tym co było najwspanialsze
Ze zdjęć widać jak świat się zmienia,
Zżółkłe zdjęcia są wyraźniejsze Refren:

Wspomnienia wzniecają nadzieję,
Że minione czasy powrócą
Ożywienie umarłych się dzieje
Przyszłych pokoleń nie skłócą. Refren:

Dobry zwyczaj jest wspominać,
Jesteśmy dowartościowani,
Jednoczy się wtedy rodzina,
Ludzie ze zdjęć są ożywiani. Refren:

KEMKON

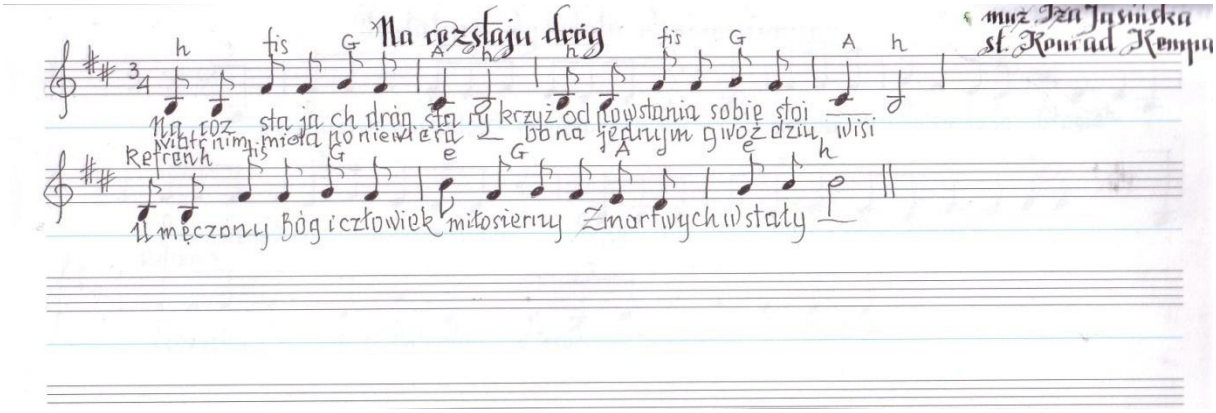

Na rozstajach dróg stary krzyż
Od powstania sobie stoi
Wiatr nim miota , poniewiera
Bo na jednym gwoździu wisi
REFREN Umęczony Bóg i Człowiek
Miłosierny, Zmartwychwstały

Urwana ręka chybocze
A okap Go już nie chroni
Samotny i opuszczony,
Oczekuje nas cierpliwie
Refren Umęczony Bóg i Człowiek
Miłosierny, zmartwychwstały

Zaniedbany i zmurszały
Tkwi pod niebem w szczerym polu
Pamięta tragiczne chwile
Stoi w polu zapomniany
Refren Umęczony Bóg i Człowiek
Miłosierny, zmartwychwstały

Deszcze liżą Jego stopy
Magdaleny przy Nim nie ma
Ptaki siadają na drzewcu
Czy ktoś Go tutaj naprawi?
Refren Umęczony Bóg i Człowiek
Miłosierny, zmartwychwstały

Na bezdrożu w polu stoi
I oczekuje pielgrzymów
Ten wielki Zbawca nas ludzi
Umęczony na tym krzyżu
Refren Umęczony Bóg i Człowiek
Miłosierny, Zmartwychwstały **słowa Konrad Kempa muz. Iza Jasińska**